NOWA STRATEGIA RZĄDU

Ziemkiewicz bez złudzeń o Polskim Ładzie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 21/426 24–30 MAJA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

COVID-19 – ludzie mediów „mają krew na rękach”

WYCZYN ROBERTA LEWANDOWSKIEGO, WYCZYN IGI ŚWIĄTEK

Wywiad z autorem listu protestacyjnego francuskich wojskowych

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM „DACHAU”

Konserwatywna kontrrewolucja w edukacji

SPECJALNIE DLA „DO RZECZY” – MINISTER PRZEMYSŁAW CZARNEK UJAWNIA PLAN

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 21 >

Nakład: 61,5 tys. egzemplarzy

Do spisu, gotowi, start!

1 kwietnia ruszył Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021. To jedyne badanie obejmujące swym zasięgiem wszystkie osoby przebywające na terenie Polski. Dzięki jego wynikom możemy dowiedzieć się, co zmieniło się przez ostatnią dekadę i przewidzieć kierunki dalszego rozwoju.

Celem spisu jest zbadanie nie tylko aktualnej sytuacji demograficznej i warunków życia mieszkańców Polski. W oparciu o jego wyniki tworzone są bilanse liczby ludności oraz opracowania, na podstawie których podejmowane są strategiczne decyzje na poziomie regionalnym i ogólnopolskim.

Pytania w spisie

Pytania zawarte w formularzu spisowym zebrane są w ośmiu blokach tematycznych. Dotyczą między innymi stanu cywilnego, poziomu wykształcenia, wykonywanego zawodu oraz aktualnego miejsca zamieszkania. Niektóre pytania mają charakter dobrowolny, z możliwością zaznaczenia opcji „nie chcę odpowiadać na to pytanie". Co ważne, Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 nie obejmuje danych dotyczących poglądów politycznych czy wielkości dochodów.

To więcej niż obowiązek

To fakt, że udział w spisie powszechnym jest obowiązkowy. Jednak chęć uczestnictwa w tym badaniu nie powinna wynikać z przepisów prawa, a ze świadomości korzystnego wpływu zgromadzonych danych na rozwój kraju i poszczególnych regionów. Warto pamiętać, że to wyraz obywatelskiej, patriotycznej postawy – właściwej współczesnym czasom.

Udział w spisie powszechnym jest bardzo prosty – jest to możliwe przez formularz dostępny na stronie **spis.gov.pl**. Wypełnienie formularza zajmuje najwyżej kilka minut. Jego internetowa forma pozwoli statystyce publicznej na szybsze opracowanie wyników spisu, a także znacząco przyczyni się do ograniczenia kosztów organizacji spisu.

Spis z nagrodami

Każda pełnoletnia osoba, która spisze się za pośrednictwem formularza internetowego (dostępnego na stronie **spis.gov.pl**), może wziąć udział w loterii. Po zakończeniu spisu system wygeneruje unikatowy kod, który potrzebny jest do wzięcia udziału w loterii. Przyjmowanie zgłoszeń do loterii trwa od 22 kwietnia 2021 r. do 7 lipca 2021 r. na stronie **loteria.spis.gov.pl***.

Udział w loterii daje szansę na zdobycie nagród. W sześciu pierwszych losowaniach można wygrać karty przedpłacone o wartości 500 zł i 1000 zł. Nagrodami głównymi w losowaniu finałowym są samochody miejskie.

Losowania odbędą się w terminach: 07.05.2021, 21.05.2021, 08.06.2021, 18.06.2021, 02.07.2021 oraz 09.07.2021. Finałowe losowanie zaplanowane jest na **14.07.2021**.

Raz zarejestrowany kod bierze udział we wszystkich kolejnych losowaniach, również w tym finałowym. Oznacza to, że im wcześniej spiszemy się przez Internet i zgłosimy swój unikatowy kod na stronie loterii, tym więcej mamy szans na wygraną!

Regulamin i szczegóły dotyczące loterii można uzyskać, odwiedzając stronę **loteria.spis.gov.pl** lub dzwoniąc na infolinię loterii: **22 871 99 21****.

Gwarancja bezpieczeństwa

Wszystkie dane przekazane w spisie są objęte tajemnicą statystyczną regulowaną przez ustawę o statystyce publicznej i służą wyłącznie zbiorczym analizom statystycznym. Każda osoba biorąca udział w spisie ma zapewnioną pełną anonimowość. Oznacza to, że podawane w spisie dane są w pełni bezpieczne.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99****.

* Organizatorem loterii jest Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

** Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Spis Powszechny to:

- Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny
- Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych
- Nowoczesna i bezpieczna formuła spisu online

Więcej na **spis.gov.pl**

Liczymy się **DLA POLSKI!**

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

eprasa.pl ec86032006

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Opozycja na deskach

Politycznych zalet Polskiego Ładu nie należy mylić z korzyściami gospodarczymi, są oczywiste. O ile 4 maja, zawierając umowę z Lewicą, prezes PiS i premier zadali Platformie Obywatelskiej poważny cios (powiedzmy knock-out), o tyle teraz wydaje się, że dokończyli dzieła. Patrząc na kolejne wygibasy Borysa Budki i na powolny rozpad Platformy, aż chciałoby się powiedzieć za Kmicicem „Kończ waść, wstydu oszczędź". PiS wyprowadził w stronę opozycji dwa prawdziwie mordercze ciosy. Złamał jej jedność i doprowadził do wzajemnej wojny (piękne są te połajanki obrońców demokracji, którzy teraz sobie nawzajem zarzucają autorytaryzm).

Skoro używam języka sportowego, to przypomnę jeszcze jedną mądrość: gra się tak, jak przeciwnik pozwala. A tu trzeba przyznać, że Borys Budka i kierownictwo PO pozwolili naprawdę na dużo. Szczerze mówiąc, dawno już nie widziałem takiego nagromadzenia absurdów, błędów, potknięć i kompromitacji. Jeśli szukałbym jednego powodu, który by to tłumaczył, to jest nim oszalała wręcz wiara liderów opozycji we własną propagandę. Oni naprawdę sądzili, że PiS zamierza wyprowadzić Polskę z Unii, że w Polsce szaleje autorytaryzm, że w związku z tym nikt uczciwy z Jarosławem Kaczyńskim nie może się porozumieć, że są wreszcie jedynymi pośrednikami w relacjach między Warszawą i Brukselą. Byli przekonani, że Polacy niczym kania dżdżu oczekują upadku powszechnie znienawidzonego reżimu. W ten sposób popełnili dwa kardynalne błędy.

Pierwszym była wiara w powstanie rządu technicznego (cokolwiek by to miało znaczyć), który zjednoczy całą opozycję, od Lewicy do Konfederacji, i jeszcze dodatkowo będzie miał wsparcie części rządzącej prawicy, z Jarosławem Gowinem na czele. Ktoś, kto wymyślił ten plan, musiał być, powiem to wprost, niespełna rozumu. Jaki to niby interes miałyby poszczególne partie, żeby tworzyć wbrew własnym elektoratom hybrydowy, skazany na wewnętrzne rozdarcie, pozbawiony programu i celu rząd? Co miałoby go spajać? W jaki sposób uchroniłby się on przed starciem z prezydentem? Dlaczego do opozycji miałby dołączyć Jarosław Gowin, który musiałby porzucić Zjednoczoną Prawicę, zaprzeczyć wszystkiemu, co robił i mówił, a nadto jeszcze wystawić się na mordercze ataki? Powtarzam: taka myśl mogła pojawić się jedynie w głowie tych, którzy swoje idiosynkrazje i uprzedzenia biorą za rzeczywistość

Ta wiara we własną propagandę była przyczyną drugiej katastrofy – braku poparcia dla Funduszu Odbudowy Unii. Nigdy wcześniej chyba żadna partia nie zachowała się tak całkiem sprzecznie z nastrojami i oczekiwaniami własnego elektoratu. Od chwili, kiedy premier Mateusz Morawiecki podpisał umowę z Brukselą, PO powinna być pierwsza w wyrażaniu zachwytów i udzielaniu poparcia. No, może z delikatnym przymrużeniem oka: „Cieszymy się, że PiS udało się osiągnąć prawie tyle, co my byśmy dostali". Zamiast tego liderzy PO próbowali szantażować, grozili głosowaniem przeciw Funduszowi, udawali, że mogą zablokować przyjęcie planu. Partia euroentuzjastów zachowała się tak, jakby reprezentowała eurosceptyków.

Rozgromienie PO nie musi jednak wcale, to paradoks, oznaczać łatwego i bezspornego zwycięstwa PiS w wyborach. Po pierwsze, istnieje bardzo poważny problem relacji z UE, który rzuca się cieniem na przyszłość. W końcu część prawicowego elektoratu pamięta mocne i stanowcze słowa liderów PiS o budowaniu „Europy ojczyzn". Pamięta sprzeciw wobec idei Unii jako państwa federalnego, a przyjęcie Funduszu takie niebezpieczeństwo w sobie niesie. Tak samo można przypomnieć, co PiS mówił o zagrożeniu dla suwerenności, które wynika z zaakceptowanego przez rząd mechanizmu „pieniądze za praworządność". Wątpliwości jest więcej. Polski Ład, inaczej niż obietnice z roku 2015 (chodzi o program „500+" i powrót do dawnego wieku emerytalnego), nie ma wyłącznie charakteru pozytywnego. O ile poprawia sytuację emerytów i ogólnie mniej zarabiających, o tyle z pewnością uderza w interesy wielu milionów małych przedsiębiorców i ludzi lepiej zarabiających, niekoniecznie przecież wcześniej przeciwników PiS. Dzisiaj nie będą oni mieli innego wyjścia niż poszukanie sobie nowego obrońcy swoich interesów. Statystycznie to grupa mniej liczna niż ta, do której skierowany jest Polski Ład, jednak kto wie, czy nie będzie ona bardziej zmobilizowana i zdeterminowana? ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl ec86032006

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM
SZKOŁA, KTÓRA NIE UCZY WARTOŚCI, NIE WYCHOWUJE
Wprowadzimy „Pakiet wolności akademickiej"

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA SPUSZCZA Z AMBICJI
PiS realizuje swoje obietnice

25 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM
KOWALSKI ZAPŁACI WIĘCEJ NIŻ KORPORACJA

28 KAMILA BARANOWSKA
PLATFORMA BEZ KOTWICY

30 JAKUB ZGIERSKI
IDEOLOGIA IMPORTOWANA

34 ROZMOWA Z DR. TYMOTEUSZEM ZYCHEM
PRZYWRÓĆMY WŁAŚCIWE ROZUMIENIE PRAW CZŁOWIEKA

36 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
LICEALNA KONSPIRA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SPRAGNIENI PODRÓŻY

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
SNY O IMPERIUM
Nowa powieść autora „Metra 2033"

42 ROZMOWA Z PIOTREM ŁOPUSZAŃSKIM
BOLESŁAW LEŚMIAN – POETA MIŁOŚCI

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 JERZY KARWELIS
COVID-19 – LUDZIE MEDIÓW „MAJĄ KREW NA RĘKACH"
Dlaczego tak nas straszą wirusem

53 ROMUALD SZEREMIETIEW
STRATEGIA OBRONNOŚCI!

56 ŁUKASZ WARZECHA
KOPERTOWA PROWIZORKA

HISTORIA

58 ANDRZEJ NOWAK
KLĘSKA IMPERIUM I PLANY GEOPOLITYCZNEGO REWANŻU
Kulisy sowieckiej strategii „wmieszatielstwa"

ŚWIAT

64 ROZMOWA Z JEANEM-PIERRE'EM FABRE-BERNADAKIEM
POLSKA POKAZUJE NAM DROGĘ
Autor francuskiego „listu generałów": Grozi nam wojna między dwiema kulturami

68 PIOTR WŁOCZYK
DANIA NA WOJNIE Z GETTAMI

70 ROZMOWA Z WŁADIMIREM MIŁOWEM
ROSJI POTRZEBNA JEST DEKOMUNIZACJA

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
SMOK INFLACJI PODNOSI GŁOWĘ
Ceny rosną najszybciej od 20 lat

SPORT

78 ŁUKASZ ZBORALSKI
NADAL IGA
Gwiazda z zadatkiem na arcygwiazdę

80 ŁUKASZ MAJCHRZYK
ROBERT LEWANDOWSKI – BOHATER CZASÓW PROSPERITY

O ZDROWIU

82 DODATEK SPECJALNY
WIZJONERZY 2021
Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce 2021–2023

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (76), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl ec86032006

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Szydłowski/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 61,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Stary wiarus Tradycji", Marek Jurek, „DRz" 20/2021

Szanowni Państwo,
dobrze, że Marek Jurek w swym felietonie w „Do Rzeczy" nr 20/2021 wspomniał śp. ks. Paula Aulagniera, zmarłego 6 maja br., szkoda jednak, że tę nieznaną szerzej w Polsce postać sprowadził do jego książki „Polityka Jana Pawła II", która w samej Francji przeszła bez większego echa. Ksiądz Aulagnier zapisał się trwale na kartach historii Kościoła jako pierwszy przełożony dystryktu Bractwa św. Piusa X we Francji w latach 1976–1994, który mimo dezaprobaty i nękania ze strony francuskich biskupów (oraz Watykanu!) przez 18 lat swej posługi dbał o rozwój instytucjonalny tej najliczniejszej wówczas gałęzi ruchu tradycjonalistycznego na świecie. Niestrudzenie erygował przeoraty i organizował miejsca tradycyjnego kultu katolickiego w całym kraju, otwierał szkoły i domy rekolekcyjne, kandydatów do kapłaństwa kierował do seminarium w Ecône. W późniejszych latach stworzył także profesjonalny biuletyn informacyjny „DICI", który dał podwaliny pod obecny międzynarodowy portal fsspx.news. Wszystkim komunikował swój entuzjazm dla „Tradycji niezlęknionej". Requiescat in pace.

Franciszek Malkiewicz

REKLAMA

FOREINTRADE sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie informuje, że pompa do wody KRAFT & DELE PROFESSIONAL model: SWP-550-50(KD762) kod EAN 5903175337504 i pompa do wody KRAFT & DELE PROFESSIONAL model: BW-012-40-U5(KD750, VMP60) kod EAN 5901638110596 nie spełniają wymagań określonych w rozporządzeniu ministra rozwoju z dnia 2 czerwca 2016 r. w sprawie wymagań dla sprzętu elektrycznego, z uwagi na zastosowanie przewodu przyłączeniowego o niewystarczającej długości, zastosowanie w wyrobie konstrukcji niezapewniającej ochrony przed porażeniem prądem elektrycznym, co stwarza ryzyko porażenia prądem elektrycznym.

Ogłoszenie publikuje się w związku z prowadzonym postępowaniem przed prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

eprasa.pl ec86032006

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sen o białym koniu

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Niech żyje marszałek Polski – Anders". Ten napis w nocy z 12 na 13 grudnia 1949 r. wykonali młodzi konspiratorzy z Polskiego Wojska Podziemnego na ścianach szkoły w miejscowości Obra Stara w woj. poznańskim. Generał Władysław Anders nigdy nie otrzymał marszałkowskiego tytułu. Ale ten napis wykonany przez młodych patriotów doskonale pokazywał, kim był dowódca spod Monte Cassino dla Polaków żyjących w nowym systemie. Był kimś, kogo bali się komuniści. A to już było bardzo dużo, dlatego tę nominację na marszałka przez młodych konspiratorów potraktujmy bardzo serio. Dla Polaków żyjących po wojnie pod narzuconą władzą był marszałkiem wolnej Polski. Skąd wziął się symbol białego konia, związany nierozdzielnie z Andersem? W dziejach Polski był to symbol dowódcy wojsk. Na polu bitwy posłańcy z meldunkami, nieznający zazwyczaj wodza z wyglądu, kierowali się prosto ku temu dowódcy, który zasiadał na rumaku o jasnej maści. Liczne sztychy przedstawiały księcia Józefa Poniatowskiego, który właśnie na białym koniu rzucał się do Elstery.

„Powiedzenie: Czekasz na Andersa na białym koniu – częste w rozmowach za stalinizmu – brzmiało jak groźba" – wspomina Ewa Berberyusz. „Przelękłam się, słysząc je z ust kolegi należącego do ZMP. Oznaczało bowiem, że sprzeciwiam się obowiązującej władzy". Ten kult Andersa zaczął się jeszcze w czasie wojny. Już samo zwycięstwo w walce o włoski klasztor było przedmiotem dumy Polaków w okupowanej Warszawie. „Może wyszedł szczęśliwie z Andersem?" – tak pocieszano tych, których bliscy padli ofiarą wywózek w głąb Rosji. [...]

Polacy w kraju byli dumni ze zwycięstwa pod Monte Cassino, a jeszcze bardziej z generała, który i tak już miał sławę polskiego Mojżesza, który wyprowadził zesłańców z sowieckiej ziemi niewoli na Bliski Wschód. [...]

Po latach publicysta historyczny Tomasz Stańczyk pisał: „Generał Anders rozumował tak: Jeśli zdobędziemy Monte Cassino, a zdobyć je musimy, to wysuniemy sprawę polską – obecnie tak tłamszoną – na czoło zagadnień świata i damy rządowi polskiemu nowy atut w obronie naszych praw". Na tle kryzysu politycznego w polskim Londynie gen. Anders opromieniony zwycięstwem pod Monte Cassino szybko stał się najbardziej rozpoznawalnym liderem obozu wolnej Polski. Nowy premier Tomasz Arciszewski nie był szerzej znany, a powojenny konflikt w łonie emigracji wokół przejęcia władzy przez prezydenta Augusta Zaleskiego osłabił autorytet polskiego Londynu. Na tym tle Władysław Anders był nadzieją. Wbrew wszystkiemu wierzono w powrót do Polski z bronią w ręku jego wygnańczej armii. [...]

Ważnym czynnikiem popularności generała w kraju był przebój „Czerwone maki na Monte Cassino", który stał się niezwykle szybko nieformalnym hymnem Polaków niegodzących się z sowieckim panowaniem. ©℗

FOT. SHAWN THEW/EPA/PAP

BIDEN DAŁ WYGRAĆ PUTINOWI?

Departament Stanu odstąpi od sankcji związanych z budową rurociągu Nord Stream 2 – podały w ubiegłym tygodniu amerykańskie i niemieckie media. Według nieoficjalnych informacji powodem decyzji prezydenta Joe Bidena ma być troska o to, by nie narazić na szwank relacji Waszyngtonu z Berlinem. Nawet liberalna stacja CNN oceniła, że taka decyzja Białego Domu oznacza „zwycięstwo prezydenta Rosji Władimira Putina, który, jak obawia się wielu w Kongresie, zyska teraz większy wpływ na Europę Wschodnią". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ec86032006

TSUE nakazuje wstrzymanie wydobycia węgla

„Polska zostaje zobowiązana do natychmiastowego zaprzestania wydobycia węgla brunatnego w kopalni Turów" – czytamy w wydanym w piątek postanowieniu Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Skargę złożyły Czechy. Nasi sąsiedzi domagali się nakazania natychmiastowego zaprzestania wydobycia do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy. Argumentowali, że negatywne skutki działalności kopalni Turów w Bogatyni są odczuwalne na przygranicznych terenach Czech. „Podnoszone przez Czechy zarzuty dotyczące stanu faktycznego i prawnego uzasadniają zarządzenie wnioskowanych środków tymczasowych" – uzasadnia TSUE. PGE Polska Grupa Energetyczna skomentowała to postanowienie na Twitterze: „Decyzja TSUE to droga do dzikiej transformacji energetycznej. Unijny zielony ład na naszych oczach ponosi porażkę". ©℗ ***(raw)***

GUS: SZYBKO PRZYBYWA NOWYCH MIESZKAŃ W POLSCE

Liczba mieszkań, których budowę rozpoczęto w kwietniu 2021 r., wzrosła w ujęciu rocznym aż o 92,4 proc. do 26 261 – podał w ubiegłym tygodniu Główny Urząd Statystyczny. Z najnowszych danych GUS wynika także, że znacząco wzrosła liczba mieszkań oddanych do użytkowania. Tylko w kwietniu oddano ich 18 856, czyli o 33,6 proc. więcej niż w tym samym miesiącu zeszłego roku. O 62,4 proc. do 27 145 zwiększyła się z kolei liczba mieszkań, na których budowę wydano pozwolenia lub dokonano zgłoszenia z projektem budowlanym. Duży wzrost widać również w danych za cztery pierwsze miesiące obecnego roku. Liczba mieszkań oddanych do użytkowania od stycznia do kwietnia wzrosła o 13,3 proc. do 72,2 tys. mieszkań. ***(jap)*** ©℗

92 proc.

O TYLE WZROSŁA LICZBA MIESZKAŃ, KTÓRYCH BUDOWĘ ROZPOCZĘTO

HULAJNOGI JUŻ UREGULOWANE

20 maja w życie weszło nowe prawo, które zakazuje użytkownikom hulajnóg elektrycznych jazdy chodnikiem, we dwójkę na jednej hulajnodze, a także po alkoholu. Zgodnie z nowymi przepisami kierujący hulajnogą musi poruszać się zgodnie z zasadami ruchu drogowego po drogach dla rowerów, pasach rowerowych wydzielonych z jezdni lub trasach. Gdy nie ma takiej możliwości, można też skorzystać z jezdni, ale tylko gdy ograniczenie prędkości na niej wynosi maksymalnie 30 km/h. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

Z wielkim smutkiem żegnam

śp. Jerzego Wilka

wybitnego polityka,
samorządowca i społecznika,
posła
na Sejm Rzeczypospolitej VIII i IX kadencji,
byłego Prezydenta Elbląga.

Tracimy zasłużonego parlamentarzystę – członka sejmowych Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej oraz Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej,

zaangażowanego samorządowca od urodzenia związanego z Elblągiem:

przewodniczącego i wieloletniego radnego Rady Miejskiej,

niestrudzonego opozycjonistę – działacza NSZZ „Solidarność".

Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

Odszedł człowiek całym sercem oddany ludziom, regionowi i Polsce.

Rodzinie i Bliskim

składam wyrazy głębokiego współczucia

Mateusz Morawiecki

Prezes Rady Ministrów

eprasa.pl ec86032006

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Siła rozczarowania

W czasach, gdy tak intensywnie promuje się recykling, Szymon Hołownia zasłużył na jakąś nagrodę. Wędrówki polityków z partii do partii nie są niczym nowym, ale jak dotąd tylko uzupełniały partyjne kadry. Hołownia jako pierwszy postanowił oprzeć budowę swej formacji całkowicie na politycznym surowcu wtórnym. Przy czym w przeciwieństwie do recyklingu w innych niż polityka dziedzinach, w którym przerabia się tylko surowce jakiegoś określonego rodzaju, Hołownia nie jest wybredny. Do skrajnej lewaczki, współzałożyciela neochrześcijańskiej sekty ciążącej ku tzw. skrajnej prawicy oraz byłych członków PO i Nowoczesnej dołączył właśnie byłego członka Porozumienia, które, przypomnę, stanowi „prawicowy", konserwatywno-liberalny komponent Prawa i Sprawiedliwości.

A przecież koło poselskie to tylko najbardziej widoczna część struktury. Jest jeszcze zaplecze „eksperckie", czekające w gotowości, by przystąpić do realizowania programu partii, gdy tylko wyborcy dadzą taką okazję – gen. Mirosław Różański, Jacek Cichocki, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz… Czy w ogóle są u Hołowni jacyś ludzie, którzy nie rozczarowali się wcześniej innymi formacjami politycznymi, nie wydaje się, ale sądzę, że jeśli nawet komuś takiemu roiło się zaangażowanie się w działalność tej „nowej siły" politycznej, to jeszcze się zastanowi.

Z tak różnorodną załogą na pokładzie śmiało może Szymon Hołownia zacytować kultowy film: „Ja wam wszystko zaśpiewam". Drobną próbkę prezentuje na zamieszczanych w Internecie filmikach, gdzie wypowiadając się na rozmaite tematy, od budownictwa do obronności, prezentuje poglądy nieskażone znajomością rzeczy, ale równie szerokie jak spektrum ideologiczne jego parlamentarnej reprezentacji. Właściwie jedyna ich merytoryczna dominanta to chętne używanie słowa „znowu". Gdy Hołownia dojdzie do władzy, to urządzi wszystko po nowemu, tak że „znowu" będzie dobrze. Czyli po nowemu to tak, jak było, zanim zaczął rządzić PiS.

Fakt, że ok. jednej piątej Polaków jest gotowych na niego głosować, coś mówi – ale chyba nie o nim, tylko o desperacji wyborców. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Samotność i siła

Na kolejny akt konfliktu izraelsko-palestyńskiego można patrzeć przez telewizor, ale można też przez pryzmat historii. Nawet krótka analiza pokazuje, jak bardzo podobny jest do kwestii ukraińskiej w Drugiej Rzeczypospolitej. Racje historyczne i społeczne krzyżują się z geopolityką. Wrzesień '39 potwierdził, jak niezbędna była Polsce granica ze sprzymierzoną Rumunią (a potem i z Węgrami). Najkrótsze zaś zwężenie terytorium Izraela, dzielące granicę Autonomii Palestyńskiej od morza, to ledwie kilkanaście kilometrów. Bezpieczeństwo to najbardziej niezbywalne wśród praw narodu, które chronić musi każdy rząd.

W obu wypadkach separatyzm łączy się z terroryzmem. Z drugiej strony sprawę zaogniła kolonizacja (nie w Gazie czy w Galicji Wschodniej, ale na Zachodnim Brzegu Jordanu i na Wołyniu). W obu wypadkach państwo panujące ma uzasadnioną obawę, że słabość wobec terroryzmu może zakończyć się katastrofą. Gdy więc mówimy o proporcjonalności reakcji, zawsze warto zdawać sobie sprawę ze względności tego pojęcia: czy chodzi o reakcję proporcjonalną do (aktualnego) ataku, czy do (potencjalnego) zagrożenia. W tej i innych kwestiach oba państwa zmagają się z niezrozumieniem międzynarodowym. Bo nie chodzi o to, by perorować o „arabskich rezunach", ale by rozumieć dramatyzm sytuacji. Choć Ukraińcy przed wojną mieli i zrozumiałe pretensje, i różne poglądy (a były wśród nich również ofiary banderowskiego terroryzmu), to finał tej tragedii był jeden. A polityka zawsze musi traktować jako realne to, co tylko możliwe.

Po wszystkich demonstracjach niechęci i niezrozumienia, których Polska (mimo wielu aktów solidarności) doświadczyła od Izraela w ciągu ostatnich lat, nie mamy powodów, by w kwestii palestyńskiej prowadzić politykę inną niż Unia Europejska. Choć wydawałoby się, że Izrael ma powody, aby chcieć, by Polska prowadziła inną od Unii politykę. Jego politycy uznali, że jest inaczej. ©℗

eprasa.pl ec86032006

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O obrazie majestatu

Robienie sobie żartów z władzy nie zawsze kończy się dobrze. Rosyjskie gorzkie porzekadło, które powstało w czasach, gdy w Rosji sowieckiej za dowcipy polityczne lądowało się w więzieniu, brzmi: „Nie szuti, nie szuti. Szutniki Biełomorskij Kanał wzniesli". Czyli: „Nie żartuj, nie żartuj. Żartownisie zbudowali Kanał Białomorski". Przy jego budowie zginęło 50–80 tys. więźniów. Na szczęście,

zgodnie z diagnozą Marksa, ta ponura historia w wolnym świecie powtarza się teraz już tylko jako farsa. Żałosne widowisko wystawiają włoscy i unijni postępowcy.

W telewizji publicznej RAI w ramach cyklicznego autorskiego programu pani Pariselli nadano dwuminutowy satyryczny prztyk pt. „Kontrapunkt". Na ekranie pojawia się kreskówka z kucharzem, co wraz z odpowiednio dobraną muzyką jest dla widza jasnym przekazem, że za chwilę „będą jaja". I rzeczywiście. Szef kuchni poleca po kolei: susz z moli z mlekiem z zielonego groszku, befsztyk bezmięsny, wegetariańskiego tuńczyka, a na deser biszkopt z larwami mącznika młynarka, umoczony w rozwodnionym winie. Potem następują wyjaśnienie, że Unia Europejska uznała te specjały za znakomitą, zdrową żywność, i uwaga, że w Brukseli jako niezdrowe oceniono takie włoskie produkty, jak szynka parmeńska, oliwa z oliwek czy mozzarella. Potem było kilka słów o tym, że na unijnej polityce zaciskania pasa Italia i Grecja nie wyszły najlepiej.

Wystarczyło. Natychmiast za pióro chwycili szefowie przedstawicielstwa Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej we Włoszech. Wysmarowali list protestacyjny do dyrektora RAI, w którym mowa jest o fałszywym, tendencyjnym i wypaczonym obrazie Unii Europejskiej w „Kontrapunkcie". Panowie wyrażają nadzieję, że dyrektor RAI w tej sprawie poczyni odpowiednie kroki, aby ta sytuacja się nie powtórzyła. W podobnym tonie zareagowali przywódcy włoskiej lewicy. Dyrektor RAI, zamiast wysłać ich wszystkich do diabła albo do Tworek, wytłumaczyć, czym jest satyra, przesunął program pani Pariselli na czas niskiej oglądalności.

„Nie szuti, nie szuti...". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Artysty ubożejo!

Nędza zaczyna zaglądać w oczy artystów tak głęboko, że zdolni są oni do kroków desperackich! Dowodów dostarczył Twitter, a właściwie pewien złośliwy użytkownik Rafał Otoka-Frąckiewicz, który ma pamięć, a nie każdy ma. I ten Otoka pamiętliwy umieścił stosowny filmik złożony z dwóch filmików. Na obu występuje bardzo znany i bardzo popularny pisarz chyba jeszcze młodego pokolenia – Zygmunt Miłoszewski lat 45.

Na pierwszym (chronologicznie) pisarz mówi chyba w TVN dość buńczucznie (buńczuczność dobrze się sprzedaje, w odróżnieniu od dobrego wychowania i powściągliwości): „Mnie tak naprawdę PiS nie dotyka, bo ja jestem zamożny. Moje młodsze dziecko chodzi do prywatnej szkoły, żeby się nie uczyć ciągle o Janie Pawle II i o tym, że trzeba gonić geja. Moje żona, albo córka, gdyby były w niechcianej ciąży, to następnego dnia będziemy w hotelu w Amsterdamie, jeszcze zrobimy sobie z tego fajną wycieczkę po Europie". Nie no, pozazdrościć. Ten reżim to może panu Zygmuntowi tam, gdzie pan może pana majstra et cetera, że strawestuję sobie skecz Gołasa i Kobuszewskiego.

Lecz nadeszły miesiące chude. Buńczuczność pisarza najwidoczniej schudła. W drugim filmiku nagranym właśnie po kilku miesiącach w wywiadzie z redaktorem Robertem Mazurkiem ten sam pisarz Zygmunt w bardziej powściągliwe uderza tony dotyczące władzy: „Chodzi o przeżycie całej grupy społecznej, grupy, która poświęciła swoje życie, żeby w biedzie i w trudności tworzyć kulturę. Jak trzeba będzie codziennie chodzić na selfiki z Piotrem Glińskim i to będzie koszt, żeby ta ustawa powstała, to będę to robił". Panu pisarzowi chodziło o ustawę reprograficzną, która byłaby w sumie dodatkowym podatkiem, a pieniądze z owego podatku trafiałyby do artystów. Za dużych oszczędności to chyba pisarz nie miał...

Znają Państwo twitterową akcję „Żona uszanowała męża"? Jej autorem jest były komisarz Jacek Wrona, który pokazuje różne kuchenne frykasy przygotowywane mu przez osobistą żonę. Na początku trochę się z Jacka podśmiewano, niemniej różnorodność i bogactwo frykasów zmieniły uśmiechy na proste, acz bezwolne ślinienie się. Tenże Jacek podał za rp.pl wyniki badań, które podobno dla kogoś były szokujące. Wyniki były następujące: „Mężczyźni wolą umrzeć, niż przejść na weganizm". Po jaką dżumę robić badania retoryczne? ©℗

eprasa.pl ec86032006

SZOK W TRAMWAJU

Małgorzata Rozenek postanowiła podzielić się ze światem swoimi wrażeniami z niecodziennej wyprawy. Chodzi o – uwaga, uwaga – przejażdżkę... warszawskim tramwajem! W wywiadzie z serwisem Pudelek wspominała też wspaniałe czasy, gdy sama robiła zakupy i chodziła na bazarek.

– Zdarza mi się chodzić do warzywniaka. Nie robię codziennych zakupów, bo nie mam na to czasu. Uwielbiam chodzić do warzywniaka, wyprawa na bazarek była dla mnie przyjemnością – opowiada. Relacja z jazdy tramwajem (całe dwa przystanki, dacie wiarę?) pojawiła się natomiast na jej Instagramie. – Pojechałam komunikacją miejską, bo chcę nauczyć się ekologicznych zachowań. Byłam zszokowana tym, jak dobrze wygląda komunikacja miejska. Wow! Byłam dumna, jak tu jest fajnie. Najbardziej mnie zdziwiło, że są wyświetlacze! Odkrywam świat – mówiła wyraźnie podekscytowana. – Poczułam się starszą panią, która nie widziała pewnych rzeczy dawno. Teraz wyzwanie przede mną: metro! – zapowiedziała. Metro jak metro, my czekamy na jej podróż PKS-em. To dopiero będzie adrenalina!

FOT. PAWEŁ GRONADA

MARNA SENSACJA

Aktor Robert Kudelski pochwalił się w „Super Expressie", że udało mu się schudnąć 20 kg bez stosowania restrykcyjnej diety. – Kupiłem wagę. Wszedłem na nią. Było grubo. Ważyłem 107 kg – opowiedział na łamach tabloidu. Po czym zdradził sekrety swojego odchudzania. – Odrzuciłem sól, mięso, wędliny. Jem warzywa i owoce, jak należy. Ale jem też buły. Mogę zjeść knedla, mogę zjeść pyzę, mogę zjeść kawałek chleba z serem. Odstawiłem mięso i gazowane cuda-niewidy – wylicza. No takimi newsami to pan Robert zamieszania w show-biznesie nie zrobi. A zresztą, cokolwiek by zrobił, Małgorzaty w tramwaju i tak już nie przebije. No przykro nam bardzo, ale taka prawda.

AAAAA... ASYSTENTA SZUKAM

Choć trzeba przyznać, że rzuconą przez Małgorzatę rękawicę podjęła Maja Bohosiewicz. Celebrytka ogłosiła, że poszukuje osobistej asystentki lub asystenta. I opisała swoje wymagania. Dość wygórowane, trzeba przyznać, czym naraziła się na ostrą krytykę. Z ogłoszenia dowiadujemy się, że wśród obowiązków jej pracownika byłoby prowadzenie kalendarza, organizowanie sesji zdjęciowych, kontaktowanie się z księgowymi, kupowanie biletów lotniczych oraz – to nasze ulubione – rozwiązywanie problemów dnia codziennego. „Dla osoby dyspozycyjnej. Nienormowany czas pracy często też nienormalny czas pracy. Dla osoby ze stalowymi nerwami. Która potrafi działać pod presją czasu i pod wpływem czynników stresujących. Dla osoby, która informując o problemie, przychodzi przynajmniej z jednym (nawet średniej jakości) rozwiązaniem. Osoba »w punkcik«, której nie umyka żadna data, fakturka czy spotkanko. Ogarniacz życia. Osoby, które wiedzą, że ich stan zdrowia interesuje tylko dwie osoby na świecie: mamę oraz lekarza prowadzącego" – wylicza Maja.

Posypały się gorzkie słowa, oj posypały. Niektórzy pisali, że już od samego czytania wymagań poczuli się zmobbingowani, drudzy wytykali, że chyba zapomina o Kodeksie pracy, a jeszcze inni nazwali celebrytkę „grażyną biznesu". Cóż, tak zmasowanej krytyki biedna Maja się chyba nie spodziewała. A przecież chciała dobrze! Dla siebie dobrze, jak zawsze przecież.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

TWARZ LAKTATORÓW BRZMI DUMNIE

Maffashion, blogerka modowa i influencerka, która niedawno po raz pierwszy została mamą, zarzekała się, że będzie chronić swoją prywatność po urodzeniu dziecka i że na dziecku zarabiać nie będzie. Tyle deklaracje. Właśnie okazało się bowiem, że podpisała kontrakt reklamowy z producentem laktatorów i wystąpiła przy tej okazji w specjalnej sesji zdjęciowej z dzidziusiem na rękach. – Tak! Jestem mamą, kochającą i niezwykle szczęśliwą z tej nowej roli. [...] Tematem ważnym i wielokrotnie trudnym dla każdej młodej mamy jest karmienie piersią. Ktoś inny powie „kontrowersyjne"? Nie dla mnie! Pierwsze tygodnie mojego „macierzyństwa" to było czytanie niezliczonej liczby porad, pytań i historii przyszłych i obecnych mam. I doskonale wiem, jak temat laktacji jest istotny i należy o nim mówić – tłumaczy swój udział w reklamie. Gdy wytknięto jej niekonsekwencję oraz to, że zarabia na dziecku, postanowiła odpowiedzieć na te zarzuty. – Na mleku zarabiam. I wydaje mi się, że to bardzo potrzebna kampania. A i cię zaskoczę! W reklamie to nie mój syn!!! Ha! Specjalnie dla takich jak ty... taki zoonk! – napisała w odpowiedzi na krytykę. A niech zarabia sobie na tym mleku, dziecku i laktatorach. My tam jej nie zazdrościmy. No bo ile razy by sobie nie powtórzyła, że bycie „twarzą laktatorów" brzmi dumnie, to jednak trudno to rozpatrywać w kategorii życiowych sukcesów. Gorzej mają tylko „twarze rajstop". ©℗

eprasa.pl ec86032006

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, polski piłkarz Robert Lewandowski jest o krok od pobicia rekordu w liczbie strzelonych goli w jednym sezonie niemieckiej pierwszej ligi piłki nożnej. Pisząc te słowa, nie wiemy jeszcze, jak to się wszystko potoczyło, a Wy o tę wiedzę jesteście już bogatsi.

Pewnie też zastanawiacie się, po co Wam o tym piszemy, skoro piłka nożna to maskulinistyczny sport dla ociekających testosteronem prymitywnych samców. Otósh piszemy dlatego, iż piłkarz Lewandowski zdaje się zupełnie nie wykazywać historyczną i polityczną wrażliwością, która podpowiedziałaby mu coś w rodzaju: „Robert, stop, już nie strzelaj, wystarczy".

Niemieccy dziennikarze apelują do Roberta, iżby uszanował blisko 50-letni rekord Gerda Müllera i nie strzelał gola w ostatniej kolejce ligowej. My dołączamy się do tego rozpaczliwego apelu ze słowami, iżby Robert mając na uwadze bolesną i trudną historię obu krajów oraz dyskusyjną narrację o winie i odpowiedzialności, dał sobie już na wstrzymanie.

Mało się niestety mówi o tym, iż ten cały Polski Ład sprawi, że młodzi ludzie się będą uczyć historii tego kraju w oderwaniu od historii Europy i świata.

Otósh, jak zapowiedział rząd, nauczanie historii zostanie podzielone na historię Polski oraz historię powszechną. To oczywiście ma na celu pokazać młodzieży historię tego kraju jako nieustające pasmo sukcesów i triumfów, w oderwaniu od trudnej i bolesnej roli, którą odegraliśmy w historii świata.

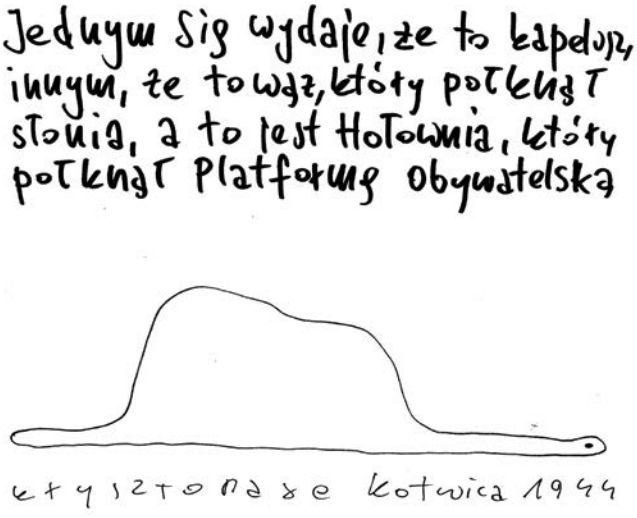

W dodatku taki podział wskazywać może na to, iż historia tego kraju uznawana jest za lepszą i ważniejszą, a historia starożytnych Sumerów, Asyryjczyków, już nie wspominając o Inuitach i Aborygenach, będzie lekceważona i traktowana jako gorsza.

Stąd krok tylko do obowiązkowej historii na maturze i pretekst do niewpuszczania ludzi na studia, iż nie będą w stanie podać daty dziennej chrztu Jarosława Kaczyńskiego.

Stało się to, czego się obawialiśmy. Po zdjęciu maseczek w przestrzeni publicznej naszym oczom ukazało się mnóstwo nieuśmiechniętych, ponurych i agresywnych polskich twarzy.

Postanowiliśmy więc kolektywnie przeprowadzić performens i nadrabiając miesiące dystansu społecznego, z bliska uśmiechać się do takich smętnych januszy, iżby zarazić ich naszym entuzjazmem.

Niestety, reakcje nie były pozytywne: zostaliśmy posądzeni o bycie pod wpływem marihuaen, ktoś nas wziął za niemieckich turystów (to akurat miłe), a ktoś inny zagroził, że jeśli nie przestaniemy się uśmiechać, to wezwie sanepid i policję. Jedna grażyna to nawet zażądała od nas zaświadczenia o szczepieniu i psiknęła nam w oczy płynem do dezynfekcji.

Chyba nic złego by się nie stało, gdybyśmy pozostali przy tych maseczkach. Dystans społeczny, zwłaszcza wobec tych, którzy mają odmienne poglądy, to jednak też coś, co przeciętnemu januszowi mocno weszło przez ostatni rok w krew :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Oj dana, dana, szczepionka kochana

Co taki masz nos na kwintę, Michał?
A statystykę szczepień widziałeś, Jacku? Wszystko oklapło. Mnie potem z tego będą rozliczać.

No to może trzeba jakoś zareklamować? Celebryci jacyś mieli być...
A wiesz, jakie to ryzyko? Ja takiemu celebrycie zapłacę, on zareklamuje, a potem wyciągną, że wcześniej razem z Górniak foliowe czapeczki nosili. Albo – co gorsza – zrobi jakiś kamingaut, jak ten... no, wiesz, ostatnio, i wyjdzie, że nam tu gej reklamował szczepienia. Albo, co gorsza, jakiś antybinarny elgiebete. I później będą żarty, że to przez szczepionkę... Nie, dzięki.

Słuchaj, a ty widziałeś taką piosenkę Warzechy? Chodziło po sieci jakiś czas temu. Coś tam: „Oj dana, dana, szczepionka kochana...".
Gdzieś mi się pojawiło. Ten to nas nienawidzi.

Ale właśnie: a jakby tak jego wziąć z tą piosenecką? To mógłby być hicior!
A wiesz, że może to nie jest takie głupie? Sprawdzę, czy mam jakieś poważne rezerwy na honorarium.
©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Przejęcie kontroli nad edukacją jest kluczowe dla władzy autorytarnej. Częściowo już do tego doszło [...]".

JANUSZ A. MAJCHEREK, *filozof, socjolog, w rozmowie z portalem Wiadomo.co*

eprasa.pl ec86032006

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z życia elit. Weekendowy wieczór zaraz po otwarciu na powrót knajpianych ogródków. Warszawa. W ogródku dziennikarka Maria Bnińska biesiaduje z posłami PeŁo. Biesiadujący rozochoceni wódeczką stojącą na stoliku oraz wolnością zaczynają skandować: „Je… PiS! Je… PiS!". I tu niespodziewana puenta. Lud Warszawy zamiast się dołączyć, odsuwał się w zażenowaniu.

Najwięcej elit – wiadomo, w Sejmie. Mamy info à propos wcześniejszych wyborów. Coś jest na rzeczy, ale z innego powodu, niż wszyscy uważają. W związku z tym, że jesienią 2023 r. nakładają się na siebie wybory samorządowe i parlamentarne, w kręgach władzy pojawił się koncept, żeby posłów wybierać wiosną 2023 r. Czekamy na ciąg dalszy.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Jest śmiesznie, bo wywalenie z PeŁo posłów Zalewskiego Pawła i Rasia Ireneusza ogłoszono „odcięciem konserwatywnej kotwicy". Well, drogi Watsonie, naszym zdaniem to najwyżej konserwatywna agrafka.

Jest jeszcze śmieszniej. Marszałkissimus Senatu Tomasz Grodzki w pocie czoła pisze preambułę do ratyfikacji unijnej kasy dla Polski. To znaczy, wydaje mu się, że pisze preambułę, a tak naprawdę to pisze epilog. Do czego? Do długiej historii Platformy Obywatelskiej.

Na razie wszyscy komentują Polski Ład. No i jest problem. Peezel ma pretensje, że mu ukradziono program. Lewica mówi, że będzie głosować „za", bo to jej program. Nawet PeŁo odkryła, że w Ładzie jest częściowo jej program. Wynika z tego, że PiS zamierza realizować program wszystkich. Program PiS – programem narodu!

W całym tym bardaku nie było łatwo się przebić z jakąś własną osobistą głupotką. Ale Misiowi Kamińskiemu się udało. Dawny spin doktor PiS, jeszcze wcześniej gwiazda Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, zaczął publicznie narzekać, że obecna opozycja jest za bardzo chrześcijańska. Cymes tygodnia!

Ponadpartyjny program ma też CBA. Znajdzie się coś atrakcyjnego dla przedstawicieli wszystkich ugrupowań. Otóż Abecadło dostało prezent z Austrii. Tamtejsze służby specjalne zabezpieczyły telefon z tajną korespondencją jednego z biznesmenów branży hazardowej. Ów biznesmen miał zapisane telefony nie tylko austriackich polityków, lecz także dużego grona polskich. Głównie czerwonych i zielonych braci. Ale nie tylko. Kilku konserwatystów też się zaplątało.

Doszły do nas sygnały, że czytelnikom bardzo spodobały się nasze opowieści z cyklu „Jak w Polsce powstają sondaże i po co". Oto zatem kolejny odcinek. Mało kto zwrócił uwagę na pozornie nic nieznaczące przesunięcie terminu posiedzenia Klubu Parlamentarnego PeŁo. A było tak. Kierownictwo dowiedziało się, że sondaż, który ukaże się w Polsacie, będzie wyglądał tak jak wszystkie – kierunek w dół. Postanowiono więc Klub zwołać natychmiast po spodziewanym ogłoszeniu sondażu zaprzyjaźnionej pracowni Kantar. Dlaczego? Porównajmy wyniki PeŁo z majowych sondaży. Było 12, 13, 16 i 17 proc. No i nagle fanfary i ognie sztuczne: Kantar – 24 proc. Czegoś nie rozumiecie?

W Platformie jest jednak spora grupa polityków, którzy nie utracili kontaktu z bazą i potrafią liczyć. Nic dziwnego, że Borys Budka nie jest już tytułowany „panem premierem". W kuluarach mówi się o nim „Mr 10 Procent".

Najzabawniejsza była jednak posłanka PeŁo Iwona Śledzińska-Katarasińska, która po Klubie oświadczyła, że podczas spotkania „ujawniła się wręcz nadzwyczajna jedność ideowo-moralna tego gremium". Wciąż jeszcze dochodzimy do siebie. Czas najwyższy zmienić nazwę „posiedzenie Klubu PeŁo" na „plenum Polskiej Zjednoczonej Platformy Obywatelskiej".

Swoją drogą, w Niemczech, kiedy sondaże swego czasu drastycznie (na Zachodzie mówią tak, gdy różnica wyniesie kilka procent) rozjechały się z wynikami wyborczymi, powołano komisję śledczą, uznając to za zagrożenie dla demokracji. U nas wyniki mogą odbiegać kilkanaście procent od średniej sondażowej, lecz któż by się tym przejmował.

W prasie. Pewne zamieszanie wywołała ostatnia okładka „GazPolu", na której Polski Ład promowano liternictwem wyjętym z „Gwiezdnych wojen" i tytułem „Nowa nadzieja". Phi! Jeśli ktoś chce czerpać z popkultury, to zapraszamy na lekcję do węgierskiej minister sprawiedliwości Judit Vargi. Otóż niedawno – 4 maja z okazji Star Wars Day – podpisywała dokumenty rządowe w towarzystwie pluszowej laleczki Baby Yoda z serialu „Mandalorian". Bardzo chcielibyśmy zobaczyć w podobnej scenie Ziobrę. Wtedy wybaczylibyśmy mu nawet Janusza Kowalskiego.

À propos pluszaków i innych gadżetów. Polska 2050 założyła sklepik z gadżetami. Można kupić między innymi torbę „Uśmiech Szymona". Za jedyne 85 ziko. Na torbie jest rzeczywiście słynne zdjęcie uśmiechniętego Szymona, w klimacie zadziwiająco przypominającym Jokera bez makijażu. Niestety, PeŁo chwilowo nie sprzedaje swoich gadżetów. Co nie dziwi. Musiałaby przecież zacząć od tak niechodliwego towaru jak „Łzy Borysława".

À propos uśmiechów – Węglarczyk Bartosz promuje na swym koncie TT mem z uśmiechniętym Tuskiem i uśmiechniętym Trzaskowskim, niebieskimi serduszkami oraz hasłem: „Tylko oni mogą uratować nas z rąk wewnętrznego agresora". Jesteśmy w kropce. O którego agresora chodzi? Schetynę czy Budkę? ©℗

eprasa.pl ec86032006

8 lat Telewizji Republika

REPUBLIKA

Za nami Wielka Gala Telewizji Republika.

Podczas wieczoru wręczyliśmy nagrody Telewizji Republika w kategoriach:

POLITYKA: prof. Ryszard Legutko
BIZNES: Adam Abramowicz
KULTURA: prof. Andrzej Nowak
OSOBOWOŚĆ ROKU: gen. prof. Grzegorz Gielerak

Muzyczną gwiazdą wydarzenia był zespół Zakopower, który wykonał utwory folkowe z elementami rocka i jazzu, na czele ze skrzypkiem Sebastianem Karpielem-Bułecką.

Dziękujemy, że spędziliście z nami ten niezapomniany wieczór!

Partnerzy strategiczni:

ORLEN PGNiG

Partnerzy główni:

LOTOS Poczta Polska

PPL Porty Lotnicze TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Partnerzy:

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO Bank Pekao budimex CECHINI MUSZYNA Elektro Odzysk

Grupa Inwest HM Inwest S.A. KGHM POLSKA MIEDŹ PKO Bank Polski PZU żabka

eprasa.pl ec86032006

FOT. ADOBE STOCK

Kredyty w czasach koronawirusa

Pandemia SARS-CoV-2 znacząco zmieniła rynek finansowy. Niemal wszystkie działające w Polsce banki przeniosły proces kredytowy w całości lub w dużej mierze do Internetu. Zaciąganie zobowiązań ułatwiają dodatkowo rekordowo niskie stopy procentowe. Na jakie pułapki uważać? Jak nie dać się oszukać?

W pierwszych miesiącach po wybuchu pandemii banki w Polsce – w odpowiedzi na niepewne perspektywy rozwoju sytuacji gospodarczej i rosnące ryzyko na rynkach finansowych – zaostrzyły politykę kredytową zarówno w segmencie kredytów konsumpcyjnych, jak i hipotecznych. Aby ograniczyć ponoszone ryzyko kredytowe, banki zaczęły ostrożniej pożyczać pieniądze osobom, które zatrudnione są na umowach cywilnoprawnych, czyli np. umowach-zleceniach czy umowach o dzieło. Problem z uzyskaniem kredytu gotówkowego podczas pandemii mogli mieć także zatrudnieni w branżach szczególnie narażonych na kryzys, takich jak turystyka, hotelarstwo, gastronomia czy branża eventowa.

Według najnowszego raportu NBP „Sytuacja na rynku kredytowym. Wyniki ankiety do przewodniczących komitetów kredytowych. I kwartał 2021 r." na kształtowanie się polityki kredytowej banków w IV kwartale 2020 r. wpływ miały ponowne nasilenie się pandemii COVID-19 oraz związany z tym wzrost ograniczeń w prowadzeniu działalności gospodarczej i ryzyko pogorszenia się stanu gospodarki kraju.

W okresie wrzesień–październik 2020 r. na rynku bankowym rozpoczął się jednak stopniowy wzrost popytu zarówno na kredyty konsumpcyjne, jak i na kredyty mieszkaniowe. W pierwszym kwartale 2021 r. nastąpił istotny wzrost popytu na kredyty mieszkaniowe. Według opublikowanego w kwietniu 2021 r. przez Biuro Informacji Kredytowej najnowszego odczytu BIK Indeks w marcu 2021 r. o kredyt hipoteczny zawnioskowało ponad 56 tys. osób – informuje Biuro Informacji Kredytowej. To o 19 proc. więcej niż w lutym i aż dwukrotnie więcej niż

eprasa.pl ec86032006

w pandemicznym „dołku" z kwietnia ubiegłego roku.

NIEBEZPIECZNE CHWILÓWKI

Autorzy wspomnianego raportu Narodowego Banku Polskiego zauważyli, że w segmencie kredytów konsumpcyjnych nastąpiło „złagodzenie, po raz pierwszy od I kw. 2019 r., kryteriów przy jednoczesnym dużym zróżnicowaniu polityki kredytowej poszczególnych banków". Banki zwiększyły m.in. maksymalną kwotę kredytu, ale jednocześnie podniosły marżę kredytową.

Część osób, które nie mają wystarczającej zdolności kredytowej, aby wziąć kredyt w bankach lub SKOK-ach, może więc zainteresować się ofertą pożyczek udzielanych przez tzw. parabanki. Pandemia COVID-19 ułatwia działanie nieuczciwych firm pożyczkowych. Ich oferta przyciąga te osoby, które nagle straciły pracę, ich bliscy ciężko zachorowali, a problemy ze spłatą wcześniejszych zobowiązań zamknęły drogę do ubiegania się o kredyt w banku.

Szybkie pożyczki „bez BIK" – choć obecnie łatwo można je zaciągnąć bez konieczności wychodzenia z domu (przez Internet) – często zamiast pomóc w rozwiązaniu trudnej sytuacji, wpędzają pożyczkobiorców w dużo większe tarapaty.

Nawet w trudnych sytuacjach życiowych warto pamiętać, że parabanki w przeciwieństwie do banków nie są regularnie sprawdzane przez Komisję Nadzoru Finansowego. Trafiając na pozornie korzystną ofertę, trzeba też sprawdzić wiarygodność pożyczkodawcy. W Internecie nie brakuje bowiem oszustów, którzy obiecują dogodne warunki, a po wpłaceniu opłaty za rozpatrzenie wniosku znikają z pieniędzmi.

Nawet w przypadku bardziej znanych instytucji pozabankowych – oferujących m.in. chwilówki dla zadłużonych – warto zwracać szczególną uwagę nie tylko na oprocentowanie, lecz także na wszelkie dodatkowe opłaty. Zgodnie z prawem maksymalne oprocentowanie kredytów nie może przekraczać 7,2 proc. w skali roku. Ustawodawca ograniczył także wysokość kosztów pozaodsetkowych – w przypadku pożyczek z terminem spłaty krótszym niż 30 dni maksymalne koszty pozaodsetkowe nie mogą przekroczyć 5 proc. całkowitej kwoty pożyczki, z kolei przy ofertach z terminem powyżej 30 dni – 15 proc. całkowitej kwoty pożyczki i 6 proc. tej kwoty za każdy rok trwania umowy.

Mimo to w Internecie zdarzają się oferty firm pożyczkowych, w których np. pożyczając 3300 zł, trzeba po miesiącu oddać 3830 zł – w takim przypadku rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO) przekracza 513 proc. W przypadku niektórych parabanków RRSO przekracza 1410 proc. (tysiąc czterysta dziesięć procent w skali roku!). To właśnie z powodu wyjątkowo wysokich całkowitych kosztów spłaty długi tego rodzaju są często tak trudne do udźwignięcia, że w spiralę zadłużenia z ich powodu łatwo wpaść nie tylko najbiedniejszym.

Błyskawicznie rosnące zadłużenie może zaś szybko doprowadzić do zajęcia majątku przez komornika lub windykatora, a nawet zmusić pożyczkobiorcę do ogłoszenia bankructwa.

Zawsze od pożyczkodawcy trzeba więc żądać jasnego określenia całkowitego kosztu pożyczki, okresu spłaty oraz warunków przyznania pożyczki. Najlepszym jednak sposobem na uniknięcie tego typu problemów jest regularne oszczędzanie, nawet niewielkich kwot.

Na szczęście wiele osób zdaje już sobie sprawę z ryzyka płynącego z korzystania z usług firm pożyczkowych. Według danych Biura Informacji Kredytowej popyt na pożyczki na rynku pozabankowym szybko maleje. Autorzy opublikowanej pod koniec stycznia 2021 r. informacji prasowej podsumowującej rok 2020 zauważyli, że „w całym 2020 r. popyt na pożyczki spadł o rekordowe 38,9 proc. w porównaniu z 2019 r., przy czym w kwietniu 2020 r. aż o 63,8 proc. Firmy pożyczkowe zakończyły rok 2020 sprzedażą na poziomie 4,8 mld zł, co oznacza spadek wartości udzielonego finansowania r/r o 33 proc.".

Podczas pandemii – ale też w innym okresie – warto również ostrożnie korzystać z karty kredytowej czy limitu zadłużenia na rachunku osobistym. Są to zazwyczaj najwyżej oprocentowane produkty bankowe, co sprawia, że one także niosą ze sobą ryzyko wpadnięcia w pułapkę szybko rosnącego zadłużenia.

NAJTAŃSZY KREDYT?

We wspomnianym raporcie „Sytuacja na rynku kredytowym. Wyniki ankiety do przewodniczących komitetów kredytowych. I kwartał 2021 r." analitycy NBP zauważyli, że „w IV kwartale 2020 r. pojedyncze banki nieznacznie złagodziły kryteria udzielania kredytów mieszkaniowych. Banki zaostrzyły niektóre warunki udzielania kredytów, m.in. podniosły marżę kredytową i marżę dla kredytów obarczonych wyższym ryzykiem".

Zaciągając kredyt mieszkaniowy, warto zwracać baczną uwagę na marżę kredytową. Wysokość oprocentowania kredytu hipotecznego zależy bowiem najczęściej od stałej marży banku oraz wskaźnika WIBOR, którego bieżąca wartość zależy m.in. od aktualnej wysokości stóp procentowych. Te, po trzykrotnych obniżkach w marcu, kwietniu i maju 2020 r., są na rekordowo niskim poziomie – to zaś sprawia, że od 29 maja 2021 r. odsetki ustawowe wynoszą zaledwie 3,6 proc., a kredyty mogą być oprocentowane na maksymalnie 7,2 proc. w skali roku.

Chociaż stopy procentowe są obecnie na rekordowo niskim poziomie, to nie warto pochopnie podejmować decyzji o zadłużeniu na najbliższe kilkadziesiąt lat. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że stopy procentowe mogą w przyszłości wrócić do poprzedniego poziomu. A to oznaczałoby istotny wzrost płaconej co miesiąc raty kredytu. Warto więc rozważyć zaciągnięcie kredytu oprocentowanego według stałej stopy procentowej. W pierwszym okresie może się on okazać droższy od kredytu oprocentowanego według zmiennej stopy, ale w razie nagłego wzrostu rynkowych stóp procentowych może okazać się korzystniejszą opcją. Zgodnie z „Rekomendacją S" Komisji Nadzoru Finansowego najpóźniej do końca 2020 r. banki powinny były umożliwić klientowi detalicznemu zmianę formuły oprocentowania kredytu ze zmiennej stopy procentowej na stałą stopę procentową lub okresowo stałą stopę procentową (banki spółdzielcze na dostosowanie się do nowej Rekomendacji mają czas do końca roku 2022).

Dobrze również mieć świadomość, że nieruchomości, choć mogą okazać się trafioną inwestycją, wcale nie muszą w dłuższym okresie wyłącznie zyskiwać na wartości. W czarnym scenariuszu wzrost kosztów obsługi kredytu w połączeniu ze spadkiem wartości nieruchomości może sprawić, że kredytobiorca mający problemy ze spłatą rat nawet po sprzedaży mieszkania i tak nie będzie w stanie spłacić w całości swojego zobowiązania wobec banku.

Z tego powodu nie powinno się wykorzystywać w całości aktualnej zdolności kredytowej, a maksymalną kwotę kredytu dobrze jest określić tak, aby wysokość rat za wszelkie kredyty nie przekraczała 30–40 proc. miesięcznych dochodów.

eprasa.pl ec86032006

CIUDAD AUTONOMA DE CEUTA
BALONMANO

FOT. BERNAT ARMANGUE/AP/EAST NEWS

SZTURM IMIGRANTÓW NA HISZPAŃSKĄ CEUTĘ

Co najmniej 10 tys. nielegalnych imigrantów z Maroka przedostało się w zeszłym tygodniu do hiszpańskiego miasta autonomicznego Ceuta, położonego w północnej Afryce, niemal naprzeciw Gibraltaru. Na ulicach i plażach młodzi, czasem nawet niepełnoletni intruzi toczyli walki z miejscową policją. Przerażeni mieszkańcy miasta żalili się zaś zagranicznym dziennikarzom, że sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Hiszpania musiała więc użyć do pomocy wojska.

Szturm tysięcy nielegalnych imigrantów wywołał oburzenie opinii publicznej, zniecierpliwionej fatalną polityką imigracyjną prowadzoną przez socjalistycznego premiera Sáncheza. Szef rządu ogłosił więc, że władze Hiszpanii deportowały do Maroka ponad 5 tys. nielegalnych imigrantów, którzy wtargnęli do Ceuty. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ec86032006

FOT. PRZEMYSŁAW BLECHMAN/MINISTERSTWO EDUKACJI I NAUKI

eprasa.pl ec86032006

Z Przemysławem Czarnkiem, ministrem edukacji i nauki
rozmawia Tomasz Rowiński

Szkoła, która nie uczy wartości, nie wychowuje

TOMASZ ROWIŃSKI: Od lat reformy edukacji w Polsce ograniczają się do przestawiania dobrze już znanego zestawu klocków. Podoba się to panu?

PRZEMYSŁAW CZARNEK: Przestawianie tych samych klocków do niczego nie prowadzi, tak jak mieszanie herbaty bez dodawania cukru nie czyni jej słodką. My staramy się rzeczywiście zmienić smak edukacji. Staramy się na dziś zwiększyć atrakcyjność zawodu nauczyciela, poprawić jego wizerunek w społeczeństwie. To wszystko ma znaczenie. Poprawa sytuacji i statusu społecznego nauczyciela, a także wzmocnienie etosu zawodowego ma służyć jednemu – lepszemu kształceniu. A kształcenie ma pomagać zdobywać uczniom wiedzę i pomagać w lepszym rozumieniu, w jakim społeczeństwie żyją. Chcemy, by uczeń rozumiał, jaki jest cel jego edukacji, by wiedział, co chce osiągnąć. Do tego potrzebne jest rozpoznanie talentów, a to nie obejdzie się bez uwagi i czasu, jaki nauczyciel może poświęcić uczniowi.

Wprost odwołuje się pan do edukacji klasycznej. Co to znaczy?

Przywrócenie takiej edukacji, jaką znaliśmy przed drugą wojną światową w postaci gimnazjów klasycznych, jest oczywiście niemożliwe, natomiast możliwe jest stopniowe wprowadzanie jej elementów. Jeden z zespołów pracujących w ministerstwie właśnie tym się zajmuje – sięgnięciu do zestawu sztuk wyzwolonych (m.in. właściwie rozumianej retoryki, dialektyki, gramatyki) i przywróceniu na większą skalę filozofii, ale też obowiązkowej etyki, jeśli nie religii. Pamiętamy także o językach klasycznych, czyli grece i łacinie. To są przedmioty, które formowały młodych ludzi w dawniejszych czasach. Nie chciałbym oczywiście, żeby z mojej wypowiedzi wybrzmiał komunikat, że wracamy do modelu edukacji sprzed drugiej wojny światowej. Chcemy tylko przywrócić elementy, które pomogą młodemu człowiekowi zrozumieć, kim jest jako osoba, i odkrywać w sobie talenty, których bez edukacji klasycznej by nie odkrył.

To tylko jedno ze skrzydeł reformy?

Ogromne środki przeznaczamy na naprawę edukacji branżowej i zawodowej. Tutaj także stawiamy na odkrywanie predyspozycji, szczególnie technicznych, drzemiących w młodych ludziach. Mamy zatem dwa ważne obszary działań – pogłębienie formacji humanistycznej, a także zwiększenie skuteczności rozpoznawania predyspozycji ucznia w kontekście jego przyszłego życia zawodowego.

W jaki sposób może być realizowane intensywniejsze odkrywanie talentów?

Mamy gotowy projekt branżowych centrów umiejętności, które będą tworzone w powiązaniu ze środowiskami przedsiębiorców tak, by uatrakcyjnić naukę zawodu, by uatrakcyjnić proces dochodzenia ucznia do umiejętności zawodowych. Już dziś widać, że udało się przekonać wielu z nich do wybierania szkolnictwa zawodowego. W ubiegłym roku 56 proc. uczniów zdecydowało się na kształcenie zawodowe na poziomie szkoły średniej. Ten proces chcemy wzmacniać przy współpracy z przedsiębiorcami.

Wróćmy do edukacji klasycznej. Miałaby się ona pojawiać w formie dodatkowych przedmiotów?

Chcę podkreślić, że propozycja ta będzie miała charakter powszechny, ponieważ skierujemy ją do wszystkich. Jednocześnie nie planujemy, aby elementy edukacji klasycznej miały stać się obligatoryjne w stu procentach. Są jednak takie obszary edukacyjne, które potrzebują elementów edukacji klasycznej, pomagającej w usprawnieniu myślenia i działania. Przykładem może być właśnie etyka. Szkoła, która nie uczy w ogóle żadnych wartości, nie spełnia funkcji wychowawczej. Pierwszymi, którzy mają funkcję wychowawczą, są oczywiście rodzice i środowisko rodzinne, ale szkoła musi ich wspomagać. Uczenie bez elementów systemu wartości jest pomyłką. Natomiast powrót do klasycznych dróg kształcenia i nauczania języków starożytnych będzie opierał się na zachętach skierowanych do uczniów i rodziców. Niewątpliwie chcemy jednak promować ten rodzaj edukacji, by była ona praktykowana w o wiele szerszym stopniu, niż jest dzisiaj.

Jak zdefiniowałby pan przewagę szkolnictwa z elementami edukacji klasycznej?

Może powiem nieco górnolotnie – wszelkie błędy, które przeradzają się w konflikty, włącznie z wojnami, zaczynają się od fałszywej wizji człowieka. Jeśli człowiek nie wie, jaki jest cel jego życia, nie potrafi odróżniać dobra od zła, to znaczy, że mamy do czynienia z problemem na poziomie edukacji i wychowania. Te elementy edukacji, które znamy z historii, czasów I i II Rzeczypospolitej, kształtowały człowieka w duchu wartości, które ukonstytuowały od początku nasze społeczeństwo i które są w nim obecne. W tym sensie musimy postawić na właściwie rozumiane kształcenie humanistyczne, by uczniowie

eprasa.pl ec86032006

nauczyli się rozumieć człowieka takim, jakim on jest. Uważam te sprawy za fundamentalne, wręcz za warunek dobrego rozwoju szkolnictwa średniego i wyższego. Wartości, które kształtowały Polaków przez ponad 1050 lat, powinny być przekazywane. Patriotyzm, poszanowanie swojego kraju – to bez wątpienia przymioty, które powinien nosić w sobie młody człowiek, niezależnie od osobistych talentów i wybranej na ścieżce edukacyjnej drogi zawodowej.

Znalazł pan w Polsce specjalistów od edukacji klasycznej?

Nie jestem alfą i omegą, jeśli chodzi o klasyczną formację. Widzę w sobie wiele braków, więc nie wyobrażam sobie, abym mógł się podjąć pracy nad tym tematem bez wsparcia ekspertów. Podobnie zresztą sprawa ma się z edukacją branżową.

Czy możemy się spodziewać podręczników pisanych według założeń edukacji klasycznej wydawanych pod patronatem ministerstwa?

One są już nawet w większej części gotowe – mówię tu o podręczniku do filozofii, projektach podręcznika do etyki. Inne podręczniki w dziedzinach edukacji klasycznej są już teraz przygotowywane przez ekspertów. Wszystko będzie gotowe do zmiany programowej. Chciałbym jedną rzecz powiedzieć stanowczo – mam pełną świadomość, że szkoła to organizm żywy i nie można tu dokonywać pospiesznych eksperymentów. Potrzebny jest duch porozumienia i zgody. Zresztą uważam, że zmiany wprowadzone za kadencji minister Anny Zalewskiej szły w dobrym kierunku i edukacja wymaga raczej uzupełnień niż rewolucji.

Czy trwają prace nad odbiurokratyzowaniem edukacji szkolnej i zniesieniem ewaluacji?

Ani biurokracja, ani ewaluacja nie są szkole potrzebne. Jedyne, co robi ewaluacja, to generowanie pracy biurokratycznej po stronie nauczycieli, a nauczyciele potrzebni są uczniom. Nauczyciele muszą mieć czas, żeby zajmować się swoimi uczniami, a nie stertami papierów bez praktycznie żadnego znaczenia. Problemem polskich nauczycieli jest to, że pracują dużo, a jednocześnie stosunkowo niewiele czasu – w porównaniu z innymi krajami europejskimi – spędzają z uczniami. To trzeba zmienić. Uwolnić nauczyciela od tych obowiązków, które są zbędne, a zwiększyć pensum rzeczywistej pracy dydaktycznej.

Zniesienie gimnazjów pasuje do pana wizji edukacji?

Projekt gimnazjów był oparty na błędnych założeniach edukacyjnych, np. przekonaniu, że małe szkoły w mniejszych miejscowościach uczą gorzej, a zatem, że trzeba szybko przenosić uczniów do większych placówek. Trzeba także wspomnieć o złej antropologii. Opinie psychologów mówią, że przenoszenie uczniów do nowego środowiska, które następowało nie w wieku 15 lat, ale 12, w nierzadkich wypadkach wpłynęło w negatywny sposób na proces rozwojowy uczniów. Przesunięcie o trzy lata wieku zasadniczej zmiany życiowej, np. przenosin do większego miasta, ma kolosalne znaczenie dla budowania poczucia wartości młodego człowieka. To nie był oczywiście jedyny element potęgujący tę sytuację związaną z problemami psychologiczno-wychowawczymi wcześniejszego systemu, ale nie można go pomijać. Podobnie jak nie można pominąć problemów z samą edukacją, w efekcie których na niespotykaną skalę rozwinął się rynek korepetycji, co stanowiło systemową patologię. To szkoła ma tworzyć czas i miejsce, w którym uczeń będzie zdobywał wiedzę oraz umiejętności.

Rozumiem, że chodzi o ciągłość procesu wychowawczego w krytycznym momencie rozwojowym?

O to chodzi. Ciągłość daje też większe możliwości działania nauczycielowi wychowawcy. Dobre oko skierowane na ucznia może mieć pozytywnie decydujący wpływ nawet na całe jego życie. Dlatego chcemy też zwiększyć rolę wychowawcy klasy, tak by mógł on wejść w rolę mentora. Chodzi o to, by faktycznie spędzał więcej czasu z uczniami, rozmawiał, budował relację wychowawczą. System gimnazjalny, rozbicie edukacji na krótkie etapy edukacyjne sprawiały, że nie było w szkole czasu na rozwijanie funkcji wychowawczej w najbardziej wrażliwym okresie życia dziecka.

Ma pan krytyczne uwagi na temat rządów poprzednich ministrów?

Moje krytyczne uwagi najlepiej wyrażają pozytywne propozycje, które ministerstwo przedstawia, od kiedy jestem na stanowisku.

Czy konserwatywny projekt edukacyjny nie spotyka się z krytyką instytucji unijnych? Nic pan nie mówi o tolerancji czy integracji społecznej.

Edukacja jest obszarem kompetencji, który nie został przeniesiony na szczebel europejski. Zatem żadne organy europejskie nie mogą ingerować w to, co się dzieje w polskich szkołach. Poza tym nie mamy nic przeciwko tolerancji czy integracji społecznej. Mogę nawet powiedzieć, że wszystko, co robimy, robimy dla tolerancji i integracji. Jest tylko pytanie: Jak rozumiemy tolerancję? Ja rozumiem ją szeroko, jako akceptację człowieka ze wszystkimi jego odmiennościami, natomiast nie rozumiem jej jako akceptacji dla złych czynów, dla demoralizacji, jako akceptacji rewolucji seksualnej i wywracania porządku społecznego. To nie ma nic wspólnego z tolerancją. Ci, którzy głoszą tego typu hasła, często sami są przykładem skrajnej nietolerancji. Nie tolerują jakiegokolwiek odmiennego zdania, czemu wyraz dają w sposób wulgarny, co ostatnimi czasy słyszymy na ulicach. My jesteśmy konserwatystami, czyli ludźmi, którzy miłują wolność, a wolność zakłada tolerancję, wymaga od ludzi tolerancji jako cechy stawianej na najwyższych szczeblach w hierarchii pożądanych zachowań. To samo pokazuje chrześcijaństwo. Co do integracji społecznej – robimy wszystko, co jest możliwe. W ramach Polskiego Ładu rząd wprowadza Centra Dziecka i Rodziny – to szeroka integracja społeczna, która rzeczywiście towarzyszy naszym programom. Mogę dodać, że nie ma żadnych głosów krytycznych wobec działań Ministerstwa Edukacji i Nauki ze strony instytucji unijnych czy też w formacie wyszehradzkim ani też w Polsce, w centrach decyzyjnych dzisiaj ukształtowanej większości.

Jaka idea przyświeca Narodowemu Programowi Kopernikańskiemu? Dzisiaj często słyszy się o nim jako o ataku na Polską Akademię Nauk.

To jest, przyznam szczerze, dla mnie zadziwiające, ponieważ szum medialny, jaki dziś mamy, dotyczy przede wszystkim tego, jak funkcjonuje Polska Akademia Nauk, i nie ma to nic wspólnego z NPK. Dopiero zresztą dzięki owemu zamieszaniu zaczęliśmy przyglądać się Akademii i dowiadywać często kuriozalnych rzeczy na temat tego, jak wygląda zarządzanie jej majątkiem. To frontalny atak ze strony władz PAN sprowokował nas do zastanowienia się nad przyczyną tej agresji i stanem, w jakim znajduje się ta instytucja. Nikt z ministerstwa wcześniej nie formułował żadnych opinii, które PAN mógłby odebrać jako zagrożenie. Docierają do nas informacje o gwałtownej wyprzedaży majątku Akademii. Jesteśmy ciekawi, gdzie trafiły pieniądze ze

eprasa.pl ec86032006

sprzedaży tych nieruchomości czy tysięcy hektarów ziemi.

Co do NPK, to jest on związany z 550. rocznicą urodzin Mikołaja Kopernika. Główne obchody wziął na siebie Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, z którym współpracujemy i który wspieramy, ale jednocześnie chcieliśmy powiązać rocznicę z programem wzmacniającym rozwój polskiej nauki.

Czy NPK ma w jakiejś mierze być alternatywą dla PAN?

Przede wszystkim ma być impulsem rozwojowym dla polskiej nauki, szczególnie w kontekście międzynarodowym. Praca polskiej nauki powinna iść na dużo większą skalę z wykorzystaniem instytutów polskich poza granicami kraju, ale i z wykorzystaniem przede wszystkim potencjału oraz dorobku wielu polskich naukowców w dziedzinach kopernikańskich: astronomów, fizyków, matematyków, ale również teologów, którzy ze swoim wielkim dorobkiem funkcjonują poza granicami kraju, a chcieliby służyć również Polsce.

Zapytałem o NPK jako o alternatywę, ponieważ wiele mówi się dziś o tym, że debata akademicka jest blokowa.

Akurat tych dwóch spraw bym nie łączył. Wolność akademicka potrzebuje swoich regulacji i mam nadzieję, że wejdą one w życie już w najbliższych miesiącach, a zatem, że będą działały już w nowym roku akademickim. Chciałbym, żebyśmy od jesieni znaleźli się w nowej i lepszej rzeczywistości pełnej wolności akademickiej, która niestety faktycznie została poddana ograniczeniom. Mamy kilkadziesiąt przypadków postępowań wyjaśniających wobec osób, które wypowiadały tezy oparte na wartościach kształtujących nasze społeczeństwo, naród i państwo od dziesięciu wieków. To jest kuriozum. Trzeba doprowadzić do sytuacji, w której w świecie akademickim będą respektowane normy konstytucyjne gwarantujące każdemu prawo do swobodnego wyrażania swoich przekonań filozoficznych i światopoglądowych. Środowiska lewicowo-liberalne na uniwersytetach kwestionują ustawę zasadniczą i atakują osoby, które nawiązują do chrześcijaństwa, do Biblii, do katechizmu, do Dekalogu, do norm rodzinnych obecnych w polskich przepisach prawa świeckiego.

Jakich zmian w regulacjach możemy się spodziewać?

Według projektu ustawy, którą nazwaliśmy „Pakietem wolności akademickiej", uczelnia nie będzie mogła wszczynać postępowania dyscyplinarnego wobec osób, które w granicach prawa wyrażają swoje przekonania filozoficzne czy religijne podczas wykładów akademickich. Przykładem łamania prawa mogłyby być wypowiedzi gloryfikujące marksizm, komunizm czy narodowy socjalizm. Nie wolno robić czegoś, co jest sprzeczne z przepisami polskiej konstytucji, czyli np. z art. 13. Gdyby do takiego postępowania doszło, to stronie nim objętej przysługuje odwołanie do komisji dyscyplinarnej przy ministrze, a później do sądu. Samo wszczęcie postępowania wyjaśniającego w takiej sytuacji wymagać będzie postanowienia pisemnego i przekazania go stronie zainteresowanej. Rektor nie będzie mógł też odmawiać środowisku naukowemu na swojej uczelni zorganizowania konferencji z powodów politycznych czy światopoglądowych. Będzie musiał zapewnić równowagę światopoglądową na swojej uczelni. Na tym polega wolność, aby dopuścić do głosu wszystkich, a nie tylko jedną stronę dyskursu.

Jaka jest pana zdaniem przyczyna takiego stanu rzeczy na polskich uczelniach? Większość spraw toczy się przeciwko katolickim czy konserwatywnym naukowcom.

Nie większość, a wszystkie. Czy słyszał pan o jakimś postępowaniu dyscyplinarnym spowodowanym głoszeniem skrajnie lewackich czy lewicowo-liberalnych poglądów? Nie słyszałem o takiej sytuacji na żadnej polskiej uczelni. Wynika to z bardzo prostej przyczyny, czyli tendencji do myślenia lewicowo-liberalnego i lewackiego. Często myślenie lewicowo-liberalne ma tyle wspólnego z wolnością co nic. Ono ma u swojego podłoża wyłącznie metody totalitarne. Ponieważ za pomocą argumentów opartych na faktach nie jest w stanie zwyciężyć w sporach, to stosuje metody siłowe. Przejawia się to w akcjach petycyjnych podpisywanych w Internecie przez setki osób, które w formie wniosków o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego są kierowane do rektorów tylko dlatego, że jakiś akademik wyraził w sferze publicznej konserwatywną opinię. Mówi się wtedy o naruszeniu godności pracownika naukowego. A rektorzy pod wpływem takiej presji wszczynają postępowania, żeby mieć na wszelki przypadek z głowy oskarżenie, że skoro nie wszczynają, to też pewnie występują przeciwko „wolności" lewicowo-liberalnej.

Konserwatywna kontrrewolucja ministra Czarnka

- **elementy edukacji klasycznej w systemie edukacji**
  Fakultatywny powrót języków klasycznych do szkół, szersze wprowadzanie filozofii oraz – obok religii – obowiązkowa etyka ukierunkowana na patriotyzm i szacunek do swojego kraju oraz wartości kształtujące polskie społeczeństwo w jego tysiącletniej historii.

- **przywrócenie godnej pozycji zawodowi nauczyciela**
  Zdjęcie z nauczycieli obowiązków biurokratycznych i danie im większej ilości czasu na pracę z uczniami. Przesunięcie znaczenia pracy wychowawców klas w kierunku pozycji mentorów – osób mających czas i możliwości, by interesować się życiem i problemami uczniów.

- **pogłębienie pracy nad talentami konkretnych uczniów**
  Zamiast masowej i powierzchownej edukacji – odkrywanie predyspozycji zawodowych już na etapie wyboru szkoły średniej oraz wzmacnianie edukacji branżowej w porozumieniu ze środowiskami przedsiębiorców.

- **integracja z polskimi naukowcami pracującymi na świecie**
  Wzmocnienie polskiej nauki poprzez Narodowy Program Kopernikański inicjujący współpracę polskich naukowców w kraju i za granicą, wzmocnienie polskich badań i rozwoju kraju z pomocą osiągnięć polskiej społeczności naukowej na świecie, pobudzanie patriotyzmu naukowego.

- **przywrócenie konstytucyjnej wolności akademickiej**
  Przeciwstawienie się przemocy symbolicznej i instytucjonalnej środowisk liberalnych oraz lewicowych wobec inaczej myślących akademików głoszących poglądy konserwatywne czy katolickie, zgodne z etosem polskiego państwa i jego konstytucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Polska spuszcza z ambicji

Rafał A. Ziemkiewicz

PiS zaplanował podniesienie poziomu życia przez zwiększenie konsumpcji. Ambicję „wyrwania się z pułapki średniego rozwoju" wyrzuca więc na śmietnik

Program Polski Ład – nazwę zmieniono w ostatniej chwili, w prasowych przeciekach funkcjonował jako Nowy Ład – zapowiadano jako plan rozwoju Polski na najbliższe lata. Jak często bywa w polityce, nazwa okazała się tylko zabiegiem propagandowym. Dużo lepiej chwalić się „planem rozwoju" niż „planem utrzymania popularności i wygrania następnych wyborów za każdą cenę", którym w istocie jest program Polski Ład.

Widać to jasno, jeśli zestawimy prezentację z poprzedniego weekendu z Planem Morawieckiego, ogłoszonym w roku 2016 (zdumiewające, jak niewiele mediów wpadło na ten, wydawałoby się, oczywisty i narzucający się pomysł). Fundamentem Planu Morawieckiego było stopniowe zwiększanie nakładów na inwestycje, do poziomu 22 proc. PKB w 2020 r. i 25 proc. w roku 2025 – w tym zwłaszcza na inwestycje w badania naukowe, które już dziś powinny wedle planu otrzymywać 1,7 proc. PKB. Można było dyskutować co do trafności wskazania przez Morawieckiego innowacyjnych technologii mających podnieść Polskę cywilizacyjnie (program budowy polskiego samochodu elektrycznego do dziś jest obiektem żartów), ale nie ulegało wątpliwości, że ogólnym założeniem planu – potem rozbudowanego pod nazwą Strategia Odpowiedzialnego Rozwoju – rzeczywiście jest lepiej czy gorzej przez jego twórcę rozumiany rozwój i doprowadzenie Polski do pozycji równorzędnego partnera w europejskiej i międzynarodowej grze.

Pandemia pogrzebała tamten plan w niepamięci – zamiast na inwestycje przeznaczono posiadane pieniądze i zaciągane pożyczki na „tarcze", „do-

eprasa.pl ec86032006

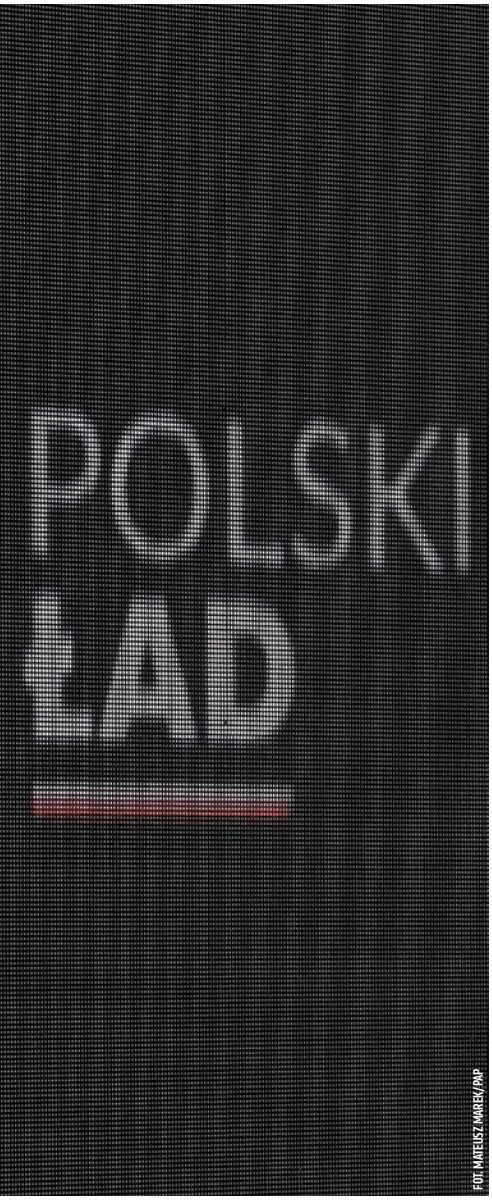

FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

datki covidowe" i tymczasowe szpitale. Kwestia „ucieczki z pułapki średniego rozwoju", w roku 2016 uznawana za najważniejsze ze stojących przed Polską wyzwań, w ogóle zniknęła z agendy. Choć, teoretycznie, nic nie stało na przeszkodzie, by „nowe otwarcie" po roku epidemicznych restrykcji polegało na powrocie do tego hasła i wyznaczeniu na nowo jako celu podniesienia pozycji Polski wśród państw Europy i G20.

Nic – poza tym, że Mateusz Morawiecki nie jest już, tak jak w roku 2016, ministrem rozwoju, ale premierem, i to premierem, w którym upatruje się następcy Jarosława Kaczyńskiego. Sam Kaczyński zresztą wzmocnił to domniemanie, na okoliczność prezentacji nowego programu obsypując premiera komplementami i zapewniając, że „jego gwiazda jasno świeci". I rzeczywiście, plan na „po epidemii" podporządkowany jest już priorytetom lidera partii rządzącej.

ZWIĘKSZAĆ ZADOWOLENIE

Z doświadczeń dotychczasowego 30-lecia, zwłaszcza lat 90., politycy wyciągnęli wniosek, że w Polsce nie utrzyma się u władzy nikt, kto przeprowadza reformy. Donald Tusk postanowił w tej sytuacji ograniczyć się do działań pozorowanych i do czasu przeskoczenia na stołek w UE nie dotykać ani nie pozwalać swoim ludziom dotykać żadnych spraw istotnych; wyraził to bon motem, że jeśli któryś z ministrów PO będzie miał jakieś „wizje", to wyśle go do psychiatry. Jarosław Kaczyński, traktując rządzenie Polską jako swą życiową misję, a nie tylko etap w karierze służący zdobyciu przepustki do świata eurooligarchii, przyjął inną strategię: działania prorozwojowe muszą ustąpić w kolejności działaniom zwiększającym zadowolenie rządzonych i akceptację dla poczynań władzy. W praktyce oczywiście może to oznaczać odłożenie tych pierwszych „na świętego nigdy".

Dlatego w stosunku do Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju nowy program zasadniczo przesuwa akcenty. Celem deklarowanym przez władzę nie jest już rozwój kraju, ale podniesienie poziomu życia. W centrum uwagi postawiono więc tym razem nie żadne innowacje, choćby tak wątpliwe jak narodowy program budowy polskiego samochodu elektrycznego, a podniesienie poziomu usług publicznych, przede wszystkim tej uslugi, z której według sondaży Polacy najbardziej są niezadowoleni: służby zdrowia. Oraz złagodzenie bolączek codziennego życia, np. kłopotów z budowlaną biurokracją – stąd zaskakująca zapowiedź możliwości budowania małych domków bez zgody nadzoru budowlanego, a nawet bez zatrudniania posiadającego odpowiednie uprawnienia kierownika budowy.

Dopiero w dalszym planie znalazły się zmiany w podatkach – także nastawione nie na tworzenie bodźców dla przedsiębiorczości, tylko, wręcz przeciwnie, na możliwość zwiększenia konsumpcji. Generalnie grupą społeczną najważniejszą dla twórców programu okazują się emeryci, po nich najmniej zarabiający, najmniej istotną zaś – drobni przedsiębiorcy. Jest to logika wyprowadzona z analizy rozkładu popularności PiS w różnych grupach społecznych, a także z doświadczeń ostatnich kampanii wyborczych, wygranych dzięki mobilizacji najstarszego elektoratu.

PiS stara się oczywiście mieć ofertę także dla innych grup, tych bardziej decydujących o rozwoju, ale krótkiej kołderki nie może starczyć, by okryć wszystkich. Poza tym interesy różnych grup społecznych bywają sprzeczne. Tam, gdzie pojawia się antagonizm między pracodawcą a pracobiorcą, PiS nieodmiennie staje po stronie tego drugiego. Stąd zapowiedź (która już?) likwidacji potaniających koszty zatrudnienia umów-zleceń, propagandowo zwanych „śmieciowymi", i zastąpienia ich wzorowanym na pomyśle hiszpańskim „kontraktem pracy", stąd uderzenie podniesioną składką zdrowotną w opłacalność samozatrudnienia i wyznaczenie stosunkowo niskiego pułapu zarobków (rzędu 6–10 tys. miesięcznie), powyżej którego wypada się z grona beneficjentów tej władzy i staje się jej ofiarą. Towarzyszy temu dość brzydka retoryka piętnująca bogaczy, którzy „jeżdżą po naszych drogach i korzystają z naszych dróg i szpitali, a płacą na nie mniej" niż propagandowo dowartościowywani przez PiS „zwykli Polacy".

To się podoba większości społeczeństwa, które w sondażach podpisuje się pod stwierdzeniem, że bogaci za mało wnoszą do budżetu i powinni płacić znacznie wyższe podatki – a że nie podoba się większości ekonomistów i menedżerów, to nie spędza władzy snu z powiek.

PATRIOTYCZNI SOCJALIŚCI

Trudno zresztą mieć do PiS pretensje o takie priorytety, bo ani PiS, ani Jarosław Kaczyński w całej swej karierze nigdy ich nie ukrywali. Motor gospodarki i główną siłę modernizacyjną zawsze widzieli bracia Kaczyńscy w państwie, jako koło zamachowe rozwoju wskazywali wielkie inwestycje publiczne, a nie prywatny biznes, sposób wyprowadzania mas z biedy i wyrównywania nierówności – w zasiłkach, nie aktywizowaniu drobnej przedsiębiorczości; niechęci do „prywaciarzy" i tego, że widzą w nich en masse cwaniaków, których trzeba pilnie kontrolować, też nawet nie próbowali ukrywać. To właśnie PiS obiecywał i z takimi

eprasa.pl ec86032006

obietnicami wygrał wybory, trudno więc mieć pretensje do patriotycznych socjalistów, że okazują się socjalistami. Nie to jest dziś polskim problemem, ale fakt, że ich socjalistyczny program nie spotyka się z żadną poważną, całościową kontrpropozycją liberałów – które to słowa zresztą coraz bardziej zaczyna w Polsce kojarzyć się nie z wolnością gospodarczą i ochroną własności, a z „rozporkowymi" postulatami lewicy.

Można natomiast mieć pretensje, że z dwóch sztandarowych sanacyjnych wartości, którymi są patriotyzm i socjalizm (kogo ranią skojarzenia tego słowa, ten może mówić „solidaryzm" albo „sprawiedliwość społeczna", na jedno wychodzi), w Polskim Ładzie ta pierwsza zostaje podporządkowana drugiej, a nawet w znacznym stopniu zarzucona. Podstawowym zasobem, który ma umożliwić podniesienie poziomu życia mas, obniżenie im podatków i jednocześnie sfinansowanie inwestycji publicznych, są w planie pieniądze z Unii Europejskiej. Aby zaś je mieć, trzeba wygasić konflikt z eurokracją, zaogniony wieloletnim judzeniem lewicowo-liberalnej opozycji – zagrażający zresztą nie tylko „podnoszeniu poziomu życia", lecz także przyszłym wyborom.

Polski Ład wiąże się więc ze znacznym zwiększeniem podporządkowania unijnej centrali i z ograniczeniem polskiej niepodległości. Zgadzamy się uczestniczyć we wspólnym europejskim długu i wspólnych podatkach, podporządkowujemy się też unijnej „kontroli praworządności" i temu, że tak naprawdę to nie nasze „plany odbudowy", lecz obce stolice zadecydują ostatecznie o alokacji zasobów – można być pewnym, że kierując je nie na innowacje służące rozwojowi Polski, ale na inwestycje budujące przewagę „Europy pierwszej prędkości" nad naszym regionem – w nowy, „zielony" ład energetyczny i w przechodzenie na uzasadniane ideologicznie nowe technologie. Ambicję „wyrwania się z pułapki średniego rozwoju" wyrzuca więc PiS na śmietnik, ceną za obiecywane w Polskim Ładzie podniesienie poziomu życia „zwykłych Polaków" do poziomu „jak na Zachodzie" jest także zarzucenie mrzonek o „Europie ojczyzn" (choć zapewne ze względów propagandowych politycy PiS jeszcze przez jakiś czas nie przestaną ich snuć). Polska godzi się pozostać jednym z wagoników, i to jednym z ostatnich, ciągniętych przez niemiecko-francuską lokomotywę w kierunku wyznaczanym przez eurooligarchię.

Czy założenie, że ta lokomotywa, dziś coraz bardziej dychawiczna, jest nas w stanie daleko pociągnąć, jest realistyczne – to zupełnie osobna sprawa. Arnold Toynbee w swojej „Cywilizacji w czasie próby" stworzył określenie „trup w zbroi" – tak nazywa końcowy etap zmierzchu imperiów. Parafrazując to określenie, Unia Europejska, a raczej zachodnia Europa, a kto wie, czy nie cały Zachód, jest dziś „trupem w złotogłowiu", i poddając się protektoratowi UE, nie stajemy się wcale prowincją jakiegoś współczesnego cesarstwa rzymskiego, które za możliwość wybierania daniny i rekruta (w dzisiejszym języku: otwarcie rynku i dostarczenie siły roboczej) odpłaca się podnoszeniem cywilizacyjnego poziomu poddanych swej władzy barbarzyńców. Raczej zaszywamy się z tym „trupem w złotogłowiu" na dobre i złe w jednym worku.

OSTATECZNA ULEGŁOŚĆ

Cokolwiek jednak mówić o kryzysie i dysfunkcjach Unii Europejskiej, na pewno jej wyćwiczone przez umiejętności prowadzenia polityki, z jednoczesnym posługiwaniem się kijem i marchewką, przewyższają o niebo to, co próbowała przeciwstawić jej Polska. Zręczne posłużenie się przez eurokrację „totalną opozycją" zmusiło w końcu PiS do uległości i praktycznego przejęcia wszystkich „proeuropejskich" elementów programu poprzedników. Pod naciskiem Komisji Europejskiej i TSUE oraz w obliczu pokus skorzystania z „rozszerzenia zasobów własnych UE" obecna władza postanowiła przejść na te same pozycje, których zakwestionowanie w roku 2015 dało PiS brzemienne w skutki zwycięstwo. W zamian PiS ugrał tyle, że Unia prawdopodobnie zaczeka ze skonsumowaniem tego zwycięstwa – wymuszeniem na Polsce jednoznacznego uznania wyższości praw ustanawianych przez unijną centralę nad krajowymi, akceptacji dla ideologicznych postulatów LGBT etc. – na czas po kolejnych wyborach.

To niezauważana zupełnie, a z perspektywy historii największa szkoda wyrządzona Polsce przez współczesną targowicę, szkoda, której już nie da się naprawić, nawet gdyby liderzy i europosłowie PO/PSL oraz lewicy zostali kiedyś rozliczeni ze swych donosów na Polskę równie brutalnie, jak stało się to z ich poprzednikami sprzed ponad 220 lat. Marna pociecha, że sama opozycja nie ugrała na tym nic i że obiecywane wsparcie z Brukseli dla rokoszu prawników, zablokowania wymiany kadr w sądownictwie oraz innych elementów planu „żeby znowu było, jak było" nie nadejdzie. Bo i po co miałaby teraz Unia Europejska w polską politykę ingerować, skoro swoje osiągnęła? Zwłaszcza w sytuacji, gdy PO stała się nagle ze względów taktycznych partią „antyeuropejską" (oskarżenia Borysa Budki, że o Funduszu Odbudowy z winy PiS „decydować będą urzędnicy daleko od Polski", na pewno w Brukseli usłyszano, tym bardziej że lider PO wyjątkowo nie minął się z prawdą), a lewica zaczęła grawitować ku współpracy z PiS, odnowionym w duchu pogodzenia z przewodnią rolą państw „Unii pierwszej prędkości".

Pytanie, którym najbardziej się w ostatnich tygodniach pasjonowano – czy Polski Ład da obiecywane skutki – jest pytaniem drugorzędnym. Zapewne w wielu miejscach jest naiwne. Podniesienie nakładów na służbę zdrowia, nawet jeśli znajdą się odpowiednie pieniądze, nic nie da dopóty, dopóki trwają neofeudalne patologie jej systemu – a nie usłyszeliśmy żadnych pomysłów na jego naprawę. Takich słabości plan ma więcej, ale nawet jeśli wszystkie tkwiące w nim miny po pewnym czasie wybuchną, to wyborcy prawdopodobnie wybaczą to władzy, przyjmując argument, że wyszło, jak wyszło, ale przynajmniej próbowali. Jak w całej karierze Jarosława Kaczyńskiego, cele taktyczne przeważyły nad strategicznymi – i na poziomie taktyki politycznej plan jest strzałem w dziesiątkę. Ten przekaz zostanie zapamiętany na długo: władza przeprowadziła społeczeństwo przez trudny czas epidemii i nie ma się co czepiać szczegółów, bo nikomu na świecie, poza azjatyckimi samodzierżawami, nie udało się lepiej – a teraz od razu pokazała, że chce pomóc Polakom odbudować ich dobrobyt i ma plan, jak to zrobić. I tu też nie ma się co czepiać szczegółów, bo „kto szybko daje, ten dwa razy daje", zwłaszcza gdy w kontraście dla ogłaszania Polskiego Ładu PO żre się między sobą o przywództwo, a lewica o „przemocowe zachowania" przewodniczącego, nazywanie „osób z macicami" kobietami i kwestię uznania „seksworkerek" za mniejszość dyskryminowaną na równi z „osobami trans i niebinarnymi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Z rzecznikiem małych i średnich przedsiębiorców Adamem Abramowiczem
rozmawia Jakub Wozinski

Kowalski zapłaci więcej niż korporacja

JAKUB WOZINSKI: Jeden z najważniejszych postulatów świeżo zaprezentowanego Polskiego Ładu przewiduje, że stosunkowo korzystna 19-procentowa stawka PIT dla osób samozatrudnionych i małych przedsiębiorstw odchodzi do przeszłości i zostaje w praktyce zastąpiona nową stawką, wynoszącą aż 28 proc. To chyba nie cieszy rzecznika małych i średnich przedsiębiorców?

ADAM ABRAMOWICZ: Podatek 19-procentowy był bardzo dobrze przyjęty przez małych przedsiębiorców. Jest to swego rodzaju zdobycz tego środowiska, porównywalna z ustawą Wilczka, która otworzyła możliwości prowadzenia biznesu w Polsce. Podatek w tej wysokości był korzystny nie tylko dla przedsiębiorców, ponieważ po jego wprowadzeniu okazało się, że zwiększyły się wpływy do budżetu, i to znacznie. To było dobre rozwiązanie i wzrost składki zdrowotnej o 9 proc. oraz brak możliwości odliczenia jej od podatku przyniesie znaczne straty dla firm, które są w stanie wypracowywać już większy dochód. Jakie to są straty? Przede wszystkim premier Mateusz Morawiecki zawsze podkreślał, także w Planie na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, że ważne jest, aby polskie firmy rosły. Wszystkim nam zależy, żeby firma, w której właściciel jest pracowity i ma dobre pomysły, mogła rosnąć i z małej stać się średnią, ze średniej – dużą. No i teraz podniesienie tych kosztów – a właściwie opodatkowania, bo mimo że jest to składka zdrowotna, można ją traktować jako podatek – spowoduje, że ta część pieniędzy, którą przedsiębiorca mógłby przeznaczyć na inwestycje, będzie zmniejszona. Trzeba zauważyć, że ci przedsiębiorcy, którzy mają mniejsze dochody, trochę zyskają, i to też jest dobra informacja, ale umówmy się, że próg 6 tys. zł to jest suma mniej więcej taka, która może pozwolić na skromne utrzymanie się rodziny, ale nie na inwestycje. Stąd niepokojące jest to, że ta nadwyżka ponad to, co człowiek wydaje na utrzymanie siebie i rodziny, się zmniejszy. Druga sprawa to pewna nierówność, która teraz nastąpi. Wystarczy porównać dwie firmy handlowe, gdzie jedna jest prowadzona na nazwisko przez przedsiębiorcę, a druga firma to spółka prawa handlowego. Dotąd ich opodatkowanie było równe, a teraz…

Należy się więc spodziewać, że przybędzie spółek?

CIT będzie mniejszy niż PIT o te 9 proc., więc nie jest to sytuacja komfortowa. Rząd zawsze mówił nam, że chce dbać o to, by te szanse były równe. W tej chwili szanse dużych spółek handlowych są większe w stosunku do tych prowadzonych przez przedsiębiorcę. To są te minusy. A plusy to to, że oczywiście mamy kwotę wolną, dotąd kompromitującą nas, mniejszą niż w krajach afrykańskich, przez wiele lat utrzymywaną, podniesioną do kwoty, która jest już uzasadniona. Nie opodatkowujemy najniższego wynagrodzenia. Plus podwyższenie progu. Ale złożona suma tego wszystkiego daje te negatywne efekty, o których mówiłem. Można by było sfinansować tę różnicę, to znaczy podnieść kwotę i podnieść próg, z innych źródeł.

Jakie inne źródła ma pan na myśli? W jaki inny sposób można by to sfinansować?

Niedawno w środowisku Rady Przedsiębiorców przy Rzeczniku MSP organizowaliśmy konferencję, w ramach której chcieliśmy zachęcić do zmiany opodatkowania CIT, czyli osób prawnych, z obecnie funkcjonującego podatku na podatek przychodowy. Wskazaliśmy, że wprowadzenie 1,5-procentowej stawki spowoduje, że wzrost wpływów z CIT wyniesie ok. 40 mld zł, to jest mniej więcej tyle, ile premier mówił, że będą kosztowały te zmiany. A więc można by było tą drogą opodatkować firmy tym podatkiem, który jest powszechny i nie do uniknięcia, a wiadomo, że wiele dużych firm ich nie płaci. I przy zastosowaniu naszego sposobu opodatkowania jesteśmy w stanie uzyskać 40 mld zł do budżetu więcej niż dziś.

W Polskim Ładzie zmiany w CIT są jednak zaledwie kosmetyczne, a przecież jest tu spore pole do działania.

O tym właśnie przed chwilą powiedziałem. Widzimy tutaj duże możliwości do dokonywania zmian, bez osłabiania konkurencyjności polskiej gospodarki w tym, by uzyskać większe przychody z CIT.

Dlaczego rząd się tym nie zajmuje?

Tego nie wiem (śmiech). My zorganizowaliśmy tę konferencję, zaprezentowaliśmy naszą propozycję. Premier

eprasa.pl ec86032006

Morawiecki, jeszcze gdy był ministrem finansów, otrzymał cały pakiet opracowań dotyczących podatku przychodowego przygotowany przez Centrum Adama Smitha, ZPP i inne organizacje. Wtedy, jeszcze jako poseł, brałem udział w tych pracach. Dlaczego premier nie sięgnie ręką na półkę, biorąc gotowe rozwiązanie, mogę się jedynie domyślać. Rząd w tej chwili chce walczyć z tym, co robią wysoko wykwalifikowani i wysoko opłacani menedżerowie: będąc zatrudniani jako firmy obniżają sobie poprzez ryczałt składki na ZUS i poprzez podatek liniowy unikają płacenia podatku z drugiej skali podatkowej. Widać, że rząd chce zniechęcić do przechodzenia z etatów na działalność oraz liczy na to, że duża część osób wróci z kontraktów na zatrudnienie na umowę o pracę. Nawet jednak jeśli uznamy, że rząd ma tu jakieś argumenty, to jest to wylewanie dziecka z kąpielą. Nie można przecież, żeby zapobiec jakiemuś procesowi wyłączania się z opodatkowania powszechnego, odbierać tym firmom, które naprawdę zajmują się prowadzeniem działalności, możliwości inwestowania, rozwijania się i wzrastania.

Te zmiany uderzą w najlepiej zarabiających, klasę średnią, często jednostki najbardziej przedsiębiorcze i odznaczające się dużą inicjatywą. Jaki będzie miało to wpływ na gospodarkę, jeśli uderzymy w osoby, które najmocniej wspierają nasz rozwój?

Ten system wyraźnie pokazuje, że najwyższe koszty mają ponieść ci, którzy płacą podatek liniowy. Nie będą mogli sobie odliczać zwiększonej kwoty wolnej i nie skorzystają z podwyższonego drugiego progu skali podatkowej. Skutkiem będzie ucieczka do spółek komandytowych, z ograniczoną odpowiedzialnością czy szukanie innych rozwiązań. Tutaj rząd chce pogodzić ogień z wodą, a tego się nie da zrobić. Wpływy z wprowadzanego rozwiązania będą mniejsze od zakładanych. Ten proces ilustruje tzw. krzywa Laffera. Jeżeli przy podnoszeniu obciążeń podatkowych przekroczymy pewien próg, to dochody zaczynają spadać. Zwiększone opodatkowanie powoduje natychmiast reakcję, np. zwiększa chęć zmniejszania podstawy opodatkowania albo zniechęca do większej pracy. Przerabialiśmy już to do momentu, zanim został wprowadzony podatek liniowy. Wtedy nastąpił skok przychodów do budżetu. Teraz może nastąpić spadek.

eprasa.pl ec86032006

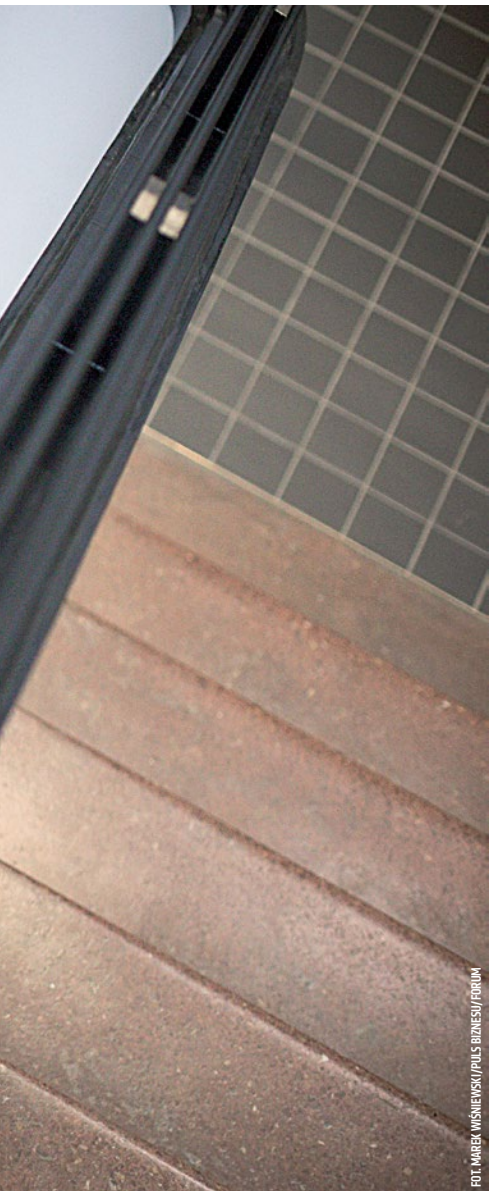

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

Tutaj pojawia się też pytanie o to, jak po tych zmianach będziemy się prezentować na tle naszych sąsiadów, państw regionu, gdzie PIT jest o wiele niższy, np. na Węgrzech wynosi 15 proc. Łatwo przewidzieć, co się stanie w momencie, gdy przejdziemy na tak wysoką stawkę.

Na pewno spadnie konkurencyjność, ale także przez to, że chce się zlikwidować całkowicie umowy-zlecenia. To były formy współpracy między przedsiębiorcą a osobami, które jednak były tańsze niż umowy o pracę i wygodne dla obydwu stron. Po całkowitej likwidacji tej formy zatrudnienia koszty działalności wzrosną, i to też oznacza spadek konkurencyjności.

Trudno jest sobie wyobrazić, żeby wszystkie te propozycje przeszły bez żadnych modyfikacji. Z drugiej strony widać też dużą determinację rządu, gdyż Polski Ład ma być sposobem na zapewnienie trzeciej kadencji.

Sytuacja jest skomplikowana, ponieważ rząd zrobił tu dobre ruchy: podniesienie kwoty wolnej od podatku, próba zmiany degresywnego systemu obciążeń, bo system w Polsce rzeczywiście obciążał bardziej tych, którzy zarabiali mniej. Problem polega głównie na wyborze sposobu sfinansowania tych zmian. Będziemy przekonywali rząd, żeby zmienił sposób ich finansowania, bo zmiany są dobre, ale nie mogą się dokonać kosztem spadku konkurencyjności i możliwości rozwoju firm. Zwłaszcza po pandemii powinno nam zależeć, żeby firmy wzrastały i były silniejsze, a po tych zmianach duża część sektora małych i średnich przedsiębiorstw będzie słabsza. Będziemy starali się zachęcić do dyskusji, aby znaleźć inny sposób finansowania zaproponowanych dobrych zmian.

W Polskim Ładzie nie ma również żadnych zmian dotyczących rozliczania rolników, a to też może być jeden z obszarów, gdzie będzie próba ucieczki przed nowymi rozwiązaniami.

Zwiększanie opodatkowania zawsze powoduje działanie, by ten podatek ograniczyć. W przypadku podatku dochodowego są dwie drogi: napór na tworzenie kosztów, zmiana formy prowadzenia działalności, próba ucieczki poprzez rejestrację za granicą czy przejście z ZUS na KRUS. W jakiej skali to by się teraz odbyło, tego nie wiemy. Mamy natomiast to doświadczenie sprzed podatku liniowego i po nim. Skok przychodów z podatku był niezwykle wyraźny. Odwrócenie tej sytuacji może spowodować ubytek. Poza tym jesteśmy rozczarowani, że żaden punkt z tzw. dziesiątki Rzecznika MŚP, wypracowanej przez 290 organizacji przy Rzeczniku, nie znalazł się w Polskim Ładzie. Przedstawialiśmy ją i rządowi, i premierowi, i prezydentowi. Były tam rozwiązania, które nie niosą ze sobą kosztów budżetowych. Zostały jednak całkowicie pominięte, a przecież wicepremier Gowin podczas posiedzenia Rady Przedsiębiorców stwierdził, że „dziesiątka Rzecznika MŚP" idzie w kierunku jego sposobu myślenia o gospodarce. A tu niespodzianka – ani jednego punktu włączonego do planu.

W Polskim Ładzie jest też wiele dodatkowych rozwiązań dla przedsiębiorców, m.in. wsparcie przy wejściu na giełdę, ulgi na prototypy, ekspansję zagraniczną itd. Czy to ważne zmiany, czy raczej kosmetyka?

Po pandemii powinno nam zależeć, by firmy wzrastały, a po tych zmianach duża część sektora małych i średnich przedsiębiorstw będzie słabsza

Ja jestem rzecznikiem MŚP i zajmuję się realną gospodarką. Dla nas najważniejsze jest to, by przedsiębiorca mógł prowadzić działalność z jak najniższymi kosztami administracji, biurokracji, żeby nie był obciążany nadmiernymi obowiązkami sprawozdawczymi, żeby podatki były jasne, proste i żeby sądy gospodarcze działały szybko; żeby przedsiębiorcy nie byli zaskakiwani zmianami prawa z dnia na dzień, żeby jasno była określona kwota najniższego wynagrodzenia i w jaki sposób będzie ono kształtowane. Te wszystkie rzeczy znajdowały się w „dziesiątce Rzecznika". Co do form wsparcia, to mogą one mieć dobre efekty, ale to zawsze wiąże się z koniecznością składania wniosków, biurokracją i uznaniowością. Część dostanie, część nie; konkurencja będzie zaburzona, bo to nie jest tak, że wszyscy z dobrymi wnioskami otrzymują wsparcie, tylko część firm zostanie dofinansowana i nie znaczy to wcale, że najbardziej innowacyjne czy najlepsze.

Pewne rzeczy pan chwali, inne mocno krytykuje. Jaka jest więc pańska ogólna ocena Polskiego Ładu w tej przestrzeni, która pana, jako rzecznika MŚP, najbardziej interesuje? Jaką pan by wystawił ocenę temu, co właśnie zaprezentowano?

Zdania są podzielone. Większość przedsiębiorców, która widziała pożytki z podatku liniowego i możliwości inwestowania swoich zysków, nie tylko pieniędzy uzyskanego z kredytu, w rozwój firmy, krytycznie odnosi się do tego pomysłu. Gdyby go wprowadzić w życie w obecnie zaproponowanej formie, to Kowalski zapłaci więcej podatku niż korporacja, z którą ma konkurować. Dla części przedsiębiorców z małymi dochodami sytuacja się poprawi. Oni przez lata ponosili procentowo większe ciężary niż zarabiający więcej. Podniesienie kwoty wolnej i progu to są bardzo dobre działania, ale sfinansujmy je inaczej, a nie przez obciążanie dodatkową daniną tych, którzy potrafią poprzez lata ciężkiej pracy uzyskiwać już trochę większy dochód. Nie zniechęcajmy do rozwoju i inwestowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Kamila Baranowska

Na ofensywę PiS Platforma odpowiedziała z hukiem – wyrzucając z partii dwóch polityków, którzy w ostatnim czasie krytykowali kierownictwo PO

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

Platforma bez

To potwierdza tylko, że lider partii nie znosi niesubordynacji, najmniejszej samodzielności, każdy musi myśleć tak jak on i powtarzać jak za panią matką" – tak o zawieszeniu Pawła Zalewskiego pisał Daniel Passent w tygodniku „Polityka". Tyle że było to w 2007 r., gdy Zalewskiego zawieszano w prawach członka PiS. Dzisiaj, gdy Zalewskiego wyrzucono z Platformy (bez zabawy w zawieszanie), komentarze są o wiele mniej dosadne i idą w nieco innym kierunku – czytamy o powszechnym kryzysie w partii, o tym, że potrzeba zmian, że kierownictwo może się trochę pogubiło.

Wyrzucenie z Platformy Pawła Zalewskiego i Ireneusza Rasia w tym samym dniu, gdy PiS prezentował swój szeroko zakrojony plan odbudowy kraju po pandemii, wypadło kuriozalnie. Zarówno od strony politycznej, jak i wizerunkowej. Jak to możliwe, że w tak dużej partii jak Platforma nikt nie pomyślał, iż taki ruch zostanie odebrany jako niepoważny? Słyszymy z ust polityków PO, że liczono na to, iż wszyscy będą tak skupieni na prezentacji Polskiego Ładu, że mało kogo zainteresują czystki w partii opozycyjnej. Jeśli rzeczywiście ktoś w Platformie myślał w ten sposób, to znaczy, że powinien trzymać się od polityki i politycznego marketingu z daleka.

– Jeżeli to jest jedyna refleksja, którą Platforma wyciągnęła ze spadających sondaży i rosnącego braku zaufania, to to jest dramat – komentował na gorąco w TOK FM Paweł Zalewski. – Dzisiaj wyborcy Platformy, którzy są zaniepokojeni notowaniami partii, oczekują ważnych działań i poważnej dyskusji. Mądra partia w takiej sytuacji najpierw pokazuje, że rozumie problem, że podchodzi do niego poważnie, rozpoczyna wewnętrzną dyskusję w tej sprawie. Zwłaszcza że ja nie byłem sam. Przecież ten list podpisało 50 koleżanek i kolegów, a dochodzą następne osoby. To nie jest odosobniony głos.

PODCINANIE KONSERWATYWNEGO SKRZYDŁA

Paweł Zalewski i Ireneusz Raś zapowiedzieli odwołanie do sądu koleżeńskiego, choć ich los w Platformie wygląda raczej na przesądzony. Obaj politycy byli zaliczani do tzw. konserwatywnego skrzydła partii, które Platformie pod nowym kierownictwem wydaje się coraz mniej potrzebne. Widać wyraźnie, że partia zmienia profil na lewicowo-liberalny i bez skrupułów pozbywa się tych, którzy do nowej odsłony nie pasują. A że zwykle to ci sami, którzy najgłośniej publicznie poczynania kierownictwa krytykowali, to z punktu widzenia Borysa Budki podwójna korzyść.

Budka miał już dość tego, że ci dwaj politycy najaktywniej i najgłośniej krytykowali go publicznie, narzekając na kryzys przywództwa w partii. W Platformie można usłyszeć, że między Budką a Rasiem i Zalewskim od dawna toczyła się gra nerwów i wiadomo było, iż to nie będzie trwać w nieskończoność. Ci, którzy tak uważają, twierdzą też, że nie ma to związku z odcinaniem konserwatywnej kotwicy czy skrętem Platformy w lewo, a chodzi raczej o personalne porachunki.

Pytamy więc Pawła Zalewskiego, co – w jego ocenie – zdecydowało o usunięciu go z partii: czy konflikt personalny, czy jednak spór o nowy kierunek ideowy Platformy. – Spór wokół kierunku politycznego, w którym podąża partia – odpowiada krótko.

Krytykujący nową linię przewodniczącego Budki lubią przypominać, że Platforma była najsilniejsza i odnosiła sukcesy, gdy, tak jak za czasów Tuska, miała silne oba skrzydła – i to liberalne, i to konserwatywne – i zachowywała między nimi balans. W 2016 r. nawiązywał do tego Grzegorz Schetyna w głośnym wywiadzie dla „Do Rzeczy". – Jestem zwolennikiem utrzymania przez PO konserwatywnej kotwicy. Chcę powrotu do źródeł Platformy, czyli jej liberalno-konserwatywnego charakteru. Chcę też, by była w swoim przekazie chadecka – mówił.

Dzisiaj zwolennicy Borysa Budki przekonują, że zmienił się (czytaj: zliberali-

eprasa.pl ec86032006

zował światopoglądowo) profil wyborcy Platformy i że tylko kierunek w lewo daje szansę wygrywania wyborów. – Tak, owszem, wyborcy wielkomiejscy są bardzo progresywni, ale nie wszyscy głosujący na Platformę to mieszkańcy wielkich miast – odpowiada Zalewski.

SZCZEROŚĆ, KTÓRA NIE POPŁACA

Jeśli prześledzić polityczny życiorys Pawła Zalewskiego, to Platforma Obywatelska była ósmą formacją polityczną, z którą był formalnie związany i w której był najdłużej, bo aż 12 lat. Wcześniej był politykiem m.in. Unii Demokratycznej, Partii Konserwatywnej, Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego i Przymierza Prawicy. Wraz z tą ostatnią formacją przystąpił w 2002 r. do PiS, gdzie spędził pięć lat. Był jednym z wiceprezesów partii.

Jego problemem od zawsze było jednak to, że publicznie, w mediach, zbyt często mówił to, co myśli, a w polityce szczerość nie zawsze popłaca. Gdy w 2007 r. skrytykował w radiu szefową MSZ Annę Fotygę, został zawieszony, a prezydent Lech Kaczyński obwieścił publicznie, że „uważa znajomość z panem posłem za zakończoną". Po trzech miesiącach wewnątrzpartyjne postępowanie dyscyplinarne wobec Zalewskiego zostało umorzone i wrócił na funkcję wiceprezesa partii. Z list PiS dostał się jeszcze do Sejmu, by chwilę później ostatecznie rozstać się z partią i wraz z Kazimierzem Ujazdowskim oraz Ludwikiem Dornem szukać politycznego szczęścia gdzie indziej.

Proces rozstawania się Pawła Zalewskiego z PiS ma wiele wspólnych cech z tym, co się dzieje wokół tego polityka teraz.

W 2007 r. Paweł Zalewski także krytykował partię, m.in. za przegraną kampanię wyborczą, i wzywał do wewnątrzpartyjnych rozliczeń. Co prawda wówczas nie domagał się rezygnacji lidera partii i w przeciwieństwie do dzisiejszych wypowiedzi nie kwestionował jego pozycji, ale – podobnie jak dzisiaj w stosunku do Platformy – domagał się zmian w funkcjonowaniu partii. Wówczas także był jednym z inicjatorów listu wysłanego do prezesa PiS. Dzisiaj też niezadowoleni politycy Platformy napisali do Borysa Budki list. Zarówno poprzedni list z 2007 r., jak i obecny szybko wyciekły do mediów i stały się pretekstem do spekulacji o rozłamie w partii. – Generalnie rzecz biorąc, są tam ocena sytuacji przedstawiona przez trzech wiceprezesów oraz postulaty, których realizacja – w naszym przekonaniu – może pomóc PiS być dobrą, konstruktywną, wiarygodną opozycją, która to funkcja w Sejmie pozwoli dojść do władzy za cztery lata – komentował wówczas w mediach treść listu Paweł Zalewski. – Istnieje potrzeba większej wolności wewnętrznej i doprowadzenia do tego, że istotne instytucje polityczne wewnątrz partii funkcjonują realnie – dodawał.

Gdy pytamy go dziś, ucina temat. – Nie chcę szukać analogii – odpowiada.

Po opuszczeniu PiS w 2007 r. współtworzył projekt Mazowsze XXI, który był preludium do powołania m.in. przez Kazimierza Ujazdowskiego ruchu obywatelskiego Polska XXI, w którego działalność jednak już się nie zaangażował. W 2009 r., ku zaskoczeniu wielu, okazało się, że jest kandydatem w wyborach do Parlamentu Europejskiego z list PO. Uzyskał mandat europosła i jeszcze w tym samym roku wstąpił do Platformy.

To wtedy też popadł w głośny konflikt z Michałem Kamińskim, który także kandydował do PE, tyle że z list PiS. Kamiński nazwał Zalewskiego „berlińskim lizusem" i zwrócił się do niego na Twitterze „Herr Zalewski". Sprawa zakończyła się w sądzie, ostatecznie Kamiński, który po drodze także rozstał się z PiS, musiał Zalewskiego przeprosić.

Druga odsłona tego konfliktu miała miejsce przy okazji wyborów w 2015 r., gdy obaj politycy byli już w Platformie i pokłócili się o miejsce na liście wyborczej do Sejmu. – Mam nadzieję na wzmocnienie Platformy, ale z panami Kamińskim i Giertychem nie odzyskamy zaufania Polaków – przekonywał Paweł Zalewski. Kamiński odpowiadał: – Ze smutkiem przyjmuję fakt, że Paweł Zalewski ten bakcyl nienawiści, bakcyl plucia na innych przeniósł z PiS do Platformy.

Ostatecznie obaj politycy znaleźli się w Sejmie, ale ich konflikt ma szansę rozbłysnąć na nowo, jeśli Zalewski po wyrzuceniu z Platformy zdecyduje się na współpracę z PSL (co jest bardzo prawdopodobne), z którym od dawna już ściśle współpracuje Kamiński.

KRYZYS DOPIERO UDERZY

Pozbycie się Pawła Zalewskiego i Ireneusza Rasia z Platformy nie zamknie tematu wewnętrznych sporów w partii i rozmów o polityczny kierunek, w którym podąża partia. Dzień po wyrzuceniu Rasia i Zalewskiego o swoim odejściu z partii poinformowała europosłanka Róża Thun, która wywodzi się z zupełnie innego środowiska niż dwaj wykluczeni posłowie. To pokazuje, że kryzys w największej partii opozycyjnej jest głębszy, niż się wydaje.

Tymczasem Paweł Zalewski zapowiada, że będzie nadal wypełniał swój mandat posła, pracował w swoim okręgu i w sejmowych komisjach (choć został przez Platformę natychmiast wycofany ze składu Komisji Spraw Zagranicznych, której był wiceprzewodniczącym). W rozmowie z „Do Rzeczy" deklaruje też, że zamierza pracować „na rzecz budowy szerokiego bloku centrowego, który mógłby pozyskać zaufanie Polaków". Nie kryje, że chodzi o projekt, firmowany przez Władysława Kosiniaka-Kamysza i ludowców, do którego włączył się ostatnio także były prezydent Bronisław Komorowski. Może znajdzie się tam miejsce i dla niego, byłego PiS-owca i byłego platformersa?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

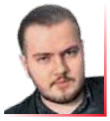

Jakub Zgierski

Ideologia

Marksizm kulturowy zyskuje zwolenników na polskich uczelniach. Dlaczego?

Idee mają konsekwencje – to bardzo dalekowzroczne stwierdzenie, które nawiązuje do jednej z najważniejszych książek myśli konserwatywnej w XX w. Richard M. Weaver napisał pracę pod tym tytułem w 1948 r., przestrzegając przed zgubnym wpływem rewolucyjnych prądów intelektualnych. Te zawsze pozostawiają po sobie ślad, a właściwie skrwawioną ziemię i spustoszenie. Nie inaczej jest z marksizmem, który zdaje się przeżywać swoisty renesans. Neomarksizm, zwany również marksizmem kulturowym, zyskuje rzesze zwolenników przede wszystkim na zachodnich uniwersytetach, w tym na uczelniach w Polsce.

NIEZNANE ŹRÓDŁA KULTUROZNAWSTWA

Kulturoznawstwo to dosyć młoda dyscyplina humanistyczna, która zajmuje się badaniem kultury. Na pierwszy rzut oka nie musimy wiedzieć niczego więcej, bo wszystko zostało zawarte w samej nazwie. Zapewne z takiego założenia wychodzą studenci, którzy niestety nie mają świadomości, jaki kierunek studiują. W świecie anglojęzycznym kulturoznawstwo występuje pod nazwą „Cultural studies", co można przetłumaczyć wprost jako „Studia kulturowe". Choć brzmi to szokująco, to wbrew pozorom nie mamy tu do czynienia z żadną nauką, lecz ideologią, która przeniknęła do świata akademickiego.

W 1964 r. w Birmingham w Wielkiej Brytanii powstał Ośrodek Współczesnych Badań nad Kulturą (Centre for Contemporary Cultural Studies), który potocznie określa się mianem szkoły z Birmingham lub brytyjskiej szkoły kulturoznawczej. Placówka ta jest uważana za najważniejsze miejsce rozwoju studiów kulturowych, czyli właśnie kulturoznawstwa. W 1968 r.

eprasa.pl ec86032006

importowana

FOT. ADOBE STOCK

kierownictwo nad ośrodkiem przejął zafascynowany marksizmem socjolog Stuart Hall, jeden z twórców pisma „New Left Review" stanowiącego organ prasowy zachodniej Nowej Lewicy. Intelektualiści skupieni w tej szkole inspirowali się marksizmem, a właściwie neomarksizmem, którego fundamenty od lat 30. XX w. tworzyła szkoła frankfurcka.

W Polsce w tej dziedzinie do najważniejszych ośrodków badawczych należy Instytut Kulturoznawstwa UAM w Poznaniu. Postanowiłem przeanalizować sylabus przedmiotu „Wstęp do kulturoznawstwa" z tej uczelni, aby unaocznić, na jakich fundamentach opiera się ten kierunek. Nie bez przyczyny jedne z pierwszych zajęć są poświęcone właśnie szkole z Birmingham, której ideolodzy stworzyli cały aparat pojęciowy kulturoznawstwa (stąd m.in. książka medioznawcy Johna Fiske'a). Istotne miejsce w spisie treści zajmuje teoria kultury według Raymonda Williamsa, marksistowskiego badacza, który przez pewien czas należał nawet do Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Studenci mają zapoznać się również z marksistowską krytyką kapitalizmu i kultury masowej w wykonaniu wspomnianej szkoły frankfurckiej.

W kulturoznawstwie, choć zabrzmi to szokująco, wbrew pozorom nie mamy do czynienia z żadną nauką, lecz z ideologią

Nie dziwi obecność tekstów postmodernistów, w tym Zygmunta Baumana, którego gorliwa współpraca z władzą ludową w okresie stalinizmu najwidoczniej nie stanowi dla współczesnego świata akademickiego żadnego problemu. Nie mogło zabraknąć też koncepcji francuskiego myśliciela

eprasa.pl ec86032006

Michela Foucaulta, którego pedofilskie czyny opisał w marcu 2021 r. znany dziennikarz Guy Sorman. Uczynił to dopiero po latach, ponieważ za życia Foucault cieszył się we Francji statusem „króla filozofów", wręcz „boga", którego prasa nie śmiała krytykować. W czasie swoich studiów na katolickiej uczelni (!) sam usłyszałem od wykładowcy, że był to „bardzo mądry człowiek".

Ważny trop w sylabusie stanowi zagadnienie „Studia kulturowe jako teoria krytyczna", które wskazuje, że kulturoznawstwo należy postrzegać jako przykład teorii krytycznej. Co to właściwie oznacza?

TEORIA KRYTYCZNA, CZYLI AKADEMICKI MARKSIZM

Coraz więcej współczesnych teorii wykładanych na uniwersytetach zawiera przymiotnik „krytyczna". Jako że polskie placówki naukowe nie mogą okazać się gorsze, ochoczo importują z Zachodu wszelkie tego typu nowinki. Studenci są zaznajamiani z „krytyczną teorią rasy" (critical race theory), „krytyczną teorią płci" (critical gender theory) czy „studiami krytycznymi nad zarządzeniem" (critical management studies). Wszystkie podobne koncepcje zaliczamy zbiorczo do kategorii „studia krytyczne" (critical studies).

Krytyka w tradycyjnym rozumieniu oznacza rzeczową analizę i ocenę. Jak podaje elektroniczny „Wielki słownik języka polskiego", jest to „działanie polegające na tym, że postrzega się jakąś rzecz lub zjawisko z wykorzystaniem różnorodnych kryteriów, aby następnie ocenić je jako całość lub ze wskazaniem na poszczególne elementy". Problem polega na tym, że krytyczność zawarta w wymienionych wcześniej teoriach w najmniejszym stopniu nie odnosi się do tradycyjnej definicji tego słowa, a nawet jego potocznego rozumienia (krytyka jako surowa ocena). Jest to zaś bezpośrednie nawiązanie do teorii krytycznej.

W 1937 r. Max Horkheimer, jeden z najważniejszych przedstawicieli szkoły frankfurckiej odpowiedzialnej za „unowocześnienie" marksizmu, opublikował pracę „Teoria tradycyjna a krytyczna", w której wyłożył stanowisko swojej formacji. Wbrew oficjalnej wykładni nie jest to żadne podejście filozoficzne, tylko na wskroś ideologiczne. Można powiedzieć, że teoria krytyczna stanowi bezpośrednie przedłużenie „działalności praktyczno-krytycznej" Karola Marksa (sformułowanie z „Tez o Feuerbachu" z 1845 r.). Polega na nieustannej krytyce status quo i prowadzi do sukcesywnego niszczenia tradycyjnego systemu. Jako że ten rzekomo u swoich fundamentów opiera się na represji, wyzysku i niesprawiedliwości, musi zostać całkowicie zanegowany.

Należy podkreślić, że teoria krytyczna w swoim założeniu odrzuca jakiekolwiek konstruktywne działanie obliczone na poprawę bieżącej sytuacji. Wszystkie koncepcje krytyczne, które wychodzą od takiej metody badawczej, nie pozwalają na znalezienie rozwiązania w ramach zastanej rzeczywistości. Innymi słowy, sprowadzają się jedynie do odmowy i ciągłego wynajdywania kolejnych problemów. Analizy społeczne przeprowadzane w tym duchu stanowią kalkę marksistowskiej walki klas, ponieważ operują na sprzecznościach. Dialektyczny konflikt dotyczy nie tylko robotników okradanych przez kapitalistów, lecz także kobiet tłamszonych przez mężczyzn, kolorowych dręczonych przez białych czy mniejszości seksualnych nietolerowanych przez większość społeczeństwa.

„Do dnia dzisiejszego na szkole frankfurckiej ciąży odium marksizmu praktycznego, a sama teoria krytyczna jest postrzegana jako akademicka nazwa marksizmu. Padają też oskarżenia o instrumentalne traktowanie grup społecznych" – twierdzi dr Marcin Wałdoch w opracowaniu „Teoria krytyczna jako metoda analizy politycznej", prezentując zarzuty stawiane frankfurtczykom. Trudno nie zgodzić się z powyższymi spostrzeżeniami, które osobiście uważam za w pełni zasadne. Nowy proletariat – w tej roli kobiety, imigranci, Murzyni, geje, transseksualiści itd. – jest cynicznie wykorzystywany przez ideologów, którzy kreują konflikty społeczne na potrzeby rewolucji politycznej.

Coraz więcej współczesnych teorii wykładanych na uniwersytetach zawiera przymiotnik „krytyczna". Jako że polskie placówki naukowe nie mogą okazać się gorsze, ochoczo importują z Zachodu wszelkie tego typu nowinki

RADYKALIZM NA UW

Jak ktoś kiedyś słusznie zauważył, zazwyczaj to stolica na tle reszty kraju jawi się jako największy rozsadnik rewolucjonizmu. O klimat intelektualny, który panuje na Uniwersytecie Warszawskim, a zwłaszcza na kierunkach humanistycznych i społecznych, zapytałem absolwenta socjologii UW, który woli pozostać anonimowym rozmówcą.

– Zależy od zajęć. Są takie, które kompleksowo przekopują się przez najróżniejsze nurty, są jednak też takie, których prowadzący czasem już na wstępie informują, z jakiej „tradycji myślenia" zamierzają korzystać. Na socjologii prądy neomarksistowskie dominują głównie w treści zajęć szeroko związanych z historią i filozofią społeczną. Nic, tylko krytyka i krytyka, jedynie lewicowa, bez np. krytyki konserwatywnej. Do tego dochodzi rozmawianie o postaciach znanych z lewicowej działalności rewolucyjnej bez zająknięcia się na temat zbrodniczych konsekwencji ich myśli. Najbardziej oczywiste jest rozpływanie się nad Marksem (stawianym w jednym rzędzie z najwybitniejszymi socjologami), ale odwoływanie się do myśli leninowskiej również zdarzyło się mieć miejsce. Zupełnie tak, jakby marksizm i leninizm były zwykłymi prądami myślowymi, które wcale nie doprowadziły do masowych tragedii – opowiada były student.

Na potrzeby tego artykułu zajrzałem do sylabusów, które obowiązują na tamtejszej socjologii. Przeanalizowałem m.in. przedmiot „Współczesna filozofia społeczna", który oferuje studentom możliwość zapoznania się z bogatą paletą radykalnych intelektualistów. Warto zastanowić się, jaki cel przyświeca autorom takiego programu zajęć. Czy przedstawienie słuchaczom teorii z zakresu marksizmu strukturalistycznego (Louis Althusser),

eprasa.pl ec86032006

gender i performatywizmu płci (Judith Butler), antypsychiatrii (Michel Foucault) lub psychoanalizy politycznej (Slavoj Žižek) ma przestrzec młode umysły przed niebezpiecznymi ideologiami? To oczywiście pytanie retoryczne.

– One służą jako narzędzia krytyki, bo krytyka na tego typu zajęciach to nie krytyka tekstów, ale okazja do poznęcania się nad społeczną rzeczywistością za pomocą danego aparatu pojęciowego. Jeśli już dochodzi do krytyki samego tekstu, to ma ona dwie postacie: albo krytyki tego, że autor nie był odpowiednio czy dostatecznie krytyczny, albo krytyki autora za pomocą innych autorów – oczywiście lewicowych. Albo obie naraz. Porażające jest jednocześnie odrywanie myśli od autora. Często, aby dowiedzieć się czegoś o twórcy, musiałem wykonywać samodzielną pracę. Element „życiowych dokonań" był bardzo często pomijany, zupełnie nieistotny dla omawianej myśli (jak np. fascynujący życiorys Althussera...) – wyjawia młody socjolog.

Rzeczywiście, dorobek Louisa Althussera trzeba ocenić niezwykle wysoko. Jeżeli wykładowca nie uznał za istotne, aby szerzej omówić jego biografię, to mógł mieć ku temu konkretny powód. Czy mogło chodzić o to, że Althusser był głównym ideologiem Francuskiej Partii Komunistycznej (do 1976 r. wyznającej stalinizm), zwolennikiem ortodoksyjnego marksizmu i przewodnikiem ideowym młodzieży maoistowskiej (odwołującej się do rewolucji Mao Zedonga w Chinach)? Odpowiedź pozostawiam państwu.

W sylabusie przedmiotu „Avanti popolo! Włoska radykalna myśl społeczna" możemy znaleźć zagadnienia poświęcone teoriom włoskich komunistów. Samo zawołanie „Avanti popolo!", które pojawiło się w nazwie, odnosi się do pieśni „Bandiera rossa" chwalącej czerwony sztandar rewolucji. Według rozpiski studenci mają poznać chociażby postać Antonia Gramsciego, współzałożyciela Włoskiej Partii Komunistycznej i twórcy koncepcji wojny pozycyjnej, którą w latach 60. XX w. marksiści spod znaku Nowej Lewicy określili mianem „długiego marszu przez instytucje". Ponadto na zajęciach słuchacze będą mogli zaznajomić się z tzw. operaizmem, czyli włoskim nurtem komunizmu robotniczego, a także z myślą Piera Paolo Pasoliniego, skrajnie lewicowego reżysera, twórcy wielu perwersyjnych filmów, np. „Salò, czyli 120 dni Sodomy".

Zapytałem mojego rozmówcę, który uczęszczał na ten przedmiot, czy wykładowca w trakcie zajęć starał się unaocznić studentom zagrożenia płynące z takich radykalnych nurtów politycznych. Odpowiedź nie okazała się dla mnie zaskakująca.

– Bardziej zastanawialiśmy się, co byśmy zrobili lepiej, by zaprowadzić nowy bezklasowy ustrój, co jest konieczne i jakie przeszkody stoją na drodze. Znów – krytyka rzeczywistości, nie tekstów. Co ciekawe, praktycznie cały czas mówiliśmy tylko o rewolucji, nigdy o tym, jak świat mógłby wyglądać już po niej. Ale z takich zajęć można się dowiedzieć wielu cennych rzeczy, jeśli się trzeźwo słucha, np. że rewolucja musi objąć naraz cały świat, w przeciwnym wypadku nie zadziała. To by tłumaczyło, dlaczego marksiści nie zamkną się po prostu w jakimś kraju i nie wypróbują swoich pomysłów. Dopóki komunizm nie obejmie całego świata – dopóty nigdy nie będzie prawdziwym komunizmem – opisuje absolwent UW.

Inne sylabusy, z którymi miałem styczność, nie odbiegają znacząco od linii wytyczonej przez ostatnie przykłady. Przedmiot „postkolonializm" w zasadzie w całości bazuje na „teorii postkolonialnej", która oczywiście ma charakter krytyczny, wymierzony w podstawy myśli zachodniej (biali kolonizatorzy i uciskane ludy). Co ciekawe, na zajęciach „omówiony zostanie związek badań postkolonialnych z socjologią gender czy socjologią queer". Co za wszechstronne ujęcie tematu, prawda? Rozczarowani nie będą również uczestnicy przedmiotu „psychoanaliza – gender – demokracja", w ramach którego podejmowane są takie zagadnienia, jak: myśl feministyczna, teoria gender czy schizoanaliza (faszyzm to wszystko, co zniewala, a kapitalizm prowadzi do schizofrenii, czyli do szaleństwa).

POLSKI MARSZ PRZEZ INSTYTUCJE

O komentarz odnośnie do postępów rewolucji w polskim świecie akademickim poprosiłem dr. Roberta Kościelnego, historyka i autora książki „Śmierć Prometeusza albo lewą marsz! O marksizmie kulturowym".

– Na pewno neomarksizm jest obecny na polskich uczelniach, wpływa nie tylko na poruszane przez badaczy tematy oraz wyciągane podczas prac wnioski, lecz także kształtuje postawy i poglądy pozanaukowe. Posłuszne modnej ideologii kadry kształtują studentów, czyli przyszłe elity kulturalne kraju. „Sformatowani" ideologicznie absolwenci już dawno rozpoczęli polską odmianę „marszu przez instytucje" – twierdzi historyk.

Marsz przez instytucje w założeniu twórców tej strategii polega na konsekwentnym wnikaniu systemu do instytucji i zmienianiu ich od środka. Już Antonio Gramsci zauważył, że najistotniejsza nie jest sama władza polityczna, np. liczba miejsc w parlamencie, ale dominacja w sferze kultury. Ci, którzy sprawują kontrolę nad edukacją i mediami, mogą kreować świadomość społeczną i replikować wśród mas własną ideologię.

– Podejmowanie modnych tematów, np. gender, ułatwia awanse akademickie. O czym świadczy, chociażby, przykład pani „profesorki" ze Szczecina, która zbudowała swoją „pozycję naukową" na analizowaniu różnic między przodkiem a tyłkiem. Owa dama zasłynęła na całą Polskę udziałem w jesiennej manifestacji „wściekłych macic", „wzbogacając" imprezę wulgarnym okrzykiem. Obecnie zasiada w Radzie Doskonałości Naukowej. Jest to organ decydujący o karierach polskich uczonych (odpowiednik zlikwidowanej Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów). Najbardziej przykre jest to, że tzw. prawicowa profesura, nasze „prawicowe świątki" i „autorytety moralne", w tej zgubnej dla Polski sytuacji siedzi cicho jak mysz pod miotłą. Żadnych protestów przeciwko dziejącemu się złu, żadnych pomysłów na zmiany. Business as usual, można by powiedzieć – dodaje dr Kościelny.

Długi marsz przez instytucje trwa na Zachodzie od końca lat 60. XX w. Paradoksalnie kilkudziesięcioletnia okupacja sowiecka wraz z jej pragmatyczną polityką społeczną częściowo zabezpieczyła Polskę przed zalewem nowego marksizmu. Wydaje się, że zmiany mentalnościowe, które zapanowały w Europie w ciągu kilku pokoleń, wdraża się obecnie w naszym społeczeństwie, tyle że w ramach przyspieszonego kursu. Autorzy absurdalnych teorii, które dopiero zaczyna się wykładać na polskich uczelniach, w swoich krajach uchodzą za umiarkowanych filozofów, wręcz przedstawicieli akademickiego mainstreamu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Z dr. Tymoteuszem Zychem, rektorem Collegium Intermarium
rozmawia Maciej Pieczyński

Przywróćmy właściwe rozumienie praw człowieka

MACIEJ PIECZYŃSKI: Collegium Intermarium powstaje jako odpowiedź na kryzys życia akademickiego. Na czym polega ten kryzys?

DR TYMOTEUSZ ZYCH: Akademia z definicji powinna zajmować się poszukiwaniem prawdy, działaniem na rzecz takich wartości obiektywnych jak dobro i piękno. Na wielu uczelniach coraz dalej odchodzi się od tych celów w stronę skrajnego relatywizmu czy nihilizmu.

Mówi pan o sferze aksjologicznej. A czy ten kryzys dotyczy też samej nauki, dydaktyki?

Tak. Kryzys intelektualny życia akademickiego ma zresztą swoje źródła właśnie w kryzysie aksjologii – w braku świadomości celów, jakim służy uniwersytet. Problemem jest masowość studiów, anonimowość studentów. Z tego wynika brak efektywnej współpracy pomiędzy wykładowcą a studentem. Brakuje też nauki krytycznego myślenia. Mamy także kryzys badań naukowych. Jednocześnie prowadzi się badania odtwórcze i powielające utarte schematy, a wielu kluczowych cywilizacyjnie tematów w ogóle się nie podejmuje. W wielu przypadkach myli się naukę z ideologią.

Z pewnością ma pan na myśli gender studies...

To skrajny przypadek zjawiska, o którym mówię. Na kierunkach społecznych i humanistycznych dominująca ideologia często nie pozwala na prowadzenie badań. Zarazem uczelnia coraz częściej staje się szkołą, która przekazuje uczniowi ostatecznie ustalony stan wiedzy i przyjęte z góry myślowe dogmaty, a niekoniecznie pozwala mu na podejmowanie krytycznej refleksji. Z pewnym opóźnieniem dochodzą do nas symptomy kryzysu, który na Zachodzie widoczny jest od dawna. W latach 90. głośna była tzw. sprawa Sokala. Alan Sokal napisał tekst, który był całkowicie pozbawiony sensu, ale za to powtarzał kalki postmodernistycznego myślenia. Przedstawił w nim fikcyjną koncepcję, zgodnie z którą krytyka feministyczna powinna doprowadzić do nowej interpretacji podstaw fizyki kwantowej. Artykuł ten został opublikowany w jednym z najbardziej prestiżowych czasopism naukowych w Stanach Zjednoczonych i spotkał się z pozytywnym odbiorem środowiska, po czym sam autor ogłosił, że była to mistyfikacja. Ta historia niedługo może się zdarzyć także w Polsce.

Wasi krytycy zapewne stwierdziliby, że poszukiwanie prawdy w wykonaniu uczelni założonej przez Ordo Iuris będzie poszukiwaniem jednej prawdy, a lewicową ideologię na uczelniach zamienicie na prawicową.

FOT. ORDO IURIS

To jest kompletna bzdura. Chcemy wrócić do klasycznych wzorców akademickich. Pamiętajmy, że pierwsze uniwersytety powstały w średniowieczu. Wbrew czarnej legendzie tej epoki to właśnie wówczas spór, dyskusja, nieskrępowana debata naukowa w murach uczelni były nieodłącznymi elementami życia akademickiego, wręcz obowiązkami wykładowców i studentów. To była prawdziwa wolność wyrażania poglądów.

Dlaczego w środowiskach akademickich dominuje dziś światopogląd lewicowy?

Przyczyna leży w samej doktrynie neomarksizmu. Herbert Marcuse przekonywał, że prawdziwa tolerancja jest wtedy, kiedy poglądy niesłuszne czy nieprawdziwe są eliminowane. Zgodnie z tą ideą poglądy sprzeczne z neomarksizmem są wypychane poza mury uczelni. Towarzyszy temu bezwzględność ideologów, której osoby zakorzenione w klasycznym świecie wartości nie są w stanie zrozumieć. To jest zderzenie lewicowej ideologii z wolnością akademicką. W warunkach normalnej debaty, bez cenzury, poglądy neomarksistów nie miałyby na uczelni racji bytu.

Collegium Intermarium ma być kuźnią elit Międzymorza. Rozumiem, że elit prawicowych. Czy to początek prawicowego marszu przez instytucje?

Ja bym nie używał w odniesieniu do naszej uczelni określeń „prawicowy" czy „konserwatywny". Nie odcinam się od

eprasa.pl ed86032006

nich, bo mają dla mnie pozytywne konotacje, ale są one wieloznaczne i mogą być przez niektórych opacznie i zawężająco rozumiane. Collegium Intermarium ma na celu przede wszystkim przywrócenie właściwego znaczenia takim pojęciom jak „wolność", „dobro wspólne", „prawo". Do realizacji tego celu konieczne jest wykształcenie ludzi krytycznie myślących, potrafiących odrzucić dominujące dziś dogmaty poprawności politycznej, a jednocześnie szanujących doświadczenia poprzednich pokoleń. Chrześcijańska etyka, grecka kultura, prawo rzymskie – to są podstawy naszej cywilizacji, do których wprost nawiązuje nasza uczelnia. Przede wszystkim będziemy jednak na wysokim poziomie kształcić specjalistów w poszczególnych dziedzinach. Na początek – głównie na kierunkach prawniczych. Nasi absolwenci będą posiadali nie tylko teoretyczną wiedzę, lecz także zdolność krytycznego myślenia, pewność własnych umiejętności. A ponadto będą postrzegać Polskę i region Międzymorza jako podmiot stosunków międzynarodowych, a nie tylko jako strefę obcych wpływów.

„Istnienie ultrakonserwatywnych uczelni jest dobre. Pozwala utrzymać pewne poglądy i postawy poza murami państwowego systemu nauki, jednocześnie dając tym środowiskom wolność ekspresji" – tak założenie Collegium Intermarium skomentował prof. Michał Bilewicz, psycholog, niekryjący swoich lewicowych poglądów.

Ta wypowiedź świetnie pokazuje sposób myślenia skrajnej lewicy. Profesor Bilewicz, być może nieświadomie, przedstawił credo swojego środowiska. Wychodzi na to, że warsztat naukowy, inteligencja, dorobek, kultura osobista, elokwencja, ciężka praca – to wszystko nie ma znaczenia. O przynależności do środowiska akademickiego, zdaniem lewicy, powinny decydować jedynie poglądy polityczne. Radykalna lewica wyznaje prymat polityki nad nauką.

Czyli robi dokładnie to, za co krytykuje was.

Upolitycznienie jest problemem współczesnego szkolnictwa wyższego, za który odpowiadają współcześni ideolodzy skrajnej lewicy. Collegium Intermarium nie będzie żadnym intelektualnym „gettem", wręcz przeciwnie. Podobnie jak pierwsze uniwersytety, powstałe wieki temu w Padwie czy Bolonii, nasza uczelnia będzie miejscem integracji i dyskusji różnych środowisk naukowych.

Dlaczego „Intermarium"? Na czym polega międzynarodowy charakter uczelni?

Po pierwsze, mamy międzynarodową kadrę. Na naszej uczelni pracują wybitni naukowcy z różnych części świata, nie tylko z Europy Środkowej. Katedrą Prawa Międzynarodowego pokieruje księżna prof. dr Ingrid Detter de Frankopan, doradczyni św. Jana Pawła II do spraw prawa międzynarodowego. Na czele Katedry Nauk o Państwie stanie dr Stephen Baskerville z wieloletnim stażem pracy na europejskich i amerykańskich uniwersytetach. Dołączył do nas m.in. również sam rektor Uniwersytetu Macieja Korwina w Budapeszcie, prof. András Lánczi. Mamy też wykładowców z Bułgarii, Ukrainy, ze Słowacji... Flagowy charakter mają dwa nasze kierunki. Po pierwsze, prawnicze studia magisterskie, realizowane w języku polskim. Po drugie, anglojęzyczne podyplomowe studia International Human Rights Law (LL.M – Master of Laws), na które będziemy zapraszać studentów z zagranicy. To pierwszy tego typu projekt w naszej części świata. W ramach tego kierunku chcemy przywrócić właściwe rozumienie praw człowieka, które dziś, jak to ujął Jan Paweł II, próbuje się obrócić przeciwko człowiekowi.

Jeżeli więc student stwierdzi np., że aborcja jest prawem człowieka, to zostanie wyrzucony z zajęć czy zostanie zaproszony do „otwartej debaty"?

Istotą akademii jest to, że wolno dyskutować i prezentować różne poglądy. Granice to szacunek dla adwersarzy i zasad kultury akademickiej. Inna sprawa, że podczas studiów taki student dowie się, że w obowiązującym stanie prawnym teza ta nie jest uzasadniona. Dowie się też, że nie ma przesłanek etycznych, aby nazywać aborcję prawem człowieka.

Międzymorze to szerokie, niejednoznaczne pojęcie. Nawet w sensie geograficznym. W jakim zakresie tę ideę będzie realizować Collegium Intermarium?

Dla nas Międzymorze to wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej, które pod wieloma względami łączy wspólny los – wspólna przeszłość obcej dominacji, która nie pozwalała tym krajom harmonijnie się rozwijać oraz wykształcić silnych instytucji. Jednocześnie łączy nas zakorzenienie w tradycyjnym europejskim porządku. Z jednej strony mamy inicjatywę Trójmorza, z drugiej – nienależące do UE kraje bałkańskie, Ukrainę czy nawet Białoruś. Zasięg oddziaływania uczelni chcemy rozszerzyć o wychodzące poza tradycyjne ramy Międzymorza Gruzję czy Armenię.

Collegium Intermarium ma być więc intelektualnym hubem dla całego Międzymorza?

Będziemy się starali, aby studenci z tych krajów zapisywali się na nasze studia, szczególnie na kierunek LL.M. Chcielibyśmy, aby nasza uczelnia stała się przestrzenią debaty i spotkań liderów obszaru Międzymorza, zarówno jeśli chodzi o środowisko naukowe, jak i o środowisko polityczne. Pierwszy krok w tę stronę poczynimy już podczas konferencji inaugurującej działanie Collegium Intermarium. Wśród panelistów znajdą się przedstawiciele władz państwowych i instytucji sądowniczych z krajów Europy Środkowej. Planowana jest także organizacja seminariów i konferencji poświęconych temu, co łączy nasz region, w innych krajach poza Polską.

W jakim kierunku będzie rozwijać się uczelnia?

Chcemy po pierwsze rozszerzyć liczbę kierunków i już w przyszłym roku zaprosić na studia z zakresu klasycznej pedagogiki, klasycznej architektury i zarządzania – ale nastawionego przede wszystkim na zarządzanie własnymi firmami, a nie pełnienie funkcji w kadrze średniego szczebla podmiotów zagranicznych. Być może w przyszłości uruchomimy też szkołę doktorską. Collegium Intermarium będzie nie tylko instytucją naukową, lecz także miejscem poważnych i odważnych badań naukowych, które nie są prowadzone na innych uczelniach ze względu na deficyty i trudności w wyznaczeniu celu tych badań. Będziemy chcieli ustalić obszary strategiczne, szczególnie takie, które są ważne dla Międzymorza – budowy jego znaczenia, podmiotowości, siły gospodarczej. Naszym celem jest zerwanie z modelem, w którym jesteśmy intelektualnie i gospodarczo zależni od innych. Kiedyś punktem odniesienia był Wschód. Dziś często bezrefleksyjnie powielamy pewne wzorce zachodnie. Chcemy zajmować się na poważnie analizą prawa. Trzeba inteligentnie oceniać różne, stosowane na świecie rozwiązania i mądrze je wprowadzać u nas, w Polsce, i w innych krajach Międzymorza. Trzeba tworzyć modele, które są dla nas adekwatne. Kształcenie jest tylko jedną z misji. Collegium Intermarium ma być prawdziwym ośrodkiem intelektualnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Demonstracje 3 maja 1981 r. w Gdańsku. Piotr Semka w drugim rzędzie od dołu (w środku) FOT. LESZEK BIERNACKI

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i Sk-a), wywiadu rzeki z Piotrem Semką
przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Licealna konspira

JAN HLEBOWICZ: Do najbardziej dramatycznych wydarzeń stanu wojennego w Gdańsku doszło 17 grudnia. Od rana walczono na wysokości dworca PKP w Gdańsku...

PIOTR SEMKA: Zapamiętałem pewną dramatyczną scenę. Czołg przed dworcem walnął ze ślepaka. Huk ogromny. Kasy na gdańskim dworcu. W panice jedna z bileterek wybiła krzesłem okno kasowe i idąc na czworakach po potłuczonym szkle, uciekała. Nie do końca pewnie zdając sobie sprawę, w którą stronę, po co i gdzie. Tak ogromne było przerażenie wśród ludzi. Na wysokości LOT-u zgromadził się tłum demonstrantów. Nieopodal stał budynek kwiaciarni, w połowie niedokończony. Dookoła walały się cegły i stała betoniarka. Demonstranci wykorzystali te cegły do budowania barykad i rzucania w milicję. Właściciel kwiaciarni, gdy przybył na miejsce, dostał załamania nerwowego. Krzyczał: „I co ja teraz zrobię? Wydałem na te cegły majątek. Dlaczego mi to rozebraliście?". Głównym utrapieniem demonstrujących był milicyjny pojazd BTR-40 Skot, który krążył między komendą milicji na Okopowej a Huciskiem. Podjęliśmy niezdarne próby tworzenia koktajli Mołotowa. Ktoś przyniósł skrzynkę pełną butelek od mleka z grubymi szyjkami. Ktoś inny, nie wiem skąd, miał benzynę albo ropę. Jeden facet, choć była zima, zdjął koszulę, którą podarł na szmaty. Do środka nalaliśmy benzyny, do tego szmata, zapaliliśmy i gdy jechał transporter, rzuciliśmy butelkę. Owszem, rozbiła się, ale nie wywołała żadnego wybuchu. Inspirowaliśmy się opowieściami z powstania warszawskiego. Zabrakło jednak głębszych umiejętności.

Byłeś przy śmierci Antoniego Browarczyka?

Nie. Byłem wtedy w innym miejscu. Ale słyszałem strzały. Milicja około godziny szesnastej zagnała nas na peron kolejki SKM w Gdańsku. Kordon milicyjny zacieśniał się coraz mocniej, my rzucaliśmy kamieniami z torowisk. One były takiego rudawego koloru. Poszła plotka, że ZOMO sprawdza wszystkim ręce. Jeśli ktoś miał ślady tego brązowego pyłu kolejowego, to był z marszu aresztowany. Zomowcy zaczęli schodzić od dworca autobusowego. „Cudów nie ma. Łap nie umyję" – pomyślałem. Kordon się zacieśniał i w tym momencie usłyszeliśmy przez megafon: „Pociąg pospieszny ze stacji Gdynia Główna do stacji Częstochowa wjeżdża na tor drugi przy peronie pierwszym". Wskoczyliśmy do tego pociągu, krzycząc do konduktora: „Panie, ruszaj pan jak najszybciej". I on rzeczywiście ruszył. Poprosiliśmy, by wypuścił nas w rejonie Starych Szkotów, i następnie torami przebijaliśmy się do domów. Następnego dnia, w piątek 18 grudnia, rozeszła się legenda, że strajkuje port gdański. Nie wiedziałem, że dzień wcześniej strajk został wygaszony. Przyjechałem do Nowego Portu. Ulice opustoszałe. Szukałem portu. Wszędzie pusto. Po terenie krążyły tylko milicyjne nyski. Opór zgasł.

Co po wprowadzeniu stanu wojennego stało się z niezależnymi uczniowskimi inicjatywami w Topolówce?

Aby nie zostać upokorzonym oficjalnym zakazem działania, parlament uczniowski III LO podjął decyzję o zawieszeniu działalności. Zebraliśmy się na leśnej polance koło szkoły – dla osób spoza Gdańska małe wyjaśnienie: Topolówka leży przy sporym parku leśnym – i postanowiliśmy zawiesić istnienie naszej namiastki samorządności. Z przykrością obserwowałem, że wiele tak niedawno

eprasa.pl ec86032006

jeszcze fajnych koleżanek i kolegów teraz sprawiało wrażenie osób chorych ze strachu. Żądali, by deklarację zawieszenia parlamentu przekazać oficjalnie władzom. Ja byłem przeciw, a na szczęście nikt się nie palił, by zanosić oświadczenie dyrekcji. Zadbałem, aby parę komunikatów o naszej decyzji zostało rozklejonych na ścianach liceum. Dyrekcja przyjęła informację do wiadomości i obie strony uznały to za optymalne wyjście z sytuacji. Może to śmieszne, ale chciałem być legalistą.

Prezydium parlamentu wydało nawet oświadczenie: „Nie damy się przerobić w potulny samorząd, nie damy się wykorzystać przez władzę do jej niecnych planów". A w „Solidarności. Piśmie Regionu Gdańskiego" pisali: „Szybko zniknęły ze szkoły gazetki. Jakże żałośnie wyglądały puste gabloty, z których jeszcze tak niedawno patrzyła prawda o narodowej historii".

Jeszcze pod koniec października 1981 roku Jarek Kurski wpadł na pomysł drukowania „BIT-u". Robiliśmy to w mieszkaniu naszej szkolnej koleżanki Alicji Szkóp. Po wprowadzeniu stanu wojennego przerażona Ala przybiegła do Jarka i krzyczała, żebyśmy natychmiast zabrali z jej domu cały sprzęt. Tak też zrobiliśmy. 13 grudnia około siedemnastej obładowani drukarskim oprzyrządowaniem czekaliśmy na peronie kolejki SKM, przystanek Politechnika. Spytałem Jarka: „No dobra, a jak wejdzie ZOMO, to co zrobimy?". Wzruszył tylko ramionami i odparł, że nie ma co się zastanawiać zawczasu. Na szczęście ani milicja, ani ZOMO do SKM nie weszły.

Tymczasem w szkole nastąpiły zmiany. Dyrektora Krawczyka zastąpił Ryszard Łosiński.

Dyrektor Krawczyk, który trwał na stanowisku jakieś pół roku po 13 grudnia 1981 roku, zachowywał się stosunkowo porządnie, zważywszy na dramatyzm sytuacji. Po szkole krążyła opowieść o tym, jak wezwał do swojego gabinetu matkę jednego z uczniów: „Pani syn nakleja na terenie szkoły nalepki »Solidarność zwycięży«. Pewnie i zwycięży, ale zanim to się stanie, pani syn może wylecieć ze szkoły. Proszę go trochę bardziej pilnować". Prawdopodobnie z powodu takiej liberalnej postawy wobec niezależnych inicjatyw dyrektor został w końcu usunięty. W jego miejsce przyszedł tępy komunistyczny kacyk, czyli Ryszard Łosiński.

Co robi Piotr Semka po 13 grudnia 1981 roku?

Niestety, pierwsze miesiące stanu wojennego stały się polem do popisu dla wielu konspiratorów, którzy naczytali się „Kamieni na szaniec" i chcieli wskrzeszać wyczytane tam wzorce. W tym czasie zrodziła się między innymi siatka ucznia ze starszej o rok klasy, nazwijmy go „kolegą R" od pierwszej litery nazwiska. To był chłopak z trzeciej B, który mieszkał niedaleko dworca w Gdańsku-Wrzeszczu. Początkowo zostałem zaszczycony zaproszeniem do wspólnego konspirowania, ale szybko zdałem sobie sprawę, że te spotkania to pożywka dla niezdrowych ambicji, a cała zabawa w „Szare Szeregi" może skończyć się szybko i boleśnie. Zresztą wówczas w innych liceach pojawiło się więcej takich grup zaczytanych w książkach o „Zośce" i „Parasolu", wzorujących się na „Szarych Szeregach" i Armii Krajowej. Oczywiście to były piękne wzorce, ale ci ludzie czerpali z nich nie to, co istotne. W głowie zamiast realnego działania mieli efektowny sztafaż przysiąg, haseł, szyfrów, skrytek kontaktowych, spotkań z łącznikami i tak dalej. „Po co ten cały folklor akowski? Akurat w naszych warunkach nie jest ani najważniejszy, ani potrzebny" – powiedziałem sobie w duchu, zrywając z „kolegą R".

A może skrytki, łącznicy, hasła to były konieczne środki ostrożności?

To była zabawa symbolami, a nie prawdziwe podziemie. W młodzieżowej konspiracji bardzo łatwo było przekroczyć granicę, za którą forma zaczynała dominować nad treścią. Ja od ludzi, dla których otoczka była istotniejsza niż skutek działania, wolałem się trzymać daleko.

A co stało się z „BIT-em" po wprowadzeniu stanu wojennego?

Któregoś dnia świeżo upieczony absolwent Topolówki Jarosław Kurski umówił się ze mną na spotkanie. „Piotr, nie o wszystkim mogę ci w tej chwili powiedzieć, ale nie zdziw się, jeśli w najbliższym czasie rozpocznę wydawanie drukowanej wersji »BIT-u«" – mówi do mnie. Zdębiałem. „Jarek, o czym ty gadasz?! Właśnie wymieniłeś nazwę gazetki, którą ja stworzyłem od zera". „Nie mogę cię wtajemniczyć w szczegóły, ale jestem pewien, że jeśli tylko zapadną pewne decyzje, to przeprowadzę z tobą ważną rozmowę". Cały Jarek – pomyślałem, uśmiechając się w duchu. Przesiąkł stylem konspirowania w ramach Ruchu Młodej Polski, gdzie uwielbiano tworzyć atmosferę różnych szczebli wtajemniczenia. Jeden jest wtajemniczony bardziej, a inni mniej. Od tych jego słów wypowiadanych przyciszonym głosem wątroba się wywracała (śmiech). Ale w porównaniu z poprzednimi zabawami w konspirację to było chociaż coś poważnego. Jarek miał dostęp do technik drukarskich Ruchu Młodej Polski i zajął się wydawaniem „Biuletynu Informacyjnego Topolówki" jako regularnej gazety. Pisanie tekstów należało do mnie i Jacka Kurskiego. Od tego momentu rozpoczęła się nasza trwała współpraca, w trakcie której polubiłem obu braci. Dzięki tamtym latom, mimo moich dzisiejszych ideowych różnic z Jarkiem, staramy się nie zapominać o tym, co było dobre. W początkowym okresie pomagali nam jeszcze Piotr Połoński i inni koledzy, którzy zajmowali się drukiem i kolportażem. Piotr Połoński był bardzo solidnym człowiekiem, nie partaczył roboty, nie stroił się w piórka Napoleona i tak jak my dokładał z własnej kieszeni do całego interesu. Na takich cichych bohaterach trzymała się ta licealna konspira.

Pierwszy tekst w drukowanym „Bicie" ukazał się 17 września 1982 roku. Od razu zdobył popularność wśród waszych kolegów i koleżanek?

Rozszedł się cały nakład. Na czym polegał ten sukces? Oprócz wiadomości ogólnych z Polski i ze świata podawaliśmy w „Bicie" informacje „insiderskie". Pisaliśmy o wydarzeniach wewnątrzszkolnych, o nauczycielach, uczniach i tak dalej. Ludzie wiedzieli, o kim czytają, i to było dla nich ciekawe.

Jak robiliście research?

Niekiedy w mało zaszczytny sposób. W tamtym czasie paliłem papierosy. Grono palaczy spotykało się przy murku w lasku nieopodal szkoły. Każdy opowiadał, co się dzieje u niego w klasie. Ja tego uważnie wysłuchiwałem, a potem pisałem...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

Dotychczas wydrukowaliśmy następujące fragmenty książki:

- **„Jak Semkowie Polskę wybrali"** – nr 16/2021
- **„Dziadek Jan i dziadek Józef"** – nr 17/2021
- **„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"** – nr 18/2021
- **„Niepokorna Topolówka"** – nr 19/2021
- **„Dramatyczny czas"** – nr 20/2021

eprasa.pl ec86032006

Przemysław Dmochowski w czasie pandemii nie zrezygnował z podróży

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, ADOBE STOCK (2)

Spragnieni podróży

Agnieszka Niewińska

Celebryci już zimą oblegali rajskie plaże Meksyku czy Zanzibaru. Ich śladem poszli przeciętni Kowalscy. Wiele wskazuje na to, że dla turystyki nie będzie to sezon stracony. 80 proc. Polaków chce w najbliższym czasie gdzieś wyjechać

Zbliża się lato, trzeba będzie gdzieś pojechać, podróże to moja pasja – wyznaje Przemysław Dmochowski z Łodzi. Wyjeżdża kilka razy do roku. – Pandemia zastała mnie na Kubie, którą uwielbiam. Pokazywałem ją grupie turystów z Polski. Kiedy dowiedziałem się, że Polska zamyka granice, wiedziałem, że Kuba za chwilę zrobi to samo, i dokładnie tak się stało – wspomina. – Trzeba było się jak najszybciej ewakuować. W tym biednym kraju z obostrzeniami nie byłoby żartów. Szukałem jakiejkolwiek możliwości powrotu do kraju. Zarejestrowałem się na „Lot do domu". Cudem udało mi się kupić bilet.

Trudności z powrotem do Polski nie zniechęciły go jednak do podróży w czasie pandemii. Od tamtej kubańskiej przygody zdążył już odwiedzić Egipt, portugalską Maderę czy grecki Zakinthos. – Wszędzie trzeba było zrobić test na COVID. W Egipcie koszty trzeba było pokryć samemu, ale już na Maderze testy po przylocie były bezpłatne, a w razie konieczności odbycia kwarantanny za hotel płaciło państwo. Owszem, testy na COVID nie należą do najprzyjemniejszych, ale chcąc podróżować, trzeba było je znieść. Podobnie jak obostrzenia w miejscach, które się odwiedza. Portugalczycy byli w tym względzie bardzo zasadniczy. Wszędzie trzeba było nosić maseczki. W restauracjach hotelowych, które mogły działać, można było je zdjąć jedynie przy stoliku. W Egipcie, choć też obowiązywały obostrzenia, było dużo luźniej z ich przestrzeganiem – wspomina Przemysław Dmochowski. Zdążył się już zaszczepić, więc liczy, że w najbliższych miesiącach będzie mógł podróżować już bez testowania.

ROZENEK W MEKSYKU, PAVLOVIĆ NA ZANZIBARZE

W biurach turystycznych większy ruch widać od miesiąca. – Już w kwietniu zwiększyła się liczba rezerwacji na zorganizowane wyjazdy. Znaczny wzrost nastąpił po majówce, kiedy otwarte zostały centra handlowe, bo wiele naszych salonów znajduje się właśnie w centrach handlowych. Oczywiście wyniki są dalekie od tych z 2019 r., który był rekordowy pod względem liczby korzystających ze zorganizowanego wypoczynku. Będziemy zadowoleni, jeśli w tym roku uda nam się osiągnąć 70 proc. liczby rezerwacji sprzed dwóch lat – mówi Maciej Szczechura z Rainbow Tours.

Chociaż wraz z pandemią wielu globtroterów zadowalało się lokalnymi wyjazdami do mało uczęszczanych miejsc lub podróżami palcem po mapie, to apetyt na podróżowanie rósł. Zimą podsycili go celebryci. Kiedy w grudniu politycy i lekarze apelowali, by powstrzymać się od świątecznych spotkań i sylwestrowych wyjazdów, znani w sieci publikowali zdjęcia z egzotycznych wakacji. Chwalili się plażowaniem, drinkami z parasolką, wypoczynkiem w cieniu palm. Dzielili się zdjęciami obrazującymi to, jaką ciekawość wzbudzają u dzieci z odwiedzanych przez nich egzotycznych miejsc. Celebrycka para Małgorzata Rozenek i Radosław Majdan bawili z rodziną w Meksyku, Julia Wieniawa znana z tego, że jest znana, na Zanzibarze – podobnie jak aktorka Barbara Kurdej-Szatan, jurorka „Tańca z gwiazdami" Ivona Pavlović, dziennikarka Joanna Racewicz. To właśnie Zanzibar wyrósł na zimowy podróżniczy hit.

Po celebrytach przyszedł czas na zwykłych Kowalskich, którzy w mediach społecznościowych też zaczęli się chwalić egzotycznymi wypadami. „Polacy na początku 2021 r. masowo zaczęli szukać ofert na zimowe wyjazdy. Liczba wyszukiwań ofert podróży do samego Zanzibaru wzrosła o 280 proc. w porównaniu ze styczniem 2020 r." – donosił branżowy serwis rynek-lotniczy.pl. Tylko przez pierwsze dwa miesiące 2021 r. na Zanzibarze wylądowało 9 tys. Polaków. Ten tanzań-

eprasa.pl ec86032006

ski archipelag miał tę przewagę, że do początków maja przyjmował turystów bez testów, można było tam zapomnieć o obostrzeniach.

Maciej Szczechura przyznaje, że od zimy popularnością cieszą się egzotyczne kierunki, na których nie były wymagane testy na COVID-19. – Zimą zaproponowaliśmy naszym klientom wyjazdy do Meksyku, na Dominikanę i w mniejszym zakresie na Zanzibar, który stał się przebojem zimowego sezonu. Chętnych na wyjazdy po roku pandemii nie brakowało. W poprzednich latach takie egzotyczne kierunki zamykaliśmy w połowie kwietnia, ale w tym roku wciąż cieszą się dużym zainteresowaniem. W każdym tygodniu do Meksyku i na Dominikanę wysyłamy dwa dreamlinery. Jeśli chodzi o rezerwacje wakacyjne, to jak dotąd największą popularnością cieszy się Grecja. Jest postrzegana jako kraj, który lepiej poradził sobie z pandemią niż np. Włochy czy Hiszpania, i w tej chwili od osób zaszczepionych nie wymaga testów na COVID w przeciwieństwie np. do Hiszpanii. Przy wyjeździe całą rodziną nawet tańszy od PCR test antygenowy to spory wydatek. Grecja zyskała też przewagę nad Turcją, z którą od lat konkuruje, jeśli chodzi o popularność wśród Polaków. Turystów niepokoją doniesienia o dużej liczbie zachorowań na COVID-19 w Turcji i na razie chętniej decydują się na inne kierunki.

POLACY NAJCHĘTNIEJSI DO PODRÓŻY

Instytut Badań Rynku Turystycznego TravelDATA w połowie maja opublikował analizę, z której wynika, że w tym sezonie nasza tolerancja dla epidemii jest dużo wyższa, więc turystyka wyjazdowa Polaków się odrodzi. „Gospodarstwa domowe nigdy jeszcze nie dysponowały tak znacznymi środkami finansowymi. W okresie ostatniego roku stan ich kont bankowych wzrósł o ok. 100 mld zł (ponad 12 proc.), do czego dochodzi jeszcze przyrost zasobów gotówkowych o ok. 70–80 mld zł. W takiej sytuacji usunięcie psychologicznej bariery obaw przed zakażeniem i utratą zdrowia podczas wakacyjnych wyjazdów powinno mieć fundamentalne znaczenie dla powrotu silnego popytu na zagraniczne wyjazdy wypoczynkowe" – czytamy w analizie.

– Polacy są tą nacją, która jest najbardziej zainteresowana wyjazdami i wypoczynkiem. Wskazują na to opublikowane niedawno badania European Travel Commission. Wynika z nich, że 79,2 proc. Polaków chce wybrać się w podróż w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Wyprzedziliśmy Włochów (63,7 proc.), Austriaków (56,6 proc.) i Niemców (56,3 proc.) – wskazuje dr Piotr Kociszewski, prodziekan Wydziału Turystyki i Rekreacji Szkoły Głównej Turystyki i Hotelarstwa Vistula. – Chęć podróżowania widzę też w mikroskali jako właściciel małego biura podróży oferującego wycieczki jednodniowe. Naszą ofertą bardzo zainteresowani są zwłaszcza seniorzy, którzy argumentują, że są już zaszczepieni i nie chcą dłużej siedzieć w domu.

Dlaczego po roku pandemii tak wielu z nas pożąda podróży, skrupulatnie oblicza, ile miesięcy minęło od ostatniego zagranicznego wypadku, a na portalach społecznościowych angażuje się w gry, w ramach których publikuje dawne wakacyjne zdjęcia i nominuje znajomych, by zrobili to samo? – Podróże są dzisiaj m.in. manifestacją statusu społecznego, wyrazem konsumpcjonizmu, sposobem na podniesienie samooceny, ale w tej szczególnej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w związku z pandemią, redukują lęk. Stwierdzenie, że człowiek podróżować musi, bo się udusi, byłoby w tym momencie najbardziej adekwatne – mówi dr Ireneusz Siudem, psycholog społeczny. – Mamy za sobą bardzo trudny rok. Nieustannie towarzyszyło nam poczucie lęku o zdrowie i życie własne, bliskich czy znajomych. Podbijany był on ciągłymi doniesieniami o nowych zachorowaniach, zgonach, trudnej sytuacji w szpitalach. Potrzebujemy psychicznej swobody i podróż temu służy. Pozwala na odreagowanie napięcia, jest sposobem na przypomnienie sobie czasów sprzed COVID, kiedy czuliśmy się bezpieczni, wolni – mówi psycholog społeczny. I dodaje, że wzmożona chęć wyjeżdżania nie jest wyrazem tego, że zobojętnieliśmy na doniesienia o nowych zachorowaniach czy zgonach. – Porównałbym to do jazdy luksusowym samochodem po wybojach. Siedząc w środku, czujemy się komfortowo, ale podwozie, resory ciężko na takich wybojach pracują. My w czasie pandemii, choć staramy się w miarę normalnie żyć, jesteśmy na granicy psychicznej wydolności. Nic więc dziwnego, że przy pierwszej nadarzającej się okazji chcemy ominąć wyboistą drogę.

OKAZJE PRZED SEZONEM

Doktor Piotr Kociszewski przewiduje, że w tym roku będziemy mieć do czynienia z różnymi rodzajami wakacyjnych wyjazdów. – Część turystów wybierze się być może na wakacje marzeń, bo pandemia pokazała im, że nie warto takich rzeczy odkładać. Inni zdecydują się na bliższe wyjazdy krajowe, w bezpieczniejszej formule. Z pewnością dużym zainteresowaniem będą się cieszyć kraje, które zrezygnują z testowania przyjezdnych. Decyzję taką niedawno podjęła m.in. Albania – bardzo popularna wśród Polaków ze względu na niskie ceny, ciepłe morze i ciekawą kulturę. Widać jednak, że turyści bardziej niż w poprzednich latach mogą korzystać z ofert wyspecjalizowanych podmiotów, poszukując wsparcia organizatora – informacji na temat sytuacji epidemiologicznej, obostrzeń, ale też specyficznych warunków pakietów ubezpieczeniowych w kontekście COVID. Zwracają uwagę także na elastyczność oferty, by w razie czego wyjazd móc przełożyć – mówi dr Kociszewski.

Maciej Szczechura z Rainbow Tours potwierdza, że turyści decydując się na wyjazd, mają sporo wątpliwości dotyczących sytuacji epidemiologicznej. – Nasi pracownicy odpowiadają na wiele pytań, znacznie wydłużyły się rozmowy na naszej infolinii – mówi. W sieci stale aktualizowane są też listy krajów, które wpuszczają bez testów wszystkich lub zaszczepionych i ozdrowieńców.

Czy po ponad roku pandemii ceny wyjazdów poszły w dół? Maciej Szczechura rozwiewa wątpliwości. – Na najatrakcyjniejsze propozycje mogą liczyć ci, którzy na wyjazd zdecydują się jeszcze przed sezonem – mówi. W sezonie na niskie ceny nie ma co liczyć, ale dla wielu globtroterów już sama możliwość ruszenia w świat jest bezcenna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Sny o imperium

Piotr Gociek

Koniec świata nastąpił. Zamiast Rosji pozostały tylko Moskowia i zatrute ziemie jałowe. Co nam to wróży? Nic dobrego – pisze Dmitry Glukhovsky

Ziemia, jak się wydaje, wciąż była okrągła, ale teraz nie wszyscy w to wierzyli, nie było też komu prowadzić sporów naukowych. Mapa geopolityczna zmniejszyła się i przybyło na niej białych plam" – tak przyszłość w powieści „Outpost" opisuje Dmitry Glukhovsky. Wydarzenia, które doprowadziły do katastrofy, nazywane są „Rozpadem". Dotknęły tego, co na ziemi i na niebie. „Czy to Księżyc oderwała od Ziemi jakaś potężna siła, czy przeciwnie – Ziemię odrzuciła cholera wie gdzie czyjaś niewidzialna ręka?".

Co wydarzyło się dokładnie – tego do końca się nie dowiemy. Wnioskujemy z krótkich napomknień: były ataki bombami, była wojna domowa, były rebelie. Skończyło się tak, że na spustoszonej i zatrutej Ziemi żyć próbują niedobitki – i nie jest to łatwe życie. W słynnym mieście Jarosław na przykład, założonym tysiąc lat temu przez Jarosława Mądrego i liczącym na początku XXI w. ponad 600 tys. mieszkańców, wegetuje ich teraz nieco ponad setka. Prąd pozyskują z dynamek wprawianych w ruch pedałowaniem, jedzą to, co przyjdzie w transportach z Moskwy. Miejscowa gleba jest napromieniowana i daje radioaktywne plony. A za rzeką rozciąga się wroga, tajemnicza kraina, gdzie w tumanie trującej mgły kryją się niebezpieczeństwa nie do opisania.

Glukhovsky to specjalista od opowieści postapokaliptycznych, światową sławę zdobył dzięki powieści „Metro 2033" i jej kontynuacjom. Zamienił ją w dochodową franczyzę, bo także inni autorzy mogą pisać książki osadzone w tym uniwersum (czynili to również Polacy). Ma w dorobku trzy inne powieści („Czas zmierzchu", „FUTU.RE", „Tekst"), z których uwagi warte są dwie ostatnie. „Outpost", w odróżnieniu od „Metra 2033", oferuje mniej akcji, za to więcej rozważań religijno-politycznych i to już sprawia, że wart jest uwagi. Bardzo wiele opowieści tego gatunku traktuje koniec świata jedynie jako wymówkę do malowniczych rozwałek i dekapitacji (albo wzajemnego pożerania się, jak to bywa w historiach o zombi). Glukhovsky wraca do oryginalnego pojęcia apokalipsy – religijnych rozważań o dniach ostatnich.

KRES NADSZEDŁ NAPRAWDĘ

Mieszkańcy spustoszonego miasta Jarosław znajdują więc czas na zastanawianie się nad tym, co oznacza ten tragiczny splot wypadków, który dotknął ich oraz cały świat, modlą się, szukają objaśnień w tarocie i religijnych proroctwach. A kiedy do placówki dotrze tajemniczy duchowny – nie wiadomo, czy to mnich, ksiądz, czy po prostu jurodiwy, znaczy święty szaleniec – spijać będą z jego ust opowieści o tym, że Pan Bóg pozostawił już ten świat, więc kres nadszedł naprawdę, a złu nie ma jak się przeciwstawić.

Przybycie Daniiła do Jarosławia przynosi także inne pytania: Czemuż człowiek ów maszeruje pod chorągwią św. Cypriana? Dlaczego jest głuchy? W jaki sposób ocalał na przeklętych ziemiach, skoro kiedy tylko ktoś z placówki próbuje przejść przez most na drugą stronę Wołgi bez maski przeciwgazowej, natychmiast pada ofiarą toksycznych oparów? Czy można mu ufać, kiedy snuje opowieści o ocalałych klasztorach, o przyjmujących go ciepło niewielkich społecznościach, o tym, że życie się odradza? No i wreszcie – skoro na wrogim pustkowiu jest tak dobrze, to dlaczego tajemniczy duchowny za wszelką cenę chce maszerować w przeciwną stronę – ku Moskwie?

Tu docieramy do drugiej, bardzo interesującej warstwy powieści, i przechodzimy od religii do polityki. Moskwa ocalała,

eprasa.pl ec86032006

FOT. MARTA PEREZ / EFE / FORUM

a jakże! Jednak Rosji już nie ma, istnieje skarlały twór zwany przez jednych Moskowią, a przez urzędników ze stolicy Imperium Moskiewskim, którym rządzi, oczywiście, imperator. Nowy kraj zdążył już napisać po nowemu podręczniki historii, wedle których: „Wszystko kończy się dobrze: rozkwit, sprawiedliwość, wejście w nową erę. Czasów, w których nowa era poszła do piachu, podręcznik nie obejmuje. Trzeba wierzyć Pałkanowi [dowódca Placówki – przyp. P.G.], który mówi, że ludzie oszaleli, zdrajcy rozwalili kraj na kawałki, a stolica wykrwawiła się i nie jest już w stanie trzymać w garści rozpadających się ziem. Mówią, że Moskwa wytyczyła wtedy granicę na skażonej, zatrutej Wołdze, na tym brzegu postawiła Placówkę, a o tamtym zapomniała i zajęła się swoimi sprawami”.

Dla mieszkańców Jarosławia liczy się jedno: zostali „najbardziej wysuniętym punktem kolei prowadzącej na Syberię. Garnizonowi rozkazano ochraniać wschodnie przedpole Moskowii i garnizon – wierny przysiędze – strzeże mostu. Strzeże go przed buntownikami, koczownikami, a może przed dzikimi bestiami – teraz już nawet sam Pałkan nie jest pewny przed czym”.

Podwładni Pałkana wegetują więc na granicy imperium, szukając pocieszenia w złudzeniu, że na coś ich nędzna egzystencja jednak się przydaje, ale wszyscy wzdychają ku Moskwie, niczym postacie z „Trzech sióstr” Czechowa. A w Moskwie tymczasem, jak opowiada przybyły do Jarosławia setnik kozacki Krigow, „W końcu zaprowadziliśmy porządek, Sadowe Kolco ma już oświetlenie uliczne! Można spacerować, czy to w dzień, czy w nocy porządku pilnują całodobowe patrole, nasze, kozackie. […] W obrębie Bulwarów prawie wszędzie wstawili szyby. I teraz malują. Doprowadzili do porządku cerkwie, w każdej świątyni odprawiają nabożeństwa, wieczorami tak grają kuranty, że dusza śpiewa. Czysto! Zresztą, co tylko chcesz! W mieście działają restauracje, wieczorami są tańce. Rozkwita nam Moskwa!”.

Wypada więc ponowić pytanie postawione wcześniej à propos peregrynacji jurodiwego Daniiła – skoro tam tak dobrze, to czego szukają kozacy w Jarosławiu? A przyjechał cały oddział byczków odżywionych, wyszkolonych, uzbrojonych po zęby. Krigow więc objaśnia: „Nasze zadanie ma nadzwyczajną wagę. Po raz pierwszy po Rozpadzie imperium zgromadziło dość sił, żeby odbić z rąk rebeliantów zabrane przez nich ziemie. Nasze odwieczne ziemie!”.

★★★★☆☆
DMITRY GLUKHOVSKY „OUTPOST” WYDAWNICTWO INSIGNIS 2021

NAJLEPSZA POWIEŚĆ GLUKHOVSKY’EGO?

Kłania się więc Glukhovsky klasyce apokaliptycznej literatury, w której taka figura występuje często: ludzkość cudem ocalała z zagłady zamiast wyciągnąć wnioski, szybko zapomina o tym, co doprowadziło do tragedii, i dawaj, zabiera się chwacko do popełniania na nowo starych błędów. Najdobitniej pokazał to Walter Miller Jr. w słynnej „Kantyczce dla Leibovitza”, w której Pan Bóg dawał jednak ludzkości drugą (a może i trzecią) szansę. Co do stopnia interwencji (i obecności) Boga w świecie Placówki zdania są, jak wcześniej zaznaczyłem, podzielone.

Ruszają więc dziarscy kozacy dalej, we wrogą mgłę, a co z tego wyniknie i kto będzie na nich czekał, tego nie zdradzę, by nie psuć przyjemności lektury. Dodam jedynie, że „Outpost” okaże się książką jadowicie antyimperialną, zwłaszcza kiedy czytelnik ujrzy na koniec pełny obraz zachodzącej na spustoszonych ziemiach tragedii, a także odkryje, jak naprawdę przebiegały wydarzenia prowadzące do apokaliptycznego Rozpadu.

„Placówka” to chyba literacko najlepsza powieść Glukhovsky’ego, co nie znaczy, że doskonała. Próbował w niej połączyć wywiedziony z klasyki literatury rosyjskiej dialog o ludzkiej duszy z przygodową fabułą, której oczekują współcześni pożeracze literatury postapo. Obydwa zadania udały się połowicznie, rozważania specjalnie oryginalne nie są, natomiast fabuła zdaje się wątła. Autor „Metra 2033” wciąż jednak ma w piórze dynamit, gdy przychodzi do opisów scen makabrycznych, i mamy tu kilka fragmentów, które naprawdę jeżą włos na głowie, jakbyśmy czytali najlepsze kawałki Stephena Kinga albo ostrzejszego i krwawszego od niego Clive’a Barkera.

Nie ma natomiast wątpliwości co do przesłania książki: źle się bawią ci, którym marzą się nowe imperium, jednoczenie ziem utraconych, ekspedycje militarne w imię najmiłościwiej panującego imperatora i tak dalej. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Zakpiłbym, że to przebudzenie polityczne Glukhovsky’ego, który przecież pracował ładnych kilka lat jako reporter telewizji Russia Today i świat zwiedzał w roli akredytowanego przy Kremlu dziennikarza, zatem przykładał rękę do mało zbożnego dzieła, jakim jest całodobowa propaganda śniącego o imperium Władimira Putina.

Kpił jednak nie będę, bo pamiętam zbiór opowiadań „Witajcie w Rosji”, który w Polsce ukazał się w roku 2014. Glukhovsky bezlitośnie szydził tam ze wszystkich wad putinowskiej Rosji, przebudzenia musiał więc doznać już jakiś czas temu. Na okładce „Witajcie w Rosji” widniała sowiecka czerwona gwiazda wpisana w imperialnego rosyjskiego orła. W moim egzemplarzu Glukhovsky oprócz podpisu i dedykacji sporządził także obrazek: narysował na gwieździe serce przeszyte strzałą. Mógłby więc pewnie Glukhovsky smutno powtórzyć za Zbigniewem Herbertem: „Na taką miłość nas skazali, taką przebodli nas ojczyzną”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

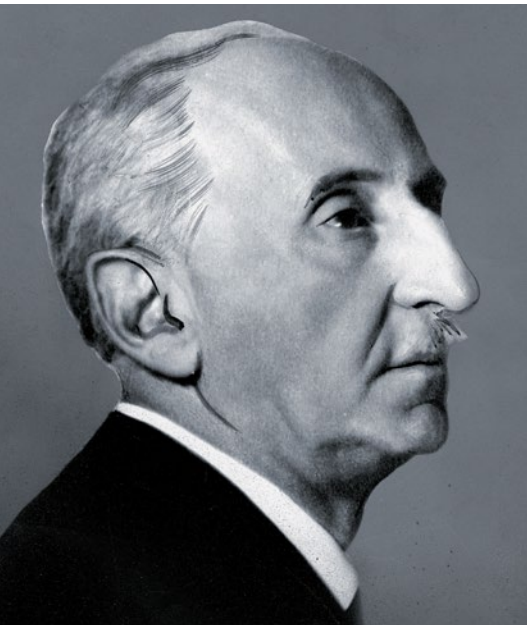

FOT. NAC

Z Piotrem Łopuszańskim, pisarzem i publicystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Poeta miłości

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Zmianę wyznania wymógł na Bolesławie Leśmianie jego ojciec?

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI: Gdy w roku 2000 – w pierwszej biografii poety – ogłosiłem jego akt chrztu, zamieściłem obok fotografie dokumentów konwersji jego ojca Józefa Lesmana i brata Kazimierza. Bolesław miał w 1887 r. 10 lat, a brat nieco ponad dziewięć. Byli więc na tyle duzi, by świadomie przyjąć chrzest. Ich matka, Emma z Sunderlandów Lesmanowa, pozostała przy religii przodków, wyznaniu mojżeszowym. Zresztą zmarła kilka miesięcy później. W swojej najnowszej książce, „Bywalec zieleni", cytuję nekrolog, z którego wynika, że do śmierci mieszkała razem z dziećmi w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 8. Jej mąż, stołeczny księgarz, rozstał się z nią i wyjechał do Kijowa, gdzie objął intratną posadę w kolejnictwie. Niebawem sprowadził do siebie synów.

Leśmian publicysta, dyrektor i reżyser – to brzmi zaskakująco...

Na ogół myślimy o nim jako o poecie. Tymczasem był zarówno recenzentem (często surowym, co zobaczymy w omówieniu zbioru opowiadań Zofii Nałkowskiej), jak i publicystą oraz eseistą. Bardzo interesujące są jego szkice o literaturze, o koncepcji estetycznej (poezja miała być oparta na rytmie), o sztuce teatralnej, o ludziach renesansu, przemyślenia o człowieku przeciętnym. W swych poglądach wyprzedzał José Ortegę y Gasseta, autora „Buntu mas".

W 1911 r. Leśmian założył w Warszawie Teatr Artystyczny. Kierował nim i reżyserował wystawiane w nim sztuki, starając się upowszechnić idee teatru stylizowanego (wysnute z koncepcji Edwarda Gordona Craiga). W 1916 r. został – na jeden sezon – dyrektorem artystycznym teatru w Łodzi. Rzeczywistość zmusiła go do zmiany repertuaru. Ogłoszenie powstania Królestwa Polskiego sprawiło, że wystawił spektakle patriotyczne i antyrosyjskie, wcześniej zakazane.

Jego powieści i sztuki się nie zachowały?

Nie pisał powieści! Pracował nad jedną w młodości. Nosiła tytuł „Pani atamanowa". Uznał jednak, że jest to „poroniątko". Jednak przed pierwszą wojną światową popełnił – na zamówienie Jakuba Mortkowicza – kilka nowel. Wydawcy się nie spodobały, toteż do ich edycji za życia autora nie doszło. Ukazały się dopiero w Londynie w 1956 r. jako „Klechdy polskie" – tytuł nie pochodzi od poety.

Leśmian napisał też farsę „Bajka o złotym grzebyku". Odrzucona przez dyrekcję jednego z teatrów w 1913 r., zachowała się jedynie we fragmencie (III akt). Wynika z niego, że była zabawna, i szkoda, że nie znamy całości. Poeta stworzył też dramat – w języku rosyjskim! – pt. „Wasilij Busłajew." Miał być wystawiony w Moskwie. Tekstu nie odnaleziono do dziś.

Ledwie trzy tomy poetyckie (pośmiertnego nie liczę) to niewiele jak na ponad cztery dekady działalności literackiej...

Leśmian bardzo surowo oceniał twórczość. Nie tylko własną (krytycznie odnosił się do niektórych wierszy Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego). Z juweniliów zaakceptował jedynie te pochodzące z lat współpracy z periodykiem „Chimera". Wcześniejsze pozostały w czasopismach i rękopisach. Ponadto lubił „pakowne" tomy, liczące po 200 stron, toteż musiało upłynąć sporo czasu, żeby ukazał się nowy zbiór. Planował jednak dwa, które się nie ukazały: w 1922 r. zapowiadano „Wieczność i purpurę", a w 1934 r. sam Leśmian anonsował, że jest gotowa „Dziejba leśna". Tom pod tym tytułem ukazał się w 1938 r., po śmierci poety, lecz nie zawiera np. poematu „Magdaleniec", o którym autor wspominał w wywiadzie dla tygodnika „Pion". W ciągu 42 lat pracy twórczej ewoluował. Można wyróżnić kilka okresów w jego poezji: postromantyczny w latach 90. XIX stulecia, symbolistyczno-parnasistowski z „Sadu rozstajnego", dojrzały (witalistyczny, bergsonowsko-nietzscheański z „Łąki") i późny, w latach 30., gdzie przeważa tematyka eschatologiczna. Co ciekawe, poloniści traktują Leśmiana jak poetę, który się nie zmienia. Nie napisano do dziś analizy wierszy poety z lat młodzieńczych, w których nie znajdziemy neologizmów, ludowości ani pojęć filozoficznych.

Rozsadzał go temperament?

Leśmiana można nazwać cholerykiem. Był nieśmiały, unikał obcego towarzystwa. „Zapalał" się, gdy mówił o poezji. Czasami dawał się unieść emocjom. W młodości na demonstracji studentów uderzył woźnego (zapewne szpicla ochrany). Po awanturze z Mortkowiczem Leśmian wymierzył mu policzek. Również narzeczonego córki, Alfreda Łaszowskiego – który zachował się mało elegancko – spoliczkował i wyrzucił z domu.

Hazardzista i smakosz. Użycie tych sformułowań wobec autora „Łąki" jest uprawnione?

Jak najbardziej. Był hazardzistą. W jednym z listów pisał, że w Monte Carlo przegrał 1 tys. franków. Ówczesnych! A jego córka Wanda wspominała, jak tuż przed powrotem do Polski przepuścił sporą kwotę i nie wracał z kasyna całą noc, czując się winny. Żona i córki niepokoiły się, że coś mu się stało…

Chociaż drobnej postury, lubił dobrze i dużo zjeść. Potem chorował na żołądek. W poselstwie radzieckim w Warszawie

eprasa.pl ec86032006

rzucił się na kawior, o czym wspominał Włodzimierz Słobodnik.

Małżeństwo z malarką Celiną Sunderland nie wchodziło w grę z uwagi na zbyt bliskie pokrewieństwo?

Celina, a raczej Czesława Cyprianna, była córką Seweryna Sunderlanda, wuja poety (brata matki, Emmy z Sunderlandów) i Gustawy z Lesmanów Sunderlandowej (siostry ojca poety, Józefa Lesmana). Tak więc po obu rodzicach Celina była spokrewniona z Leśmianem. Podobno łączył ich romans. Nie chciała wyjść za mąż. Towarzyszyła poecie zarówno w Iłży, jak i Warszawie, a potem w Paryżu, Cannes i Łodzi. To ona przedstawiła Leśmiana Zofii Chylińskiej, późniejszej żonie. Dzięki Celinie poeta poznał też Teodorę Lebenthal.

Małżonka gojka nie zyskała akceptacji rodziny pisarza?

Uważam termin „gojka" za niewłaściwy, bo wywodzi się z tradycji Żydów ortodoksyjnych. Sunderlandowie byli już zasymilowani. Wielu z nich przeszło na chrześcijaństwo (albo w wersji katolickiej, albo ewangelickiej). Nie darzyli Zofii Lesmanowej sympatią, chociaż znajomi wspominali ją jako osobę miłą. Wedle córki była podobna do słynnej Cléo de Mérode, tancerki paryskiej. Niechęć do Zofii nie wynikała z jej charakteru. Czy więc Sunderlandowie nie lubili jej dlatego, że była Polką i nie wywodziła się z rodziny żydowskiej? Nie wiem. W każdym razie nie przyjmowali jej ani w swoim domu w Iłży, ani w mieszkaniu warszawskim.

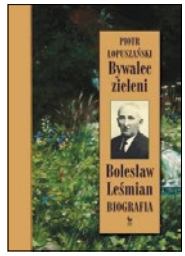

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI „BYWALEC ZIELENI. BOLESŁAW LEŚMIAN. BIOGRAFIA" ISKRY 2021

Doktor Lebenthal wystarczała rola metresy?

Niestety, nie znamy jej listów do Leśmiana. Zachowały się tylko trzy pisane do niej przez poetę oraz jego erotyki (zwłaszcza sławetny cykl „W malinowym chruśniaku" nawiązuje do początków miłości do Dory). Poznał ją w roku 1917. Spotykali się przez 20 lat, aż do śmierci twórcy „Przygód Sindbada Żeglarza". Zapewne ten związek miał wzloty i upadki, lecz trwał. Leśmian nie chciał się rozstać z żoną. Gdy Zofia dowiedziała się o romansie męża z Dorą, zażądała rozwodu. Poeta ubłagał ją, by go nie zostawiała. W jednym z wierszy napisał: „dwie naraz kocha dziewczyny".

Afekt do Marii Krzetuskiej pozostał platoniczny?

Ta raczkująca w połowie międzywojnia pisarka zwróciła się do Leśmiana o poradę literacką. Przesłała mu nawet do oceny powieść „Nic nie wiemy o sobie" (którą sugerował przerobić, a nawet napisać ją na nowo). W jednym z listów niedwuznacznie proponował autorce romans. Adresatka pozostała niewrażliwa na te awanse i zwracała się do Leśmiana „zacny panie rejencie". Z jego marzeń o nowym uczuciu nic nie wyszło. Był poetą miłości i poszukiwał nowych inspiracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Łopuszański – pisarz, publicysta, varsavianista. Autor książek z cyklu „Warszawa literacka", biografii Gustawa Holoubka oraz Zbigniewa Nienackiego. Od 35 lat bada życie i spuściznę literacką Bolesława Leśmiana, któremu poświęcił cztery książki i liczne artykuły.

REKLAMA

esprit

Poznaj historię
siostry Matyldy Getter,
cichej bohaterki czasów zagłady!

Jak przedstawić ludzi, dla których ratowanie setek istnień było czymś naturalnym, oczywistym? Jak opisać fenomen cichego heroizmu, który nigdy nie szukał poklasku? Odpowiedź daje Alina Petrowa-Wasilewicz, składając z pięknych świadectw portret siostry Matyldy Getter.

PIOTR LEGUTKO,
redaktor naczelny TVP Historia

Z hasłem DORZECZY odbierz dodatkowe 5% rabatu*

-40%

~~44,90 zł~~ → 26,90 zł

Zamów już dziś!

12 264 37 09, 12 395 70 72 (poniedziałek–piątek 8:00–16:30)
Przez internet: www.esprit.com.pl.
* Kod ważny do 30 czerwca.

eprasa.pl ec86032006

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

vod.pl

W imię wnuka

★★★★☆

REŻ. THOMAS BEZUCHA
„PRAWO KRWI" („LET HIM GO")
USA 2020

wyst. Diane Lane, Kevin Costner

Amerykańska sielanka urywa się, gdy emerytowane małżeństwo z prowincji traci w tragicznym wypadku jedynego syna. Z ich życia znika także ukochany mały wnuczek: była synowa wyprowadza się z nowym mężem do innego miasta. Szybko jednak okazuje się, że mogła wpakować się w poważne kłopoty. Jej mąż ma skłonność do przemocy, dzieciak nie może czuć się przy nim bezpieczny, a w tle pojawia się także niezbyt miła nowa rodzina.

Dziadkowie biorą sprawy we własne ręce niczym w klasycznym thrillerze zemsty. I tu dochodzimy do najjaśniejszego punktu filmu Thomasa Bezuchy. W rolach głównych błyszczą bowiem Diane Lane i Kevin Costner jako pogrążone w żałobie małżeństwo (kiedyś byli już ekranową parą, a dokładnie przybranymi rodzicami Supermana, w filmie Zacka Snydera „Człowiek ze stali", 2013).

Oparty na powieści Larry'ego Watsona film nie jest jednak rutynową robotą, w której chodzi tylko o to, by podstarzały twardziel wymierzył sprawiedliwość (filmowy Costner jest tu byłym szeryfem). To jego ekranowa żona jest siłą napędową niebezpiecznej wyprawy, to ona ostatecznie okaże się najważniejszą figurą. A po drugiej stronie sporu znajdzie się równie silna kobieta, głowa rodu Weboyów – w tej roli z kolei znakomicie wypada brytyjska aktorka Lesley Manville, znana z wielu filmów Mike'a Leigh.

Za sprawą tych dwóch postaci „Prawo krwi" opuszcza znane do znudzenia terytorium zwykłego kryminału czy też w miarę współczesnego westernu (akcja toczy się w roku 1961) i zamienia się w pojedynek pań. Dzieje się też rzecz ważniejsza. Nie bez powodu w oryginale ten film nosi tytuł „Let Him Go". Opowieść Bezuchy jest bowiem także historią żałoby, godzenia się ze stratą, zrzucania z siebie nieznośnego ciężaru rozpaczy. Pod sam koniec wszystkie te warstwy nieco przestają do siebie pasować, ale to i tak ciekawe kino niesione mocnymi kreacjami aktorskimi. Diane Lane jest jednocześnie krucha i budząca współczucie oraz silna i zdeterminowana. Kevin Costner wciąż ma charyzmę, o której jego młodsi konkurenci mogą tylko marzyć. Tym milej było znów go zobaczyć. ©℗

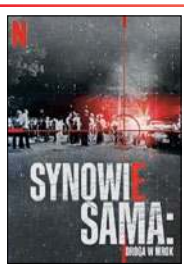

NOWE SERIALE: „SYNOWIE SAMA"

Intrygująca czteroodcinkowa seria dokumentalna true crime. Jej główny bohater, Maury Terry, autor książki „The Ultimate Evil", przez wiele lat badał sprawę zabójstw dokonanych przez Davida Berkovitza (seryjnego mordercę posługującego się pseudonimem Syn Sama). Terry uważał – w odróżnieniu od policji – że Berkovitz nie działał sam i że wspólników szukać należy wśród satanistycznej grupy. Zebrał sporo cennych informacji i poszlak rzucających na sprawę nowe światło. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Joshua Zeman „Synowie Sama: Droga w mrok" („Sons of Sam: A Descent into Darkness"), USA 2021, dokumentalny***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Andrew Ahn* ***„Podjazdy" („Driveways")****, USA 2019* CINEMAX 2
- *reż. John Swab* ***„Straceńcy" („Body Brokers")****, USA 2021* CINEMAN
- *sezon 4* ***„Terapia" („In Treatment")****, USA 2021* HBO GO

eprasa.pl ec86032006

Zew rewolucji

KINO

Czy to możliwe, by Jack London, ulubiony autor Nikodema Dyzmy, twardziel i romantyk, stoczył się do poziomu nudziarza, nieuchronnie skazanego na zapomnienie? Do takiego ponurego wniosku można dojść, oglądając nową ekranizację „Martina Edena". Fabułę przeniesiono z Oakland do Neapolu, lecz reszta na pierwszy rzut oka się zgadza: młody proletariusz, który postanawia zostać pisarzem, smali cholewki do dziewczyny z dobrego, burżujskiego domu. Motyw dojrzewania romantyka, choć zapewnił powieści poczytność i miejsce na półce z klasyką, wydał się jednak adaptatorom za mało ambitny. Im dłużej trwa seans, tym bardziej bohater zaczyna przypominać drogowskaz, który sam nie pójdzie w zalecanym przez siebie kierunku. Będąc piewcą indywidualizmu, najpierw uzna (niczym Cezary Baryka), że choć żaden z niego socjalista, to miejsce porządnego człowieka jest pod czerwonym sztandarem. Na koniec stanie się zaś własnym przeciwieństwem: karykaturalnym, zblazowanym inteligentem. Ambitny zamysł rozliczenia złudzeń XX w. najciekawszy efekt dał w warstwie wizualnej. Z ekranu aż krzyczy tęsknota za złotą i srebrną epoką włoskiego kina. Docenią to koneserzy, lecz dla szaraków obcowanie z „Martinem Edenem" może okazać się torturą zbliżoną do lektury dzieł jego guru – Herberta Spencera. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. PIETRO MARCELLO
„MARTIN EDEN"
WŁOCHY/ FRANCJA/NIEMCY 2019

wyst. Luca Marinelli, Jessica Cressy, Denise Sardisco

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SURVIVAL SURFERA

PLAYER vod.pl

Aidan sam w domu. Prawie, bo resztę bloku opanowały krwiożercze stworzenia, które jeszcze niedawno były ludźmi. Weganizm wychodzi z mody, rośnie natomiast popyt na świeże mięso. Życie w izolacji młodemu surferowi nie służy (a może stracił rozsądek już wcześniej, podczas wielokrotnych wizyt w salonach tatuażu?). Zaczyna myśleć i działać dopiero po 42 dniach, gdy skończą mu się alkohol, woda i bateria w laptopie. Twórców „Alone" nie zainspirowała, broń Boże, pandemia koronawirusa. Natchnienie czerpali z popularnych, lecz wtórnych aż do bólu filmów i seriali o zombiakach. Tuzinkowy z założenia produkt mogliby wywindować na wyższy poziom tylko aktorzy obdarzeni szóstym zmysłem. Tyler Posey do nich nie należy, zaś Donald Sutherland zbyt długo każe na siebie czekać. Morał: do odparcia nagłego ataku kanibali najlepiej przygotowani są Amerykanie. Oni wszyscy mają w szafach kije bejsbolowe.

★★☆☆☆☆

REŻ. JOHNNY MARTIN
„ALONE"
USA 2020

wyst. Tyler Posey, Summer Spiro, Donald Sutherland

PRAWDZIWA SZTUCZNOŚĆ

arte

Chińczycy uchodzą za speców od podróbek, ale nie oni pierwsi kopiowali cudzoziemską architekturę. W Jamusukro (Wybrzeże Kości Słoniowej) stoi replika rzymskiej bazyliki św. Piotra. Największe wrażenie robi jednak nie budowla, lecz nędzne otoczenie. Rektorem świątyni od 24 lat jest Polak, Stanisław Skuza, który broni jej prawa do istnienia. Wspierają go miejscowi. „Kiedy wznoszono pałac w Wersalu, we Francji ludzie też głodowali" – argumentuje czarnoskóry historyk. W Szanghaju wyrosło 10 „europejskich" osiedli. Dzielnica włoska wabi kampanilą, holenderska – wiatrakiem. Nowożeńcy chętnie pozują do zdjęć na tle bliźniaka Tower Bridge. To namiastka podróży poślubnej, na którą ich nie stać. Odkrywać świat przez kopiowanie? Lepsze to niż masowa turystyka. Ozdobą Tianduchengu, czyli Miasta Nieba, są pomniejszona wieża Eiffla i Pola Elizejskie. Tubylcy nie czują się jednak paryżanami. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. BENOIT FELICI
„KLONY SŁYNNYCH ZABYTKÓW"
FRANCJA 2018

GRA TYGODNIA: „MASS EFFECT: LEGENDARY EDITION" ★★★★★☆

Jedna z najwspanialszych opowieści w historii gier wideo powraca w odświeżonej oprawie. Zmiany widać i czuć zwłaszcza w części pierwszej („ME: LE" obejmuje trylogię i ponad 40 DLC), bo to z nią czas obszedł się najmniej delikatnie. Żaden z fanowskich modów nie poprawia grafiki w takim stopniu, jak czyni to oficjalny remaster, który dodatkowo usprawnia niektóre elementy dość archaicznego już dziś gameplayu jedynki. Remaster, w niektórych momentach idący w stronę remake'u, nie jest pozbawiony drobnych wad, ale otwiera świat komandora Sheparda przed kolejnym pokoleniem graczy. Zazdroszczę tym, którzy wylądują na Cytadeli po raz pierwszy! ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PC, XONE, XSX, PS4, PS5*
- ***Producent, dystrybutor:*** *BioWare, Electronic Arts Inc.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ec86032006

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ideał sięgnął bruku

Kto pamięta Szafarczyka?" – na pytanie to postawione przez Jarosława Marka Rymkiewicza w napisanym w 1982 r. wierszu „Emanuel Szafarczyk" nie potrafiłem odpowiedzieć, po raz pierwszy czytając ten niezwykły utwór z pamiętną frazą: „To jest twoja ojczyzna, innej mieć nie będziesz". Ja w każdym razie nie miałem kogo pamiętać, bo o Emanuelu Szafarczyku nie wiedziałem nic. Jak się wydaje, nie ja jeden.

Teraz temu nieznanemu czy też zapomnianemu, a na pewno przemilczanemu bohaterowi walk Polski o niepodległość, powieszonemu przez Moskali w 1865 r. na stokach Cytadeli, w ostatniej w Warszawie publicznej egzekucji uczestników powstania styczniowego, poświęca swą najnowszą powieść Wacław Holewiński. I oddaje cześć temu niezwykłemu człowiekowi, który wziął na siebie arcytrudną, niewdzięczną rolę egzekutora powstańczych wyroków wydanych na zdrajców, prowokatorów i kolaborantów z rosyjskim zaborcą, organizatora zamachów na szczególnie zajadłych w zwalczaniu polskości okupacyjnych urzędników.

Był naczelnikiem działającej przy Rządzie Narodowym Straży Zbrojnej – warszawskich żandarmów-sztyletników. Przygotowywał zamachy na Aleksandra Wielopolskiego i Fiodora Trepowa, wyznaczeni przez niego wykonawcy zasztyletowali m.in. wysokiego funkcjonariusza carskiej policji Tuhan-Baranowskiego, żurnalistę Aleksandra Miniszewskiego, niebezpiecznego szpiega Bertholda Hermaniego. Osobiście Szafarczyk nie zabijał; miał niesprawną rękę, był kaleką. Wszyscy, którzy go znali, zwracali jednak uwagę na niezwykły mir, jakim się cieszył wśród swoich podwładnych, których tak umiejętnie zorganizował, że jeden o drugim nic praktycznie nie wiedział, co miało kolosalne znaczenie w wypadku aresztowań. A te się zdarzały, w końcu ofiarą donosu padł i sam Emanuel Szafarczyk.

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

Przeszedł bardzo ciężkie śledztwo, w którym zachował godność, a swoich nadzorców potrafił zapędzić w kozi róg, oskarżając ich o współudział w zabójstwach ewidentnych wrogów powstańców. Sam miał ciekawy życiorys, pochodził ze Śląska, najprawdopodobniej był ewangelikiem. Dożył 30 lat, z dzisiejszego punktu widzenia tak niewielu, ale trzeba pamiętać, że ze sztyletami w ręku wysyłał do akcji nawet 16-latków. To było powstanie młodych, bardzo młodych ludzi – zazwyczaj niezamożnych, czeladników, robotników – którzy nie godzili się żyć w upodleniu i nie wahali się ryzykować własnego życia w imię wolności.

Działalność sztyletników nie była wcale powszechnie akceptowana. „Rosja traktowała ich tak jak dzisiaj Amerykanie Al-Kaidę – przeczytałem w jednym z artykułów im poświęconych. – Polacy nie pochwalali terroryzmu, ale popierali karanie zdrajców i oprawców". A zagranica? Stefan Kieniewicz w „Powstaniu styczniowym" pisał: „W oczach bourgeois z zachodniej Europy, skądinąd przychylnego Polsce, skrytobójstwa sztyletników i »wieszających żandarmów« były czymś gorszącym i haniebnym. Nie umiano sobie uświadomić w tamtych ustabilizowanych społeczeństwach, że walczące »podziemne« państwo nie może, tak jak państwo jawne, wymuszać posłuchu groźbą więzienia albo też gilotyny ustawionej na placu publicznym. Państwo podziemne mogło karcić błahe wykroczenia grzywną albo chłostą; potem zostawał już tylko sztylet albo stryczek". No właśnie, raz jeszcze przypomnę zdanie Rymkiewicza: „To jest twoja ojczyzna, innej mieć nie będziesz".

Wacław Holewiński swoją książkę o Szafarczyku i sztyletnikach wydaje w nieco innej już atmosferze społecznej, obejmującej także nasz stosunek do powstań narodowych. Choćby niedawny serial Bodo Koxa „Ludzie i bogowie" pokazał działalność polskiego podziemia w czasie okupacji hitlerowskiej poprzez opowieść o późnych wnukach, właśnie Szafarczyka, wykonawcach wyroków państwa podziemnego. I rzeczywiście, niektóre z tych wyroków nawiązywały wprost do wydarzeń z lat 60. XIX stulecia.

Sztyletnicy zasługują na uwiecznienie w podobnych dziełach kultury masowej. Także dlatego, że słynne wyrzucenie przez Kozaków na stołeczną ulicę fortepianu Chopina miało miejsce właśnie po, skądinąd nieudanym, zamachu na zastępcę namiestnika Królestwa Polskiego Fiodora Berga. To wtedy ideał sięgnął bruku… A w tym dokonanym przez sztyletników zamachu ważną rolę odegrali bracia Landowscy. Potomek jednego z nich, Paul Landowski, był autorem słynnego posągu Chrystusa w Rio de Janeiro. Wydało mi się to godne przypomnienia w kontekście książki „Krew na rękach moich". Książki potrzebnej i ważnej. ©℗

★★★★★☆

WACŁAW HOLEWIŃSKI „KREW NA RĘKACH MOICH" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2021

eprasa.pl ec86032006

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Tygrysy Europy

W dniach, gdy studiowałem dwujęzyczny „Atlas Wyszehradzki/ Visegrad Atlas", na łamach niemieckiego dziennika ekonomicznego „Handelsblatt" ukazał się akurat artykuł, w którym odnotowywano, że Polska stała się trzecim co do wielkości eksporterem towarów do Niemiec, a cała Grupa Wyszehradzka jest dla naszego zachodniego sąsiada ważniejszym partnerem niż Chiny czy USA. Szkoda, że tak rzadko mówi się w Berlinie o rzeczach oczywistych: Rosja eksportuje do Europy jedynie surowce i kłopoty. Jeśli chodzi o inne sprawy, „stara" Unia musi liczyć na efektywność i pracowitość Polaków, Czechów, Słowaków i Węgrów.

Publikacja przygotowana pod redakcją Przemysława Śleszyńskiego i Konrada Czapiewskiego pokazuje w liczbach, tabelach i mapach miejsce, w którym znajduje się właśnie Grupa V4. Oto wiedza na rozmaite tematy: od spraw tak oczywistych jak dane na temat struktury produkcji przemysłowej czy infrastruktury komunikacyjnej do takich nieoczekiwanych informacji jak analiza gęstości węzłów bitcoinów czy stopień „przepisania" wiedzy o krajach V4 do anglojęzycznej wersji Wikipedii.

To coś więcej niż zwykłe kompendium. Dzięki całościowemu spojrzeniu widzimy, kto w naszym regionie jest liderem i w jakich dziedzinach, gdzie leżą niewykorzystane szanse, na co zwrócić należy uwagę, inwestując we wspólny rozwój i wspólną przyszłość. Każdy, kto chciałby pomyślnej przyszłości dla naszej części Europy, powinien po „Atlas Wyszehradzki" sięgnąć. Jestem pewien, że wrogowie V4 przeczytają go na pewno, szukając wrażliwych miejsc, w które można uderzyć.

Trzeba nam więcej takich publikacji (cieszę się, że wielu z nich patronuje główna siła sprawcza atlasu, czyli Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka), bo kraje naszej części Europy wciąż cierpią z powodu niewłaściwego przebiegu szlaków wymiany wiedzy i… towarów. Przez dekady środkowoeuropejskie stolice skupiały się na relacjach z Berlinem, Paryżem czy Brukselą, zaniedbując sąsiadów. Takie były skutki uboczne wyścigu do zjednoczonej Europy. Dziś się to zmienia, dziś z petentów stajemy się partnerami, a dzięki współpracy możemy być i rozgrywającymi. Rekomenduję „Atlas Wyszehradzki" także szkołom i uniwersytetom. I proszę o kolejny, porównujący potencjał Grupy V4 z innymi sieciami współpracy w Europie: Beneluksem czy Skandynawią. ©℗

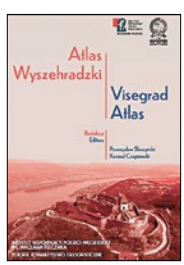

★★★★★★

PRACA ZBIOROWA „ATLAS WYSZEHRADZKI" INSTYTUT FELCZAKA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Historia tego, jak spędzamy swój czas" to dzieło naukowca, nie publicysty. Praca definiuje nas o wiele bardziej niż czas wolny. Jak więc wyglądać będzie ludzkość w erze robotyzacji? Wiele o historii, ale są i wnioski na przyszłość.

JAMES SUZMAN „PRACA" ZYSK I S-KA

Największy zamach w dziejach Tokio: atak gazem sarin w 1995 r. Popularny pisarz docieka przyczyn, analizuje zachowanie sprawców, ofiar i świadków. To nie opowieść o zbrodni, lecz o współczesnej Japonii.

HARUKI MURAKAMI „PODZIEMIE" WYDAWNICTWO CZARNE

Biografia polskiej noblistki autorstwa jej córki. Wydanie uzupełnione o omijane wcześniej fragmenty oraz listy uznawane dotąd za bezpowrotnie utracone w powstaniu warszawskim. Plus nowy wstęp i ciekawe fotografie.

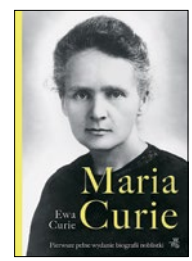

EWA CURIE „MARIA CURIE" W.A.B.

Zmiana warty: Lee Child idzie na emeryturę i nie będzie już pisał o Jacku Reacherze, teraz zastąpi go młodszy brat, Andrew. Powieść „Strażnik" napisali wspólnie, będzie to więc łącznik między tymi dwoma etapami. ©℗

poleca Piotr Gociek

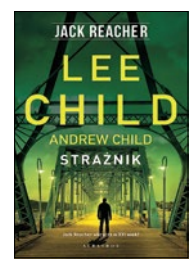

LEE CHILD, ANDREW CHILD „STRAŻNIK" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „OPOWIEŚĆ PODRĘCZNEJ"

Powieść graficzna kanadyjskiej (tak jak Atwood) artystki stanowi dość wierną adaptację słynnej książki wydanej w 1985 r. (polska edycja 1992 r.). „Opowieść podręcznej" w tej wersji może więc być wprowadzeniem do lektury powieści – czy broni się jako osobne dzieło sztuki? Mam wątpliwości, bo warstwa rysunkowa jest tylko poprawna. Jest w ogóle kłopot z przenoszeniem do innych mediów najgłośniejszego dokonania Atwood. Im bardziej ze szczegółami pokazana zostaje ta antyutopia w filmie, telewizji czy komiksie, tym mniej w niej magii i posępnego nastroju, którą niósł literacki oryginał. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

MARGARET ATWOOD, RENEÉ NAULT „OPOWIEŚĆ PODRĘCZNEJ" WYDAWNICTWO JAGUAR 2021

eprasa.pl ec86032006

Plastic w kosmosie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czwarty album popowo-elektronicznego duetu Plastic ukazał się po przeszło ośmiu latach od wydania poprzedniej płyty. „»Space« to album zainspirowany podróżami, w które zespół wyruszył, by być może po raz ostatni obejrzeć koncerty wielkich gasnących gwiazd muzyki" – pisze duet. Z podróży tych Plastic przywiózł muzyczne pocztówki, które wykorzystał na nowym albumie. Są więc odgłosy lotnisk, londyńskiego metra, dźwięki złapane na ulicy w Santa Monica i cykady nagrane ponoć w Minneapolis, nieopodal domu Prince'a. Na „Space" Plastic miesza style i gatunki, łącząc zgrabnie retro z nowym, elektronikę z dźwiękami żywych instrumentów, wśród których są otwierający album kwintet smyczkowy, instrumenty dęte, gitarowe riffy i analogowe instrumenty klawiszowe. „Nasza muzyka jest eklektyczna. Stąd być może trudność w jednoznacznym jej określeniu" – mówią o sobie.

Plastic powstał przed 18 laty, założony z inicjatywy Agnieszki Burcan, absolwentki Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej w sekcji kompozycji i aranżacji oraz wokalu Akademii Muzycznej w Katowicach, i Pawła Radziszewskiego, gitarzysty i basisty. Debiutancki album „Plastic" ukazał się w 2006 r., drugi – „P.O.P." – w 2009 r., a trzeci, „Living in the iWorld", w roku 2013. Płytą „Space" zespół powraca zatem po długiej przerwie i jest to powrót do korzeni – muzyki podbijającej klubowe parkiety. O jednym z singli – „Dream Dancing", który wykorzystano w filmie Jana Komasy „Sala samobójców. Hejter" – Plastic mówi: „Jest mostem do naszej przeszłości. Mógłby się znaleźć na poprzednich naszych płytach, na przykład tuż obok »I Want U«. To nawiązanie do muzyki tanecznej, która zainspirowała nas do założenia Plastic. Obecnie przeżywa ona prawdziwy renesans". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jak łobuziak z wieśniakiem

Czwarty album Warszawskiego Comba Tanecznego został zarejestrowany prawie rok temu z okazji 10-lecia istnienia kapeli. Jest pierwszym, na który lider, Jan Emil Młynarski, napisał dwa teksty i na którym WCT współpracuje z innym zespołem.

Na płycie „Skarałeś mnie Boże" doszło do wspaniałego, płynnego połączenia folkloru warszawskiego i muzyki wiejskiej. Ten drugi nurt reprezentuje Kapela Zdzisława Kwapińskiego. Wybrane przez liderów piosenki krążą wokół podobnych tematów: zakazanej miłości, zdrady, oszustwa… Urok tekstów polega na ich niewymuszonym dowcipie połączonym z życiowym cwaniactwem. „Jesce czytać nie umiała / W elementarz zaglądała / Nim się cytać nauczyła / To dwa razy matką była" („Gęsi za wodą"). „Tak z nią flirtował, aż przebrał miarę / Skradł jej całusa, ona mu zegarek" („Kuplet Warszawski").

Do drugiej z cytowanych piosenek Jan Emil dopisał ciąg dalszy i tak mu się spodobało, że stworzył hymn dzielnicy, w której mieszka – „Mokotowski oberek". „Melodia została znaleziona na szelakowej płycie marki Victor z lat 20., wydanej w USA jako nagranie polonijne" – dowiadujemy się z materiału prasowego.

Te wszystkie tanga, mazury, polki i oberki nie brzmiałyby tak fantastycznie, gdyby ta 12-osobowa, podwójna orkiestra nie składała się z tak doskonałych instrumentalistów kochających to, co grają. Już czekam na część drugą. ©℗

★★★★★☆

WARSZAWSKIE COMBO TANECZNE „SKARAŁEŚ MNIE BOŻE"
TOINEN MUSIC

★★★★☆☆

DRUGA FALA „NOWA GDYŃSKA SCENA ALTERNATYWNA"
MMG

Muzeum Miasta Gdyni wydało zapis koncertu w radiowej Trójce. Młodzi muzycy złożyli na nim hołd trójmiejskiej scenie alternatywnej sprzed 30 lat. Nowe wersje utworów Pancernych Rowerów, Bielizny, Apteki… brzmią fantastycznie. Jako bonus dostajemy cztery nagrania studyjne.

★★★★☆☆

TONY JOE WHITE „SMOKE FROM THE CHIMNEY"
EASY EYE SOUND

Zmarł w 2018 r. Był niepokornym artystą, który śpiewając w stylu luizjańskiego bluesa, opowiadał o świecie niepogodzonych z życiem. Dan Auerbach z Black Keys stworzył z nagrań demo rasowy album, na którym funkowy groove stanowi podstawę dla country-soulowej fuzji. ©℗

eprasa.pl ec86032006

„Negocjator", Teatr TV, dostępny na vod.tvp.pl; premiera: 10 lutego 2020 r.; scenariusz: Jan Parys, Jacek Suchecki; reżyseria, scenariusz telewizyjny: Jarosław Żamojda FOT. STANISŁAW LOBA/TVP SA

Zakonnik z walizką granatów

Grzegorz Kondrasiuk

„Negocjator" chciał być thrillerem politycznym, jednak do sensacyjnej fabuły doklejono rozmaite wtręty historyczne i streszczenia niektórych wątków filozoficznych myśli Józefa Bocheńskiego. W rezultacie powstał dziwny eksperyment

Teatr Telewizji w poszukiwaniu teatru dotykającego rzeczywistości, sięgając poza zużyty zestaw tematów, trafił na o. Józefa M. Bocheńskiego. Spektakl Jarosława Żamojdy „Negocjator" jest przypomnieniem tego fascynującego oryginała, ale też postaci wielkiego formatu: dominikanina filozofa, żołnierza walczącego w dwóch wojnach, a co najważniejsze – jednego z murarzy fundamentów myśli europejskiej XX w.

Biografia, nawet postaci największej, to zawsze tylko (czasami tylko i aż!) biografia. Książka czy scenariusz potrzebują zdarzenia, które historię czyjegoś życia uruchomią na nowo, poprzez które można je dzisiaj opowiedzieć. Barwne życie o. Bocheńskiego obfituje w takie historie, a jedna z nich stała się kanwą scenariusza (Jacek Suchecki, Jan Parys – co warto przypomnieć – autor znakomitego wywiadu rzeki z o. Józefem, „Między logiką a wiarą"). Oto w roku 1982 dominikanin Józef Maria Bocheński, wówczas profesor uniwersytetu we Fryburgu, pomagał szwajcarskim służbom specjalnym w uwolnieniu pracowników polskiej ambasady w Brnie. Ambasadę zajęło kilku uzbrojonych Polaków, twierdzących, że są bojówką organizacji o nazwie Powstańcza Armia Krajowa. Postawili żądanie… zniesienia stanu wojennego oraz azylu politycznego w Albanii. Dzisiaj brzmi to surrealistycznie, ale jest to historia tak nieprawdopodobna, że aż prawdziwa. Do dziś nie jest jasne, ile w aferze tej było elementów prowokacji, choć wiadomo, że szef samozwańczej Armii, niejaki Florian Kuszyk, to były agent SB. Atak na ambasadę, pomimo pozorów groźnego aktu terrorystycznego, bardzo szybko okazał się operacją nieudaczną i amatorską, choć zelektryzował nawet najwyższy szczebel rządowy w PRL. „Negocjator", korzystając z tej sensacyjnej anegdoty, chciałby być więc thrillerem politycznym. Jednak do sensacyjnej fabuły doklejono, co widać gołym okiem, rozmaite wtręty historyczne i streszczenia niektórych wątków filozoficznych myśli Józefa Bocheńskiego. W rezultacie powstał dziwny eksperyment, którego atutami są: mocna historia, kilka przejmujących scen, dobre aktorstwo, no i popularyzacja myśli tytułowej postaci, która jest stokroć mocniejsza od niskobudżetowych wojennych obrazków. Choćby ten, użyty w scenariuszu, krótki fragment wspomnień zakonnika z roku 1920, w którym mówi on o przedziwnym pięknie pejzażu pola bitwy – to proza wbijająca w ziemię, bliska najlepszym stronom Ernsta Jüngera, pokazująca, jak bardzo o. Innocenty Maria nie mieścił się w ramach.

W o. Bocheńskiego wcielił się świetny Sławomir Orzechowski. Leży na nim ta rola znakomicie. Gra zakonnika-żołnierza, o szalonej odwadze, nonszalancko palącego camele, szarżującego w rozmowach z porywaczami trzymającymi cywili pod bronią maszynową. To prosta, wiarygodna kreacja, można w nią bez problemu uwierzyć, pomimo doskwierającej, jak zawsze w Teatrze Telewizji, oszczędności scenograficznej i produkcyjnej. Orzechowskiemu dobrze partneruje Wojciech Solarz jako Florian Kuszyk, na potrzeby scenariusza postać sprowadzona do biedaczka zagubionego w żelaznych trybach historii. Zresztą cały spektakl nie ustrzegł się uproszczeń i schematów znanych z filmów sensacyjnych. Krótko mówiąc, każe nam się tu wierzyć, że o. Józef, niczym James Bond, samodzielnie przechytrzył i uzbrojonych terrorystów, i służby specjalne PRL, umożliwiając przy okazji służbom Europy Zachodniej dostęp do papierów ujawniających polską agenturę.

Spektakl „Negocjator" najlepszy jest więc wtedy, kiedy uwalnia się od zobowiązań trzymania widza w napięciu i pokazywania, „jak było". Rozśmieszają bon moty i prowokacje o. Józefa, który był niesłychanie dowcipnym człowiekiem. Ciekawe, na ile prawdziwa jest użyta w spektaklu anegdota o zakonniku trzymającym w celi, na wszelki wypadek, walizkę wypełnioną granatami i bronią ręczną? I czy zdarzało mu się celować z pistoletu do swojego lekarza, za jego plecami? Za serce chwytają sceny z umierającym Bocheńskim, który rozmawia już tylko, w halucynacjach, z Arystotelesem czy Platonem. Intryguje myśl filozoficzna, np. perory profesora logiki, a zarazem żołnierza, przeciwko pacyfizmowi. Tego wszystkiego nie zepsuje nawet pseudosensacyjne, wydumane zakończenie. Jednym słowem – spektakl niewolny od wad, warty polecenia, np. jako wstęp do lektury „Stu zabobonów" czy „Między logiką a wiarą". ©℗

eprasa.pl ec86032006

COVID-19 – ludzie mediów „mają krew na rękach”

Jerzy Karwelis

Każdego dnia, kiedy media, walcząc o zasięgi, straszą ludzi, przyczyniają się do tego, że ci nie chcą się leczyć. Media mają wielki udział w nadmiarowych niecovidowych zgonach

Pisząc swój „Dziennik zarazy”, często spotykam się ze stwierdzeniami, że gdyby nie media, to wielu ludzi nie wiedziałoby, że jest pandemia. Gdyby, zwłaszcza na początku tej przygody, wyrzucić telewizory i nie nosić na ulicach tych maseczek, jako widomego znaku zarazy, to może by się nikt nie zorientował. Teraz, głównie z powodu naszych błędnych reakcji na wirusa, mamy już jakieś doświadczenia. Wielu znajomych ostro zachorowało, niektórzy zmarli.

Ale media straszą od samego początku swego relacjonowania losów pandemii. Na początku to był szok, wszyscy podczas pierwszej kwarantanny się zamknęli w domach i wyglądali na świat tylko przez ekrany telewizorów i smartfonów. Wszyscy wierzyli w autorytety i poczynania władz, choć to wtedy kształtowały się zręby przyszłych problemów systemu zdrowia oraz mechanizmów eskalacyjnych narracji przekazu. Przez rok rozpoczynania codziennych relacji od podawania liczby zgonów i pokazywania kadrów ze szpitali zakaźnych widzowie byli poddawani potwornemu stresowi, który wynikał z podstawowych popędów, czyli strachu przed śmiercią i dążenia do przetrwania. Kadry z Wuhan były jeszcze egzotyczne, dla świadomości Europejczyków przełomowe było Bergamo. To wtedy koronawirus „na petardzie” wjechał do ludzkich umysłów i pozostał tam do dziś w zmutowanej formie. Nie chcę tu psychologizować, ale wolę przyjrzeć się mechanizmom, które prowadzą do medialnej eskalacji pandemii strachu. Tak – pandemii strachu, bo uważam czynnik medialny w tej pandemii za o wiele bardziej znaczący niż czynnik epidemiologiczny. Zaraz spróbuję wyjaśnić, dlaczego tak może być.

STRACH TO PIENIĄDZ

Skąd ta eskalacja w mediach? Są na to dwa wytłumaczenia. Jedno biznesowe, drugie ideologiczne. Zajmijmy się na razie tym pierwszym. To proste: wirus jest dla tej branży finansową manną z nieba. Po pierwsze, konsumpcja mediów skokowo się zwiększyła, odkąd ustały lub zminimalizowały się kontakty społeczne w covidowym realu. Podczas pierwszej kwarantanny wszyscy siedzieli i korzystali z mediów, bo to był jedyny peryskop na rzeczywistość. Ale jak to z peryskopem: widać przez niego tylko to, na co nakieruje ręka go trzymająca. A medialny peryskop, szczególnie od czasu rewolucji internetowej, dawno już nie jest trzymany ręką użytkownika. I media, ze swej istoty nastawione na zasięgi przemieniane na pieniądze, zobaczyły, że koronawirus to niekończąca się żyła złota. Dotąd była w tym względzie spora konkurencja, tematy się zmieniały i trzeba było ganiać z kamerą za materiałami na wyłączność. Tu była studnia ze złotem bez dna. Uniwersalnym kluczem do ludzkich umysłów stał się strach.

Temat został ustalony, ale zaczęła się konkurencja. Konkurencja pt. „Kto bardziej przestraszy wirusem”. Zestrachana widownia szukała w mediach busoli na niepewne czasy i dostawała rosnące porcje strachu. Czemu na to szła? Bo się bała o swoje zdrowie, a przekaz ją utwierdzał w przekonaniu, że jest powód do obaw. Media więc stawały się tym bardziej wiarygodne, im bardziej straszyły. Robiły to bowiem „w interesie” widza. Poza tym dochodziła do tego ludzka fascynacja strachem, którą odkryje w sobie każdy, kto przypomni sobie, jak płacił za oglądanie horrorów. W ramach mechanizmu konkurencji nakręciła się spirala już nie

eprasa.pl ec86032006

FOT. ADOBE STOCK

strachu, ale paniki. Media rywalizowały ze sobą, które bardziej rozszerzy temat wirusa. Notabene w przypadku Polski był to pierwszy przypadek jedności przekazu dwóch plemiennych telewizji. Nawet telewizja totalnie opozycyjna, która powinna przecież różnicować się od przekazu telewizji rządowej, atakuje rząd nie za covidową nieudolność, ale raczej za zbytnią liberalność, postulując jeszcze więcej lockdownów i „distancingu".

Spirala konkurencji zaczęła się nakręcać. Jako że coraz trudniej było znaleźć rewelacje covidowe, choćby dlatego, że system ochrony zdrowia wiedział o wirusie wciąż za mało, media przerzuciły się na kreowanie tematów okołopandemicznych. Koncepcje były różne: od wysypu nieznanych a nowych powikłań koronawirusowych (tu było wszystko: nerki, kłopoty z potencją, nerwica, egzema, no wszystko…) do mitologizowania pandemii do miana plagi, po której przyjdą następne, powodzie, na przemian z suszą, aż do powiązania koronawirusa z klimatem. Matka natura wysłała do nas patogen, by nas ukarać za niszczenie planety. Tu – jak widać – można zacząć różne wariacje i kontynuować je bez końca. Ale moim zdaniem, mimo tego planowanego płodozmianu, nie można widza straszyć codziennie tym samym przez rok. Człowiekowi to powszednieje. I ludzie coraz mniej się boją. Pod koniec 2020 r. badania wskazały na przykład średnio 30-procentowy spadek oglądalności telewizji informacyjnych. Ludziom się to po prostu przejadło. Pooglądają jakąś tam konferencję ministra, aby wiedzieć, czy jutro mogą wyjść z domu w zestawie maska-przyłbica albo przyłbica-rękawiczki, czy wciąż jeszcze mają trzymać swój biznes zamknięty i na co będą kolejne tarcze. Ale to w przerwie, bo teraz wolą sobie obejrzeć kanał przyrodniczy.

Została właściwie już tylko funkcja tożsamościowa mediów. Społeczeństwo podzieliło się na dwie dynamicznie zmieniające się grupy z „przepływami elektoratów". Tych, którzy bezgranicznie wierzą w oficjalną wersję pandemii, akceptują wszelkie decyzje władz i opinie ekspertów. Podstawą tej postawy jest strach, czasami ubierany, nie bez medialnej pomocy, w szaty odpowiedzialności za innych. Druga grupa to wątpiący. Ta grupa rośnie, bo na samym początku wszystkie diagnozy i decyzje władz były brane za dobrą monetę, ale w miarę rozjeżdżania się ich z logiką wielu przeszło na pozycje racjonalizmu krytycznego. Miało to swoje reperkusje medialne. Pierwsza grupa, wciąż utrzymująca podział na PO i PiS, oddała się mainstreamowym mediom, poszukując w nich już nie wieści o wirusie, ale… potwierdzenia słuszności swojej bezwarunkowej wiary w oficjalną wersję. Tak, mówimy tu o wierze, bo merytorycznych argumentów i tej strony, i dostarczanych tej stronie jest niewiele. Jest to stary mechanizm, że jak już człowiek raz zawierzy czemuś, to się tego trzyma na dobre, bo w zamian zostaje mu świadomość, że dał się wystrychnąć na dudka, a nie każdy to zniesie.

NADEJŚCIE HINDUSA

Druga strona – bardziej sceptyczna – jest wymazywana z oficjalnych przekazów, a więc umościła sobie gniazdo w Internecie. Stamtąd jest też przeganiana, bo treści covidowe, a ostatnio szczególnie szczepionkowe, są egzekwowane co do swej poprawności w sposób bezwzględny. Co jeszcze bardziej utwierdza sceptyków w ich wierze w spisek, bo dyskusje o COVID-19 eliminuje się z debaty publicznej.

Wiem, że to brzmi mocno teoretycznie i intuicyjnie, a więc pomocny być może jakiś przykład. Proszę bardzo – oto exemplum roli mediów w COVID-19. Różnica prawdy czasu i prawdy ekranu, ba – pokaz wpływu mediów na decyzje światowych instytucji odpowiedzialnych za zdrowie publiczne. Indie. Dla nas wszystkich (kolejny) kraj dotknięty śmiercionośnym wirusem. Kiedy my tu już obniżamy krzywą zachorowań, gdzieś na świecie koronawirus zbiera swoje żniwo. Mamy być czujni, o co dbają media, bo muszą znaleźć jakiś spektakularny temat koronawirusowy, gdy lokalne się wypalają, a widownia ziewa. Zatem Indie. Popatrzmy na statystyki. Jest to stara zabawa w a kuku: liczba–procencik. Jak chcemy epatować, a chcemy, jakimś krajem, to w małym weźmiemy procencik zakażeń (60 proc. zakażonych na Seszelach), a jak postraszyć dużym krajem – to weźmiemy liczby. I proszę: 400 tys. zakażeń dziennie w Indiach robi wrażenie, co dopiero mówić o 4 tys. zgonów. Robi wrażenie? No bo ma robić. Macherzy medialni nie powiedzą, że jeśli się podzieli te dane przez liczbę ludności, to wyjdzie, że w Indiach zakaziło się 15 725 osób na milion (w Polsce 74 618), zmarło zaś 171 osób na milion (w Polsce 1937). Ale to w mediach przecież płoną stosy trupów, a publika nie bardzo wie, że Hindusi się patrzą na nasze trumny zakopywane w ziemi z równie strachliwym niezrozumieniem jak my na ich zwyczajowe ciałopalenie.

No i prawda czasu sobie, a prawda ekranu sobie. Mamy pięć razy więcej zakażonych niż Indie i 10 razy więcej zgonów (co notabene wskazuje, że Hindusi dwa razy lepiej leczą z COVID). Ale to my boimy się nowego Hindusa, który przybył zaraz po Afrykańczyku z południa, ten zaś po wirusie brytyjskim. To, że płoną stosy w telewizorach podczas transmisji z Indii, to pikuś. Przy takich proporcjach to my powinniśmy być zamknięci, a nie Indie, a tu jest odwrotnie. Właśnie wyszło rozporządzenie, że podróżujący z Indii, RPA i Brazylii są objęci specjalną kwarantanną. Z Brazylii, która martwi się, na podstawie oczywiście własnych przekazów medialnych, że w Polsce… brakuje już trumien. I ta niekoherencja dwóch światów nikomu już nie przeszkadza. Wolimy uwierzyć w ten przekaz, który uzasadnia nasze strachy, bardziej niż w liczby, których media po pierwsze nie podają, po drugie – po które trzeba by się wybrać na wycieczkę ze swojej bańki medialnego dobrostanu, a takie wycieczki mogą się skończyć niemiło. Myślę, że powyższy opis więcej mówi niż moje wcześniejsze rozważania

eprasa.pl ec86032006

o medialnych mechanizmach i psychologii społecznej.

KSZTAŁTOWANIE NOWEGO CZŁOWIEKA

Ale obiecałem drugie, równoległe wyjaśnienie fenomenu pandemii medialnej. Ideologiczne. Uważam, że COVID był katalizatorem przyspieszającym eskalację procesów i wielkiej zmiany porządku świata, które tliły się pod powierzchnią zdarzeń i wyskoczyły w pandemii jak diabeł z pudełka. Jedną z tych zmian jest zmiana paradygmatu mediów. Przed COVID byliśmy świadkiem powolnej śmierci mitu o mediach internetowych, które miały zbawić świat. Mit był pociągający: teraz nie ma barier wejścia zarezerwowanych do tej pory dla wielkich korporacji medialnych. Każdy spryciula z komputerem podłączonym do Internetu, byleby miał co powiedzieć czy pokazać, mógłby zawojować medialny świat na wszystkich kontynentach.

Stało się odwrotnie: media społecznościowe zmonopolizowały się do zaledwie kilku, i to na poziomie światowym, wprowadzając do nisz wszelki organiczny ruch. Wykosiły konkurencję i, jak diler, zostały sam na sam z uzależnionym od nich medialnym narkomanem. A jak jest monopol na mieście, to jakość towaru spada, cena rośnie, a jedynemu dilerowi nie podskoczysz. Nawet nie można się zbuntować, bo bunt przeciwko takiemu Facebookowi trzeba by ogłosić na… Facebooku.

A media wyłączają te treści, które chcą. Najpierw zobaczmy mechanizm: gdy zobaczyłem, że Twitter odłączył urzędującego prezydenta USA, bo mu się jego treści nie podobały, pomyślałem, że to zemsta za to, że Trump wykorzystał media społecznościowe w swojej pierwszej udanej kampanii. Że się po prostu na nim odgrywają. Ale zobaczyłem, za co go wycinają, i ujrzałem tam konkretny profil polityczny. Media są bowiem w większości mediami liberalno-lewicowymi i taką treść przedstawiają. Dlaczego tak jest? Dlatego że media mają wychować dla swoich reklamodawców konsumenta idealnego, a konserwatysta się słabo do tego nadaje. Nie ma dla niego odpowiedniego przekazu, bo szukamy gości, którzy wyżej półki sklepowej nie patrzą. A konserwatysta ma inne, nie tylko konsumpcyjne cele. To wytłumaczenie biznesowe, ale i ściśle ideologiczne.

Niewielu już nie dostrzega, że jesteśmy u progu pocovidowej przemiany świata na inny model. Znajdujemy się w śmiertelnych kleszczach globalnego dealu lewicy z korporacjami, którego szpicą są różne światowe mniejszości: w USA Murzyni, we Francji imigranci, w innych krajach uniwersalny „proletariat zastępczy lewicy", czyli LGBT. Nowy świat wymagać będzie nowego człowieka, a tego mają ukształtować nowa kultura i nowa narracja medialna. Każdy, kto widział najnowsze kryteria dopuszczania filmów do Oscarów, widzi przepis na produkcyjniaka, gdzie dawnego kułaka zastępuje katofaszysta hetero, gnębionego kmiecia zaś – czarnoskóry lub niebinarny. To samo z Disneyem, który już maluje na czarno twarzyczki Królewien Śnieżek czy utęczawia relacje jelonka Bambi.

To samo z mediami. Trump jest dobrym przykładem. Ostatnio dyrektor CNN się wysypał, nagrywany podstępnie na fake'owej randce tinderowej, gdy chciał zaimponować poznanej sympatii, jak to wykończyli Trumpa, robiąc z niego głupca, gorzej – zawyżając dane o pandemii koronawirusa, aby pokazać, że prezydent nad niczym nie panuje i nie nadaje się na drugą kadencję. Najważniejszy pokaz wszechmocy mediów nastąpił 6 listopada 2020 r. Dwie telewizje przerwały transmisję przemówienia na żywo prezydenta USA, cała reszta zaś natychmiast powiedziała, że Trump kłamał, choć nikt nie miał dowodów na to, że jego tezy o sfałszowanych wyborach były kłamstwem. Oczywiście media wytłumaczyły się, że nie mogą dopuścić do okłamywania widzów, co jest formą cenzury, bo przecież same nie wiedzą, jak było, ale odcinają swoich widzów od debaty. Dla ich dobra rzecz jasna, bo widzowie nie mogą się przecież zainfekować inną prawdą, która dla mediów liberalno-lewicowych jest zawsze kłamstwem. Jest to ta sama troska, podły argument, który eliminuje z debaty publicznej dyskusję o sensowności strategii walki z wirusem – robimy to dla dobra widza, by uchronić go od szkodliwych miazmatów. Wywalimy Pospieszalskiego z programu, bo może przekonać widzów, ci zdejmą maseczki i zakażą śmiertelnie w windzie sąsiadkę staruszkę.

Nowy monopol medialny, niespotykany dotąd, choć dowcipnie zwany mediami społecznościowymi, ma ukształtować nowego człowieka. Zestrachanego, izolującego się od kontaktów, na łasce i niełasce konglomeratu państwowo-korporacyjnego. Zatomizowanego, odartego ze wspólnoty rodziny, zeświecczonego i odciętego od wartości wyższych niż biologiczne przetrwanie. To wszystko jest w mediach, te „wartości" są tam nachalnie promowane, a wszelka alternatywa ostro rugowana. Nowy człowiek to niewolnik doskonały, pozbawiony własności, ale żyjący w ułudzie swojej sprawczości. Będzie on swoje kajdany widział jako wysublimowane klejnoty, które ozdabiają jego niezwykłą, choć powtarzalną do bólu indywidualność.

Mechanizm konkurencji mediów był zawsze dla nich zbawienny, tak jak zabójczy jest dla nich monopol na prawdę. Stacje telewizyjne powinny rywalizować o prawo do transmisji przemówienia prezydenta, bo ta daje oglądalność, którą można zmonetyzować. A skoro nie chodzi o pieniądz, to znaczy, że chodzi o ideolo i… jeszcze większy pieniądz. Tym razem nieuzależniony, jak widać, od uwagi widza, ale od kasy wielkich korporacji, które reklamami wykupiły sobie abonament medialny luzujący przekaziory z niegdysiejszego pluralizmu i pokazywania widzowi różnych punktów widzenia.

Próbowałem tu opisać tylko mechanizmy, wycofując się z oceny społecznych skutków szaleństwa medialnego wzmożenia. Ale jednej rzeczy nie mogę tu podarować. Efektem ubocznym, ale właściwie bodaj czy nie najważniejszym, jest epidemiologiczny efekt pandemii strachu wywołanej przez media. Ludzie zaczęli się bać służby zdrowia. Ta i tak wstrzymała gros swoich procedur, co oznacza, że w 2020 r. nie odbyło się 1,3 mln szpitalnych procedur. Nie za cenę wypełnienia ich nagłymi procedurami covidowymi, bo tych było 130 tys. Czyli na 10 pustych łóżek przypadał jeden hospitalizowany covidowiec. To jedno. Ale dodajmy do tego ludzki strach człowieka, który jest codziennie bombardowany liczbami i kadrami ze szpitali, gdzie ludzie umierają pod respiratorami w towarzystwie kosmitów. Ci ludzie odwlekali do końca kontakt z lekarzem, okłamywali go co do objawów, zresztą służba zdrowia przywoziła już do szpitali tylko przypadki ostre, często już za późno. Ludzie mediów „mają krew na rękach". Każdego dnia, kiedy walczą o zasięgi, straszą ludzi, powodując to, że ci nie chcą się leczyć. Media mają wielki udział w tych 100 tys. nadmiarowych niecovidowych zgonów. I jeszcze jak widzę tych redaktorów, którzy po rocznych seansach strachu ronią krokodyle łzy hipokryzji nad głupotą ludzi, którzy boją się zadzwonić na pogotowie, to mi się otwiera nóż w kieszeni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor prowadzi blog „Dziennik zarazy".

eprasa.pl ec86032006

Strategia obronności!

Romuald Szeremietiew

Polska musi pokazywać potencjalnemu agresorowi, że jest krajem trudnym do podbicia i okupowania. Dlatego potrzebna jest obrona terytorialna, jako masowe przygotowanie obywateli do obrony kraju

Nie ma co dyskutować o odstraszaniu abstrakcyjnie, trzeba wiedzieć, kto odstrasza kogo, od czego, jakimi groźbami, w jakich okolicznościach.

Raymond Aron

Wśród wielu potrzeb, które musi realizować państwo polskie, niezwykle ważne jest zapewnienie bezpieczeństwa. Polacy cierpieli na deficyt bezpieczeństwa od końca XVIII w., gdy została rozebrana wielka Rzeczpospolita; odtąd, przez dwa wieki, z 20-letnią przerwą na II Rzeczpospolitą, byli w niewoli. Dopiero załamanie się komunizmu w końcu XX w. i powstanie suwerennej III Rzeczypospolitej zakończyło dziesięciolecia niewoli. Dziś, kiedy mamy w świecie napięcia, kiedy wybuchają kryzysy dotykające narody europejskie – na wschód od naszych granic jest agresywna Rosja, na zachód tendencje zagrażające cywilizacyjnym fundamentom, na których uformował się polski naród i jego państwowość – kwestia bezpieczeństwa Polski znowu staje w całej ostrości.

Polska upatruje gwarancje swego bezpieczeństwa w NATO, ale trzeba dostrzec, że musi ulec przemianie nasze zaangażowanie sojusznicze – misje zbrojne i ekspedycje w rejonach odległych od Polski odchodzą w przeszłość. Po utworzeniu flanki wschodniej NATO w przypadku Polski na czoło wysunęły się zdolności obrony w Europie Środkowo-Wschodniej. Istotną NATO-wską strefą działań stał się Bałtyk, a więc potrzebne są zdolności operacyjne na tym akwenie, nie zaś tylko na lądzie i w powietrzu. Ważna jest obecność sił NATO, w tym zwłaszcza wojsk USA, ale trzeba sobie uświadomić, że najważniejszym punktem na flance wschodniej sojuszu jest Polska i kluczową rolę odgrywają tu siły zbrojne RP. Nie można mieć wątpliwości, że potencjalny agresor, chcąc zrealizować swoje ofensywne zamiary, będzie starał się zneutralizować przede wszystkim polskie możliwości obronne. Wyeliminowanie Polski oznacza, że pozostałe państwa w regionie będzie mógł z łatwością zająć – wystarczy przypomnieć, jakie konsekwencje dla sąsiadów Polski miało rozbicie II Rzeczypospolitej przez armie Hitlera i Stalina w 1939 r.

Polska powinna być zwornikiem systemu bezpieczeństwa flanki wschodniej NATO. Aby mogła nim zostać, musi zbudować system obrony pokazujący potencjalnemu agresorowi, że jest krajem trudnym do podbicia i okupowania. Przy czym Rosja nie potrzebuje Polski, by wypróbować na niej swoje rakiety, ale może się jej domagać jako części swego władztwa imperialnego. Celem nie będzie bezmyślne zniszczenie, ale opanowanie Polski – na Kremlu nie zapomniano czasów, gdy istniał „warszawskij dogowor", a siły zbrojne PRL słuchały rozkazów sowieckich „marszałów". Rosji nie uda się powrócić do tej sytuacji, jeśli stworzymy system obrony, dzięki któremu Polska zostanie uznana za kraj trudny do zaatakowania.

NOWA STRATEGIA

Henry Kissinger, amerykański polityk i strateg, zauważył: „Jeśli nie wiesz, dokąd zmierzasz, każda droga zaprowadzi cię donikąd". Dokąd mamy iść w kwestiach obronności, mówią przyjmowane strategie. Wśród nich najważniejsza jest strategia bezpieczeństwa narodowego, uszczegółowiają ją strategie resortowe, m.in. strategia obronności, która zawiera przyjęty sposób obrony kraju.

12 maja 2020 r. prezydent RP zatwierdził nową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej (SBN). Tym samym straciła moc Strategia Bezpieczeństwa Narodowego przyjęta w 2014 r. Od dawna postulowałem, aby opracować nową strategię, gdyż poprzednia nie wskazywała rozwiązań zapewniających Polsce bezpieczeństwo. W styczniu 2014 r. można było np. przeczytać na stronie prezydenckiego BBN: „W dającej się przewidzieć perspektywie za stosunkowo mało prawdopodobne należy uznać, że dojdzie w naszym regionie do konfliktu zbrojnego na dużą skalę". Tak twierdzono dwa miesiące przed ujawnieniem się zagrożenia na Ukrainie!

Wreszcie więc nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego już jest! Czytamy we wstępie: „Strategia określa kompleksową wizję kształtowania bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej we wszystkich jego wymiarach. Uwzględnia aspekt podmiotowy (wymiar wewnętrzny bezpieczeństwa narodowego oraz środowisko międzynarodowe – stosunki bilateralne, współpracę regionalną, w skali globalnej oraz współpracę na forach organizacji międzynarodowych) oraz przedmiotowy (uwzględnia wszystkie wymiary funkcjonowania systemu bezpieczeństwa narodowego). Interesy narodowe oraz cele strategiczne w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego zostały sformułowane w zgodzie z wartościami narodowymi określonymi w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej".

Najważniejszym instrumentem państwa w kreowaniu bezpieczeństwa, głównym gwarantem suwerenności i trwałości państwa są siły zbrojne. Być może zwięzłość dokumentu (37 stron)

eprasa.pl ec86032006

sprawiła, że siłom zbrojnym poświęcono tylko dwie strony (filar I, rozdział 3, Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej). Tym bardziej jednak trzeba uważnie przejrzeć te dwie strony, gdyż nawet jedno zapisane tam słowo może być punktem wyjścia dla daleko idącego rozwinięcia, które może się przekształcić w konkrety militarne w strategii obronności, a jej – dodajmy – ciągle nie ma!

WIĘKSZE WYDATKI?

Wśród głównych zadań do zrealizowania w zakresie obronności autorzy SBN stawiają zwiększenie wydatków na obronę – w ciągu najbliższych czterech lat miałyby one wzrosnąć do poziomu 2,5 proc. PKB. To postulat od dawna zgłaszany przez kierownictwo MON, więc nie ma tu zaskoczenia, ale sytuacja się zmienia i muszą pojawiać się różne wątpliwości. Skoro nie mamy strategii obronności, to nie wiadomo, na co należy przeznaczyć ów rosnący procent PKB, aby uzyskać właściwy efekt obronny poprzez modernizację i przezbrojenie armii. Do tego przeżywamy okres kryzysu gospodarczego (pandemia), a więc następuje spadek wielkości PKB, wartości złotego, co oznacza, że mimo wzrostu procentowego środków budżetowych na obronę może ich być mniej, niż zakładano. Sprawę komplikują podjęte już decyzje zakupu bardzo drogiego uzbrojenia (rakiety Patriot, samoloty F-35) – oczywista realizacja tych zakupów może zdewastować plany modernizacyjne w innych obszarach obronności, kiedy zabraknie w nich pieniędzy.

Zastanawia punkt 3.8 rozdziału dotyczącego sił zbrojnych, który zapowiada „zdolności operacyjne Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej do precyzyjnego rażenia celów na dalekie odległości oraz obrony przeciwlotniczej i przeciwpancernej". O ile obrona przeciwlotnicza i przeciwpancerna jest sprawą bezdyskusyjną – tu sytuacja nie jest dobra, o tyle rażenie celów „na dalekie odległości" każe zastanowić się, czy nie jest realizacją programu „Polskie kły", ogłoszonego przez premiera Donalda Tuska w 2013 r. podczas wizyty w 32. Bazie Lotnictwa Taktycznego.

Rodzą się też pytania, jakie to mają być cele, gdzie położone, jak i czym będzie się je niszczyć. Wiele razy wskazywałem, że tworzenie quasi-mocarstwowych koncepcji odstraszania agresora możliwością zadania uderzeń rakietami z głowicami konwencjonalnymi nie ma istotnej wartości odstraszającej – agresor będzie miał przecież rakiet i możliwości uderzeń odwetowych bez wątpienia dużo więcej. Do tego nasze rakietowe „potrząsanie szabelką" może go sprowokować do uderzenia prewencyjnego, zlikwidowania naszych zdolności ofensywnych i pozbawienia Polski możliwości spełnienia groźby. Koncepcje „znawców", aby nie przygotowywać własnego terytorium do obrony, gdyż wojnę należy toczyć na terytorium wroga, i przytaczane przez nich powiedzenie gen. Pattona: „Celem wojny nie jest śmierć za ojczyznę, ale sprawienie, aby tamci skur...le umierali za swoją" są nieporozumieniem. Polska nie jest mocarstwem i nie ma sił, aby atakować dużo silniejszego wroga na jego terytorium, nie umożliwi też tego ewentualne wsparcie NATO. Musimy przyjąć defensywny wariant obronny i inny sposób zniechęcania/odstraszania agresora.

JAKA OBRONA TERYTORIALNA?

Uważam, że tylko przygotowana powszechna obrona posiadająca zdolności oporu asymetrycznego będzie przekonująco wykazywała agresorowi, że nie odniesie on zwycięstwa – w Moskwie już wiedzą, że konfliktu asymetrycznego wygrać nie można (ZSRS musiał wycofać się z Afganistanu, teraz to samo robią Amerykanie). Przygotowanie do masowych działań asymetrycznych powinno mieć strategiczny walor odstraszający. Chodzi o to, aby żadnej wojny, w tym zwłaszcza „partyzanckiej", nie trzeba było prowadzić. Ma to zagwarantować zbudowanie licznej, po mobilizacji kilkusettysięcznej obrony terytorialnej, która w tak pomyślanym systemie obrony kraju będzie mieć podstawowe znaczenie. Jednak w SBN na temat OT jest tylko tyle: „3.13 Realizować program budowy Wojsk Obrony Terytorialnej, tworząc warunki do rozbudowy powszechnej gotowości obronnej na całym terytorium kraju". Wojska obrony terytorialnej mają być ledwie narzędziem budowania powszechnej gotowości obronnej. To więcej niż skromny zakres zadań i dowód, że zrozumienia roli OT, nie tylko wojsk OT, lecz także całego systemu obrony terytorialnej, zakorzenionego w społeczeństwie, obywatelskiego, ciągle nie ma.

Polsce potrzebna jest obrona terytorialna jako masowe przygotowanie obywateli do obrony kraju. W takim wymiarze dopiero stanie się ona elementem wiarygodnego strategicznie odstraszania nieprzyjaciela. Polska musi się prezentować jako kraj zdolny do powszechnego oporu, a więc bardzo trudny do podbicia. Popełnimy błąd, jeżeli zbudujemy obronę terytorialną jako siłę pomocniczą, która będzie działała na rzecz wojsk operacyjnych, gdy

eprasa.pl ec86032006

Międzynarodowe manewry morskie „BALTOPS" na poligonie w Ustce, czerwiec 2018 r. FOT. GERARD/REPORTER

już dojdzie do wojny. W takim przypadku element odstraszania nie wystąpi.

W proponowanym przeze mnie modelu obrony Polski masowa obrona terytorialna ma wywołać efekt w postaci braku wojny – napastnik, widząc nas przygotowanych do stawienia masowego oporu asymetrycznego, powinien zrezygnować. Nie odstraszymy wroga rakietami, czołgami i samolotami, bo tego wróg będzie miał zawsze więcej. Dlatego kwestia OT i umieszczenia jej w systemie obrony kraju to sprawa strategii, a nie operacyjnego czy taktycznego wykorzystania formacji terytorialnych w roli wsparcia wojsk operacyjnych lub jako „zapchajdziury" w miejscach, gdzie wojsk operacyjnych nie mamy.

MAŁO O MORZU!

Nowa strategia, jeśli chodzi o marynarkę wojenną, załatwia to jednym zdaniem: „3.12 Dążyć do budowy zdolności do pełnej ochrony i obrony interesów morskich państwa, zwłaszcza zdolności operacyjnych Marynarki Wojennej, oraz wzmocnienia jej współdziałania w układzie sojuszniczym i regionalnym". Autorzy strategii jakby nie dostrzegli, że Polska ma 770 km linii brzegowej i dwa największe porty w tej części Europy, buduje strategiczne połączenia gazowe, na Morzu Bałtyckim mamy ważne dla Polski szlaki morskie, a do tego w tym rejonie znajdują się rosyjskie bazy morskie, uzbrojony w rakiety okręg kaliningradzki, w którym są też duże siły desantowe Rosji. Ogólniki o dążeniu do budowania zdolności operacyjnych marynarki wojennej są tak nieprecyzyjne, że nie wiadomo, co oznaczają.

Jest za to w SBN deklaracja budowy „narodowych zdolności w zakresie komunikacji satelitarnej" (p. 3.6), a zwłaszcza „zdolności do prowadzenia działań w przestrzeni kosmicznej" (sic!). Być może dlatego, aby móc niszczyć te cele „daleko położone" na terytorium wroga. Nie wiadomo jednak, jakie praktyczne znaczenie dla polskich zdolności obronnych miałoby umieszczenie na orbicie sztucznego satelity wojskowego.

NAJWAŻNIEJSZE

W nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego jest wiele zapisów słusznych, ale wymagających sprecyzowania, dotyczy to zwłaszcza zagadnień militarnych. Bez niezbędnych dookreśleń zapisy SBN będą tylko ogólnym wskazaniem kierunku zmian, które nie muszą nastąpić. Na szczęście są one wystarczające, aby opracować właściwą dla Polski strategię obronności. Przy czym, rozważając całokształt problematyki, należałoby ustalić:

1. Czy jeśli weźmiemy pod uwagę wielkość potencjału obronnego RP, możemy uznać, że dysponujemy możliwościami odstraszenia potencjalnego agresora? Czy jesteśmy w stanie zniechęcić go do agresji jako przedsięwzięcia bardzo trudnego dla niego w realizacji?

2. Jakie rozwiązania w sferze obronności, organizacji i wyposażeniu sił zbrojnych i przygotowaniu społeczeństwa należy przyjąć, aby odstraszanie napastnika zakończyło się sukcesem?

3. Czy i w jakim zakresie na skuteczność odstraszania wpływa współpraca z sąsiadami (np. Trójmorze)? Czy jest to warunek konieczny skutecznego odstraszania, czy tylko uzupełnienie nieprzesądzające o powodzeniu?

4. Jakie są potrzebne ramy czasowe, siły i środki, aby przyjęty zamiar odstraszania potencjalnego agresora stał się widocznym wyróżnikiem systemu obrony państwa?

5. Czy można zdefiniować ograniczenia przy realizacji zamiaru odstraszania, w tym także natury psychologicznej (postawy osób decydujących o obronności) i politycznej (jakie siły i ośrodki mogą przeszkadzać)?

Odpowiedzi na te pytania są niezbędne przy opracowywaniu strategii obronności RP. Po jej ustaleniu należy sprawdzić, czy istniejący system obrony państwa i siły zbrojne RP będą w stanie ją realizować. Powinien być przeprowadzony przegląd (strategiczny przegląd obronny) badający pod tym kątem potencjał państwa i siły zbrojne RP. Po takim sprawdzeniu okaże się, w którym miejscu są braki, i będzie można ustalić, jak je usunąć. Dopiero na tej podstawie można konstruować plan technicznej modernizacji armii i planować szczegółowo wydatki obronne. Uzbrojenie, a więc narzędzia obrony dobiera się do zadań.

****

„Liczy się gospodarka, głupcze!" – z takim hasłem Bill Clinton wygrał w 1992 r. wybory prezydenckie. W swoim biurze hasło to umieścił w taki sposób, aby zawsze je mieć przed oczami. Mam ciągle przed oczami wezwanie: strategia obronności, głupcze! Byłoby dobrze, aby decydujący o obronie RP też je dostrzegli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Romuald Szeremietiew *– działacz niepodległościowy, więzień polityczny w PRL, polityk, publicysta, doktor habilitowany nauk wojskowych, nauczyciel akademicki, m.in. profesor nadzwyczajny Akademii Obrony Narodowej i Akademii Sztuki Wojennej. Poseł na Sejm III kadencji. Sprawował urząd wiceministra i p.o. ministra obrony narodowej.*

eprasa.pl ec86032006

Prezes NIK Marian Banaś podczas prezentacji raportu o wyborach kopertowych
FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Kopertowa prowizorka

Łukasz Warzecha

Lektura raportu NIK o wyborach kopertowych każe postawić tezę, że skierowane dwa doniesienia do prokuratury są nie tyle elementem politycznego przetargu, ile po prostu musiały się pojawić, ponieważ jasno wynikają z wniosków pokontrolnych

Raport NIK o wyborach kopertowych ma 78 stron. Został zaprezentowany wkrótce przed prezentacją Polskiego Ładu (czy data tej drugiej była w tym kontekście całkowicie przypadkowa, można tylko spekulować) i dlatego dość szybko przestał być tematem numer jeden. Jednak zbywanie tego dokumentu, tak jak próbował to robić choćby wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, mówiąc, że „to jakaś kompromitacja NIK", nie ma uzasadnienia. Niezależnie od trwającej wojny politycznej pomiędzy prezesem NIK Marianem Banasiem a rządem Najwyższa Izba Kontroli nie prezentuje w raporcie jakiejś dowolnej publicystyki czy spekulacji, ale stawia bardzo konkretne zarzuty. Na razie w formę zawiadomień do prokuratury ubrano tylko te dotyczące Poczty Polskiej i Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych – spółek Skarbu Państwa.

Raport NIK pozwala nam prześledzić zdarzenia z wiosny ubiegłego roku i przypomnieć sobie, kto kiedy i o czym zdecydował. Sekwencja zdarzeń zaczęła się od zarządzenia wyborów prezydenta RP przez marszałek Sejmu na 10 maja 2020 r. Stało się to 5 lutego, a więc dwa do trzech tygodni, zanim sytuacja z COVID-19 zaczęła się jawić jako poważne zagrożenie w naszej części świata, a ponad miesiąc przed tym, zanim WHO ogłosiła pandemię. To nastąpiło dopiero 11 marca.

Tymczasem w Polsce już 8 marca weszła w życie tzw. ustawa antycovidowa, pozwalająca administracji stosować różnego rodzaju nadzwyczajne środki. 14 marca ogłoszono w Polsce stan zagrożenia epidemicznego (pierwszy pacjent zakażony SARS-Cov-2 pojawił się 4 marca), a od 20 marca obowiązuje stan epidemii. Nawiasem mówiąc, rząd do dziś nie zająknął się, kiedy stan epidemii zamierza znieść.

CHRONOLOGIA ZDARZEŃ

Jeśli przypomnimy sobie ówczesne nastroje i dyskusje, to zobaczymy, że z jednej strony nie było pełnej świadomości, z jak długotrwałym zagrożeniem mamy do czynienia – wielu komentatorów czy polityków sądziło, że problemy skończą się po paru tygodniach i majowy termin nie będzie zagrożony – z drugiej jednak zaczynała narastać świadomość, że sprawa jest poważniejsza, niż sądzono, i z przeprowadzeniem wyborów prezydenckich w normalnym trybie 10 maja może być jednak problem. Stąd nowelizacja ustawy antycovidowej z 31 marca zawierała również nowelizację Kodeksu wyborczego, którą poszerzono o możliwość głosowania korespondencyjnego w przypadku wyborców będących na kwarantannie czy w izolacji, a także tych, którzy w dniu wyborów będą mieć minimum 60 lat.

Trwał już wówczas spór o to, czy wybory należy przeprowadzić w takim terminie, jak zaplanowano. Ten spór miał dwa główne wątki. Pierwszy dotyczył możliwości prowadzenia normalnej kampanii przez kontrkandydatów Andrzeja Dudy. Prezydent był cały czas widoczny niejako z urzędu, choć formalnie nie były to jego spotkania wyborcze. Tymczasem inni kandydaci mieli bardzo ograniczone możliwości działania z powodu trwającego już wtedy całkowitego lockdownu. To kazało postawić pytanie o równość szans. Drugi wątek, którym grały obie strony sporu, dotyczył bezpieczeństwa głosujących w każdym ewentualnym wariancie głosowania.

Tymczasem czasu na podjęcie decyzji było coraz mniej. Dlatego błyskawicznie przygotowano i przepchnięto przez Sejm Ustawę o szczególnych zasadach przeprowadzania wyborów powszechnych na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zarządzonych w 2020 r. To ona miała umożliwić głosowanie „kopertowe" wszystkich obywateli. Ustawa trafiła do Sejmu 6 kwietnia i jeszcze tego samego dnia – po godz. 22 – została przegłosowana. Za było 230 po-

eprasa.pl ec86032006

słów z klubu PiS (dwoje przeciw, dwoje się wstrzymało, nie głosował Jarosław Gowin). Przeciw – wszyscy pozostali posłowie.

Tu jednak pojawił się problem – Senat nie był już w rękach większości rządzącej i marszałek Grodzki postanowił nie ułatwiać sprawy rządzącym. Izba wyższa ma prawo pracować nad przekazanymi do niej, uchwalonymi przez Sejm ustawami przez 30 dni i w tym wypadku wykorzystała cały ten czas. Dopiero 5 maja Senat uchwalił odrzucenie ustawy w całości. Dwa dni później Sejm odrzucił tę uchwałę Senatu, a 8 maja prezydent podpisał ustawę, która weszła w życie w przededniu zaplanowanej wcześniej daty wyborów. Było już oczywiście jasne, że się one tego dnia nie odbędą.

10 maja zapadła głośna uchwała Państwowej Komisji Wyborczej, która starała się wypełnić lukę prawną, wynikającą z nieprzeprowadzenia wyborów i niezarządzenia ich nowego terminu. PKW uznała – po czasie można stwierdzić, że w ówczesnej sytuacji było to stosunkowo najlepsze rozwiązanie – że w wyborach brak było możliwości głosowania na kandydatów, a to oznacza sytuację opisaną w Kodeksie wyborczym jako brak możliwości głosowania ze względu na brak kandydatów. Był to wybieg prawny, ale ratował sytuację.

DZIAŁANIA „NA GĘBĘ"

Wróćmy do tego, co było głównym wątkiem kontroli NIK. Izba odpowiadała na ogólne pytanie: „Czy działania podjęte w związku z przygotowaniem wyborów powszechnych na [prezydenta], zarządzonych na dzień 10 maja 2020 r., z wykorzystaniem głosowania korespondencyjnego, były prawidłowo realizowane i czy doprowadziły do przygotowania i przeprowadzenia tych wyborów w trybie korespondencyjnym?". Postawiono też cztery pytania szczegółowe.

Po pierwsze: Czy premier miał uprawnienia do podjęcia działań na rzecz realizacji wyborów? Po drugie: Czy minister aktywów państwowych wykonywał prawidłowo zadania w związku z organizacją wyborów? Po trzecie: Czy ministrowie spraw wewnętrznych oraz aktywów państwowych współpracowali z innymi podmiotami, realizując decyzje premiera? Po czwarte: Czy działania podejmowane przez pocztę oraz PWPW były legalne, gospodarne, celowe i rzetelne?

16 kwietnia 2020 r. Mateusz Morawiecki wydał obu tym firmom polecenia – w ramach, formalnie rzecz biorąc, przeciwdziałania epidemii, a więc na podstawie ustawy antycovidowej – zmierzające do zorganizowania wyborów opartych na głosowaniu korespondencyjnym. To polecenie było poprzedzone zmianami w zarządzie Poczty Polskiej. 3 kwietnia – zatem tuż przed głosowaniem w Sejmie ustawy o wyborach kopertowych – prezesem przestał być Przemysław Sypniewski, pracujący w PP od wielu lat, a zastąpił go (jako pełniący obowiązki) Tomasz Zdzikot, człowiek z zewnątrz do zadań specjalnych, wcześniej wiceminister obrony. Sypniewski, według pojawiających się wtedy informacji, miał sygnalizować Jackowi Sasinowi, ministrowi aktywów państwowych, że kierowana przez niego instytucja nie będzie w stanie obsłużyć 30 mln wyborców, dostarczając im karty do głosowania, a potem je odbierając. Zdzikot takich wątpliwości nie miał.

Za zawarcie odpowiedniej umowy z PP odpowiedzialny był wicepremier Sasin, z kolei za umowę z PWPW (druk kart) odpowiadał Mariusz Kamiński, szef MSWiA. Co ważne i na co wskazuje NIK, choć do odpowiednich ministrów trafiły projekty umów – odpowiednio 21 kwietnia z PWPW do MSWiA i 22 kwietnia z PP do MAP – to umowy te nie zostały ostatecznie podpisane. To zaś oznacza, że obie firmy działały – jakkolwiek wydaje się to niebywałe – „na gębę". NIK wskazuje, że realizowane były praktycznie ustne wytyczne ministrów mimo ich nieprecyzyjności, a przede wszystkim braku podstawy w postaci umowy na realizację określonych zadań. Raport zauważa również, że kancelaria premiera nie monitorowała realizacji wydanej przez Mateusza Morawieckiego 16 kwietnia decyzji, „co w ocenie NIK było działaniem nierzetelnym".

NIK wytyka, że działania rządu nie opierały się na żadnych analizach skutków prawnych czy finansowych. Nie wzięto pod uwagę sytuacji, gdyby wybory 10 maja nie mogły się odbyć. W raporcie czytamy np.: „W MSWiA: nie dysponowano analizami w zakresie uwarunkowań prawnych i organizacyjnych wykonania decyzji BPRM.4820.2.4.2020. [decyzja premiera skierowana do PWPW] oraz zawarcia umowy z PWPW S.A.; nie podjęto działań polegających na wystąpieniu do KPRM o wyjaśnienie i uszczegółowienie decyzji BPRM.4820.2.4.2020, a także na rzecz przyznania środków na ten cel z rezerwy celowej budżetu państwa lub o przyznanie środków z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19". Takich stwierdzeń jest w raporcie mnóstwo.

Wybory ostatecznie odbyły się w nowym terminie – 28 czerwca i dwa tygodnie później druga tura. Jednak wcześniej, zgodnie ze złożonymi przez władzę zamówieniami, karty na potrzeby wyborów kopertowych wydrukowano. Jako kandydatka widniała na nich jeszcze Małgorzata Kidawa-Błońska, którą później zastąpił Rafał Trzaskowski, dlatego karty były bezużyteczne w wyborach późniejszych. Poczta Polska jako „rekompensatę" za poniesione koszty otrzymała ponad 53 mln zł. To pieniądze całkiem wprost wyrzucone w błoto, ale nie pokrywają w pełni wydatków państwowego operatora, które NIK drobiazgowo wycenił na 71 880 600 zł. Koszty PWPW były znacznie niższe i sięgnęły „tylko" 4 646 800 zł.

POZA PRAWEM

Podstawowym i najbardziej podkreślanym przez Mariana Banasia wnioskiem z kontroli jest to, że Mateusz Morawiecki, podejmując 16 kwietnia decyzje dotyczące uczestniczenia obu państwowych spółek w procesie wyborczym, działał poza obowiązującym systemem prawnym. Jak wskazuje NIK – po pierwsze, w świetle obowiązujących wtedy przepisów za organizację wyborów odpowiadała wyłącznie Państwowa Komisja Wyborcza; po drugie – opinie Departamentu Prawnego Kancelarii Premiera oraz Prokuratorii Generalnej RP wyrażały „istotne wątpliwości co do podstawy prawnej do wydania tych decyzji"; po trzecie – w KPRM nie posiadano analiz kosztów, jakie spowodują decyzje.

Lektura raportu każe postawić tezę, że skierowane przez NIK dwa doniesienia do prokuratury są nie tyle elementem politycznego przetargu, ile po prostu musiały się pojawić, ponieważ jasno wynikają z wniosków pokontrolnych. Gdyby NIK ich do prokuratury nie skierowała, urzędnicy izby odpowiadaliby sami za brak takiego zawiadomienia (art. 304 par. 2 Kodeksu postępowania karnego). W rozmowie z RMF FM Banaś zapowiedział, że NIK skieruje do prokuratury zawiadomienia w sprawie wyborów kopertowych – będą one dotyczyć „przedstawicieli najwyższych urzędów państwowych".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Włodzimierz Lenin przemawia do żołnierzy Armii Czerwonej. Na schodach po prawej stronie stoi Lew Trocki, Moskwa, 5 maja 1920 r.

FOT. SOVFOTO/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES

Andrzej Nowak

Klęska Armii Czerwonej pod Warszawą w 1920 r. odsunęła urzeczywistnienie snu gospodarzy „czerwonego" Kremla o sowietyzacji Europy. Przynajmniej na jakiś czas

Klęska imperium i plany geopolitycznego rewanżu

Po katastrofie Armii Czerwonej pod Warszawą, na progu kolejnej – w bitwie niemeńskiej, kiedy już od 21 września toczyły się w Rydze rozmowy polsko-sowieckie o warunkach rozejmu – w Moskwie zaczynała się IX konferencja RKP(b), najważniejsze forum polityczne pomiędzy zjazdami partii. Referat w imieniu Komitetu Centralnego wygłaszał 22 września Lenin. Klęska poniesiona w Polsce i z nią związane „wszystkie perypetie" (jak to ujął sam referent) były najważniejszym tematem tego wystąpienia, dodajmy – utajnionego dla badaczy aż do 1992 r. Lenin musiał się bronić przed nieuchronnym pytaniem: „Kto winowat?". Wśród wybranych, zaufanych towarzyszy, przedstawił rodzaj wielkiej mowy obrończej. Tworzyła ją interpretacja najważniejszych decyzji, które były w związku z wojną przeciw Polsce podejmowane w ścisłym kręgu politbiura, oraz uwzględnianych w tych decyzjach motywów: strategicznych, ideologicznych, geopolitycznych, ekonomicznych. Podstawą owej interpretacji była teza, że władze sowieckie szczerze gotowe były do pokoju z Polską wiosną 1920 r., i to na warunkach wyjątkowo korzystnych dla „burżuazyjnego" rządu w Warszawie. Piłsudski jednak ruszył na Kijów. Lenin nie wspominał oczywiście o przygotowywanym od pierwszych miesięcy 1920 r. projekcie wielkiej ofensywy przeciw Polsce, którą miał prowadzić Front Zachodni Tuchaczewskiego. Stwierdzał zaś – zupełnie inaczej, niż głosiła to oficjalna propaganda sowiecka w kwietniu i maju, mówiąca wtedy o operacji polskiej na Ukrainie jako „trzeciej wyprawie ententy" – że w istocie izolowaną akcję Piłsudskiego przyjęto na Kremlu jako dowód bezsilności obozu imperialistów: „Dojrzało wśród nas przekonanie, że wojenny atak ententy przeciw nam został zakończony, skończyła się wojna obronna z imperializmem i my ją wygraliśmy". Polska, jako „państwo z imperialistycznymi tradycjami", sądziła, że może jeszcze sama zmienić bieg tej wojny. Kierownictwo sowieckie uznało wtedy, że powinno „wykorzystać stan wojny [z Polską] dla rozpoczęcia wojny ofensywnej". Jej celem miała być sowietyzacja Polski i Litwy, „wymacanie bagnetem" (dokładnie to sformułowanie zostało użyte), czy już nie dojrzała rewolucja proletariacka nad Wisłą. Lenin musiał w tym miejscu bronić się przed zarzutem, podniesionym przez część międzynarodowej opinii komunistycznej, że takie „macanie bagne-

eprasa.pl ec86032006

tem”, czyli faktycznie militarny podbój, nie jest właściwym sposobem dokonywania społecznej zmiany. Tłumaczył więc, że dla kierownictwa partii bolszewickiej było jasne, że w Polsce jest klasa robotnicza i dojrzały do rewolucji wiejski proletariat – zatem obowiązkiem rewolucyjnym jest pomóc tym siłom w dokonaniu przewrotu społecznego. Owszem, przyznał, okazało się jednak, że gotowość polskiego proletariatu do rewolucji okazała się niewielka.

SZUKANIE WINNYCH

I w tym właśnie kluczowym miejscu, gdzie trzeba było uznać błąd w ideologicznej kalkulacji, Lenin zmienił zasadniczo ton. Wprowadził nowy, najważniejszy dla całej jego dalszej interpretacji wojny z Polską, motyw: ściśle geopolityczny. Już nie mówił tylko o komunizmie, rewolucji, ale w centrum jego narracji znalazła się Rosja – przeciw zachodniemu systemowi. Teraz mówił tak: „Rosja była dotąd tylko przedmiotem, nad którym wymądrzali się i decydowali, jak ją najlepiej podzielić […]. A teraz Rosja powiedziała: a zobaczymy, kto okaże się silniejszy w tej wojnie. […] To zmiana całej polityki, światowej polityki. […] Okazało się, że gdzieś w okolicy Warszawy znajduje się nie centrum polskiego rządu burżuazyjnego i rzeczypospolitej kapitału, ale w okolicy Warszawy leży centrum całego współczesnego systemu międzynarodowego imperializmu i że znaleźliśmy się w sytuacji, w której zaczynamy chwiać całym tym systemem i robimy politykę nie w Polsce, ale w Niemczech i w Anglii. Tym sposobem stworzyliśmy w Niemczech i Anglii całkowicie nową sferę proletariackiej rewolucji przeciwko wszechświatowemu kapitalizmowi, dlatego że Polska, jako bufor między Rosją a Niemcami, Polska jako ostatnie państwo, pozostanie całkowicie w rękach międzynarodowego imperializmu przeciw Rosji. Ona jest podstawowym oparciem całego układu wersalskiego. […] Polska jest tak potężnym elementem wersalskiego systemu, że wyrywając ten element, burzyliśmy cały system wersalski. Postawiliśmy za zadanie zdobycie Warszawy. Zadanie się zmieniło. I okazało się, że decyduje się nie los Warszawy, ale los układu wersalskiego. Zbliżenie naszych wojsk do granic Prus Wschodnich, które są oddzielone [od reszty Niemiec – przyp. A.N.] korytarzem Polski, prowadzącym do Gdańska, udowodniło, że całe Niemcy zawrzały”.

Lenin tłumaczył dalej swój stosunek do kwestii niemieckiej. Krytykował ostro słabość partii komunistycznej w Niemczech i przewagę w tamtejszym ruchu robotniczym tendencji „mieńszewickich” (czyli socjaldemokratycznych). I w tej kwestii okazywało się zatem, po doświadczeniach lata 1920 r., że ważniejszy od rewolucyjnych nadziei może być aspekt geopolityczny, w tym wypadku: znaczenie współpracy między Moskwą a Berlinem przeciwko systemowi wersalskiemu. „W praktyce wykazaliśmy, że dla Niemiec, gdzie nastrój mas, najbardziej niedorozwiniętych i czarnosecinnych, które są zdolne powiedzieć: »już lepiej Wilhelm« – że w międzynarodowej sytuacji nie ma dla Niemiec innej siły [partnera] niż Rosja Sowiecka”. Lenin dodał jednak, że jeśli się weźmie pod uwagę takie partnerstwo, trzeba koniecznie rozróżnić dwa jego aspekty. Jeden stanowi słuszne dążenie Niemiec do obalenia dławiącego je układu wersalskiego, ale drugi – niebezpieczny – stanowi dążenie „do odbudowania imperialistycznych Niemiec”. Lenin w żadnym razie nie chciał być marionetką tych ostatnich.

Teraz nie ukrywał skali klęski wojskowej katastrofy pod Warszawą: „Ponieśliśmy wielką klęskę, kolosalna armia, 100 tysięcy, albo wzięta do niewoli, albo [internowana] w Niemczech. Jednym słowem – gigantyczna, niesłychana klęska”. Cytuję te szczere słowa, do dziś bowiem pokutuje w historiografii, zwłaszcza zachodniej, teza, jakoby Armia Czerwona żadnej klęski w Polsce nie poniosła, a tylko świadomą decyzją miłującego pokój kierownictwa sowieckiego wycofała się spod Warszawy. Lenin, uznawszy sam fakt niepowodzenia wybranej przez kierownictwo sowieckie strategii, postawił pytanie, czy błąd nie polegał na odrzuceniu propozycji z „noty Curzona” z 11 lipca. Powtarzał ponownie argumenty, które padały już wówczas, w połowie lipca, za poważnym potraktowaniem zabójczej dla Polski oferty brytyjskiego premiera. „Otrzymując wschodnią Galicję, mielibyśmy bazę przeciwko wszystkim współczesnym państwom. W takich okolicznościach stalibyśmy się sąsiadami zakarpackiej Rusi, która kipi bardziej niż Niemcy, a jest prostym korytarzem na Węgry, gdzie wystarczy niewielki impuls, żeby wybuchła rewolucja. Zachowalibyśmy w skali międzynarodowej aureolę państwa, które jest niezwyciężone i okazuje się wielkim mocarstwem”. Ale Komitet Centralny, przypominał referent, zdecydował inaczej. Postawił Armii Czerwonej zadania: „Pomóc sowietyzacji, przejść etnograficzną granicę [Polski] i trzymać granicę z Niemcami…”. Lenin starał się podpowiedzieć, że dalej już zawiniła niewystarczająca siła Armii Czerwonej, być może błędy w dowodzeniu. Strategia polityczna miała swój sens i osiągnięcia: podniosła temperaturę rewolucyjną nawet w Anglii (wokół tzw. komitetów akcji, protestujących przeciw jakiejkolwiek pomocy dla Polski), pokazała, że Rosja sowiecka staje się czynnikiem ofensywnym, że naprawdę potrafi wstrząsnąć całym systemem wersalskim.

Pytanie o błąd rozpętało naturalnie spór o to, kto go popełnił. Najostrzej postanowienia biura politycznego, za które odpowiadał przede wszystkim Lenin, skrytykował Karol Radek. Wojna ofensywna dla szerzenia rewolucji – zastrzegał się w swoim obszernym wystąpieniu na konferencji – nie jest niczym złym. Trzeba jednak najpierw dobrze ocenić, czy są realne szanse na społeczny przewrót. I tu zarzucał Leninowi, że ten stanowczo przesadził w swoich nadziejach na rewolucję w Niemczech czy nawet w Anglii. „Włodzimierz Iljicz udowadniał, że dowiedzieliśmy się o sytuacji w Niemczech i Anglii za pomocą macania bagnetem. Jeśliby Włodzimierz Iljicz miał więcej czasu, żeby czytać zagraniczne gazety, to i bez bagnetu by się dowiedział, że tamtejsi korniłowcy są za nami” – ironizował Radek. Pod nazwą „korniłowcy” miał na myśli – jak to sam określił – niemiecki „nacjonalny bolszewizm”, a więc dokładnie to zjawisko, które później przybierze formę narodowego socjalizmu – nazizmu. Radkowi szło o to, że na taktyczną współpracę z tymi kręgami można wciąż liczyć, a na rewolucję komunistyczną w Niemczech szans latem 1920 r. nie było, podobnie jak w Anglii. Oczywiście, zastrzegał się, nie można wykluczyć, że już na wiosnę przyszłego roku sytuacja się zmieni, a wtedy trzeba będzie „pomagać robotniczej rewolucji na Zachodzie”. O tym, że Radek nie odrzucał używania bagnetu, czyli siły Armii Czerwonej, jako narzędzia przyspieszenia rewolucji, kiedy jest po temu okazja, świadczył dobitnie jego napisany wówczas artykuł pod takim właśnie znaczącym tytułem: „Das Bajonett und der Kommunismus. Randglossen zur Schlacht bei Warschau” („Bagnet i komunizm. Uwagi na marginesie Bitwy Warszawskiej”). Użył w nim swoiście poetyckiego porównania, pisząc o bagnecie jako akuszerce (powiwalnaja babka) komunizmu i uzasadnił jego używanie w sposób wart zapamiętania: „Przemoc

eprasa.pl ec86032006

przyspiesza proces ekonomicznego i politycznego rozwoju społeczeństwa do komunizmu”. Radek dodał raz jeszcze, że wkrótce powtórzyć się może sytuacja, w której „Rosja sowiecka będzie musiała wyciągnąć pomocną dłoń do niemieckich robotników ponad trupem białej Polski”. Tego Lenin nie chciał jednak już dopuścić do druku.

MARZENIA O SKUTECZNEJ SOWIETYZACJI

Czy republika sowiecka ma prawo zbrojnie wspierać rewolucję w innych krajach, poszerzać za pomocą Armii Czerwonej panowanie komunistycznej ideologii, ingerować w życie wewnętrzne innych republik? Te kwestie zaznaczyły się wyraźnie, po raz pierwszy tak mocno, właśnie w debacie po klęsce próby sowietyzacji Polski. Czy Rosja, w swej nowej ideologicznej szacie, może dojść tylko do granic byłego imperium Romanowów z 1914 r., uznawanych przez tradycyjny „koncert mocarstw” za jej naturalną sferę dominacji, lub nawet za zgodą owego „koncertu” poszerzyć ją nieco (jak uczyniła to „nota Curzona”, która „oddała” Galicję Wschodnią panowaniu moskiewskiemu)? Czy też Moskwa może teraz przejść do geopolitycznej ofensywy, pod czerwonym sztandarem podbijając nowe obszary, bez oglądania się na stare granice? To inny wymiar tego samego praktycznego zagadnienia, które postawiła na porządku dziennym potrzeba rozliczenia ze skutków nieudanej ekspansji latem 1920 r. Kilka sformułowanych jesienią tego roku odpowiedzi na owe pytania warto jeszcze przytoczyć, by zrozumieć lepiej znaczenie tego, co się wydarzyło, co wyniknęło z ostrego starcia Rosji sowieckiej z Polską, ale także jakie lekcje wyciągnęła stąd polityczna elita tej pierwszej.

Odpowiadał na te pytania wprost Nikołaj Bucharin. Jako zastępca członka biura politycznego brał żywy udział w konferencji partyjnej 22 września, ale też wcześniej, choćby jako słuchacz, przy formułowaniu dyrektyw politbiura, które teraz trzeba było ocenić. Swoją zasadniczą odpowiedź ujął w formę artykułu „O taktyce ofensywnej”, który opublikował w grudniowym numerze czasopisma „Kommunisticzeskij Internacjonał”. Z wielką publicystyczną swadą Bucharin bronił właśnie owej „ofensywnej taktyki”, decyzji, by uderzyć na Polskę i iść dalej przez jej „białego trupa”. Szydził z tych, którzy mówili (krytykując Lenina), że „bagnet nie nadaje się do tak delikatnych spraw jak wielka idea socjalizmu”. Przypominał: przecież rewolucja – to bagnet, powstanie, wojna domowa – to bagnet w ciągłym użyciu. Powoływał się na autorytet tekstu założycielskiego całej ideologii, na „Manifest komunistyczny” Marksa i Engelsa z 1848 r. Skoro powiedziano w nim, że proletariat podbije cały świat, to przecież podbijać można tylko bagnetem, przemocą. „Jeśli człowiek, nazywający siebie »socjalistą«, pryncypialnie występuje przeciw proletariackiej »ekspansji«, wtedy jasne, że jest jeszcze do szpiku mieszczaninem, a nie rewolucjonistą proletariackim” – grzmiał Bucharin. Przeciw tym, którzy wobec taktyki ofensywnej przyjętej przez Lenina i KC latem 1920 r. stawiają zarzut „wmieszatielstwa” i mówią ze zgorszeniem o „importowanym komunizmie”, on rzucał oskarżenie o „socjal-pacyfizm”. I stawiał kropkę nad „i”, na przyszłość, kiedy zdarzy się następna okazja czy też raczej potrzeba rewolucyjnej interwencji: „Skoro już »wmieszatielstwo« się zaczęło (zaczęła się »sowietyzacja« z zewnątrz, to komunistyczne partie mają obowiązek wspierać ją z całą energią) […]. Na tym polega kwestia czerwonej interwencji. Trzeba ją popierać wszelkimi środkami”.

Bezpośrednio po klęsce, 23 września, kiedy trwała jeszcze konferencja w Moskwie, swoje wrażenia i opinie przekazał także przewodniczący Galrewkomu, Wołodymyr Zatoński. Niedoszły wódz Galicyjskiej Republiki Sowieckiej musiał się już do tego czasu wycofać spod Lwowa ponad 300 km na wschód, aż do Winnicy. W liście do Komitetu Centralnego RKP(b) Zatoński pisał: „Galicyjska sprawa jest skończona”. Pytał Moskwę o polecenia, czy trzeba podtrzymywać dalsze istnienie Galrewkomu, czy też rozwiązać niepotrzebną już w tej chwili organizację. Miał jednak na myśli tylko chwilowe niepowodzenie. W zawarcie pokoju z Polską nie bardzo wierzył. Był za to pewny, że „jakby tam nie było, wcześniej czy później Galicję przyjdzie zsowietyzować”. Proponował zatem, by na nieudaną próbę sowietyzacji z lata 1920 r. popatrzeć jako na swoiste pole doświadczalne. Trzeba z tej próby wyciągnąć wnioski przed kolejną, już udaną. Trzeba się solidnie przygotować, stworzyć odpowiedni do zadania aparat komunistyczny, z bogatym zestawem środków propagandowych. Nie można więcej powtórzyć błędu „sowietyzacji żywiołowej”. „Żywiołowość to dobra rzecz, kiedy rewolucja wybucha sama z siebie, ale jest znacznie gorsza, kiedy rewolucję przychodzi wprowadzać z zewnątrz”.

O zadaniu solidnego, planowego przygotowania nowej, skutecznej sowietyzacji sąsiednich krajów, „okrain” Rosji, musiał myśleć Stalin. Wracał do swych obowiązków komisarza do spraw narodowości, by z tej perspektywy spojrzeć na problem samostanowienia owych krajów, które nazywał właśnie „okrainami”, czyli kresami Rosji – a z drugiej strony tych, które określał jako „kolonie ententy”. Tu była jego oryginalna odpowiedź na pytania, które wynikały z refleksji nad doświadczeniem nieudanej kampanii letniej 1920 r., jego ocena „ofensywnej taktyki” Rosji sowieckiej i uzasadnienie jej „prawa do rewolucyjnej interwencji”. Indywidualne piętno owej odpowiedzi nadawał ściśle geopolityczny wymiar, uwypuklony przez Stalina, a tak typowy później dla działań imperium, na którego czele wkrótce stanie i będzie je systematycznie poszerzać. Swoją wizję zawarł w kilku tekstach, napisanych i ogłoszonych w październiku i listopadzie 1920 r. Jakie powinny być stosunki między rosyjskim centrum a „kresami”? Taką właśnie formułę nadał Stalin w swoim artykule z „Prawdy” z 10 października problematyce dyskutowanej po „polskich” doświadczeniach. Odpowiedź była prosta: owe stosunki powinny być takie, by zapewniały „stały, nienaruszalny związek” nierosyjskich okrain („kresów”) z centrum, czyli Rosją sowiecką. Uzasadnienie było jeszcze prostsze: „Oderwanie się kresów poderwałoby potęgę rewolucyjną centralnej Rosji, która jest bodźcem ruchu wyzwoleńczego Zachodu i Wschodu, same kresy, oderwawszy się, musiałyby niechybnie wpaść pod jarzmo międzynarodowego imperializmu”. Tu, jako przykłady, wymienił Stalin Gruzję, Armenię, Polskę, Finlandię, kończąc tę wyliczankę pozostawiającym dalsze możliwości „itd.”. „Są tylko dwa wyjścia: albo razem z Rosją i wówczas – wyzwolenie mas pracujących kresów od ucisku imperialistycznego; albo razem z ententą i wówczas – nieuniknione jarzmo imperialistyczne. Trzeciego wyjścia nie ma”.

ROSJA SAMOTNYM ATLASEM

Wyliczone tutaj kraje, w tym i Polska, podpadają pod kategorię kresów, które na początku października 1920 r. jeszcze nie były przyłączone do rosyjskiego centrum, ale nieuchronnie powinny zostać prędzej czy później „wyzwolone od ucisku imperialistycznego”. Armenia i Gruzja doczeka-

eprasa.pl ec86032006

ły się tego już w najbliższych miesiącach. Polska dopiero w 1939 r. (albo 1944, jak kto liczy). Finlandia miała zostać „wyzwolona” w grudniu 1939 r. – ale to się akurat nie udało. Armia Czerwona, dodajmy, w każdym z tych procesów „wyzwolenia” odgrywać będzie główną rolę. O tym, że tak właśnie być powinno, mówił Stalin 27 października 1920 r. na naradzie partyjnej we Władykaukazie, przygotowując podbój dwóch pierwszych krajów ze wspomnianej listy. To przemówienie zawiera jedną z najbardziej zwięzłych formuł myśli politycznej Stalina. Punktem wyjścia do niej jest stwierdzenie, że Rosja „stanowi swego rodzaju oazę socjalizmu otoczoną przez wrogie państwa kapitalistyczne”. Skoro tak jest, stwierdził mówca, to czy Rosja może wytrwać w owym okrążeniu? I tu pojawia się właśnie, tak ważna dla koncepcji i praktyki geopolitycznej Stalina, pozytywna odpowiedź. Tak jest – Rosja może sprostać temu wyzwaniu, może być samotnym Atlasem, podtrzymującym przyszłe niebo komunizmu. Dlaczego? Bo jest dostatecznie silna. Siła, potęga Rosji staje się w takim rozumowaniu absolutnie najważniejsza. Tę siłę rozpatruje Stalin na dwóch płaszczyznach. Pierwszą tworzy sama przestrzeń, wielkość terytorialna, głębia strategiczna Rosji: „Rosja jest niezmierzonym, ogromnym krajem, na którego terytorium można długo się utrzymać, cofając się w razie porażki w głąb kraju, aby stanąwszy na nogi, znów przejść do ofensywy”. Gdyby Rosja była np. tak małym krajem jak Węgry, daje przykład Stalin, „to wątpliwe, czy utrzymałaby się tak długo jako kraj socjalistyczny”. Wielkość Rosji staje się zatem gwarancją przetrwania socjalizmu. Ale nie sama tylko przestrzeń, nie do zdobycia dla przeciwników. Drugą okolicznością kluczową dla powodzenia Rosji oraz idei, którą samotnie reprezentuje, jest wyjątkowa skala posiadanych przez nią zasobów naturalnych. Nie tylko pozwala to Rosji znieść wszelkie próby blokady, narzucane jej przez zewnętrznych wrogów, ale daje jej do ręki potężną broń ofensywną: to zachodni imperialiści potrzebują rosyjskich surowców i będą o nie żebrać. To są, jak to określił Stalin, warunki stałe, „konieczne dla istnienia i rozwoju Rosji sowieckiej”. Wskazywał jednak również na warunki zmienne, które już zależą od zapobiegliwości jej kierownictwa politycznego. Owa zapobiegliwość musi się wyrażać w tworzeniu „rezerw bojowych”. To jest „zagadnienie decydujące”. Zastanawiając się nad tym zagadnieniem, Stalin wymienił najważniejsze atuty, które trzeba gromadzić i wykorzystywać. Armia Czerwona jest pierwszym z nich. „Rezerwy Rosji – to przede wszystkim Armia Czerwona”. Na drugim miejscu, ale to ważne, że dopiero na drugim, jako owe rosyjskie rezerwy wymienione zostają „ruchy rewolucyjne na Zachodzie, które w miarę rozwoju przechodzą w rewolucję socjalistyczną”. Trzeci i ostatni rezerwuar możliwości Rosji sowieckiej wskazuje Stalin w „rosnącym fermencie na Wschodzie oraz w koloniach i półkoloniach ententy, który przechodząc w jawny ruch rewolucyjny o wyzwolenie krajów Wschodu z jarzma imperializmu, zagraża entencie pozostaniem bez źródeł surowca i paliwa”.

Swoją niezwykle spójną, realistyczną strategię, wynikającą z kalkulacji czynników geopolityki, potencjału ekonomicznego i sił militarnych – własnych oraz przeciwnika – Stalin kończył logicznie z niej wynikającym apelem. Po pierwsze: „wzmacniać i hartować Armię Czerwoną”; po drugie – „udzielić pełnego poparcia socjalistycznej rewolucji na Zachodzie”; po trzecie – „poprzeć ze wszystkich sił, wszystkimi sposobami kraje Wschodu, walczące przeciwko entencie o swoje wyzwolenie”.

Termin „kraje Wschodu” obejmował w tej analizie naturalnie nie tylko obszary Azji, powszechnie utożsamianej ze Wschodem, lecz także kolonie w Afryce czy nawet w Ameryce Łacińskiej. Jak już wspomnieliśmy, Stalin nie uchylił się od wyjaśnienia widocznej różnicy między podejściem do sprawy wyzwolenia tych krajów a podejściem do kwestii ewentualnej niepodległości nierosyjskich „kresów” od imperialnego centrum Rosji. Wyjaśnił tę różnicę w napisanej w październiku 1920 r. przedmowie do zbioru artykułów o kwestii narodowej. Jak stwierdził, podstawą jego analizy jest „nierozerwalny związek kwestii narodowej z zagadnieniem władzy”. Władza – to jest rdzeń myślenia o polityce. A skoro tak, to odrywanie „kresów” od Rosji można nazwać „kontrrewolucyjną imprezą”. Komisarz ludowy do spraw narodowości podsumowywał swoje wywody autorytatywnym orzeczeniem: „Jesteśmy przeciw oderwaniu kresów od Rosji, albowiem oderwanie oznacza w tym wypadku imperialistyczną niewolę kresów, osłabienie rewolucyjnej potęgi Rosji, wzmocnienie pozycji imperializmu. […] Właśnie dlatego komuniści, walcząc o oderwanie kolonii od ententy, nie mogą jednocześnie nie walczyć przeciwko oderwaniu kresów od Rosji. Tak więc zagadnienie oderwania rozwiązuje się w zależności od konkretnych warunków międzynarodowych, w zależności od interesów rewolucji”. Owe interesy utożsamione zostały z Rosją sowiecką, a sposób ich wyrażania i obrony – z władzą, z respektem, który budzi jej siła, ze strachem nawet przed tą władzą. Stalin tego nie ukrywał. Z dumą deklarował w trzecią rocznicę przewrotu bolszewickiego, 6 listopada 1920 r., że wreszcie „zaczęto obawiać się Rosji, czując, że w postaci Rosji rośnie ogromne socjalistyczne państwo ludowe, które nie pozwoli się skrzywdzić”. Mówił to już w Baku, stolicy jednego z „kresów” niedawno przyłączonych (Azerbejdżan) i punkcie wypadowym do bliskich już „wyzwolenia” dwóch kolejnych okrain – Armenii i Gruzji. I tu właśnie, znad brzegu Morza Kaspijskiego, z przedpola Kaukazu, z geopolitycznej perspektywy Heartlandu, Serca Lądu, z centrum Eurazji, rewolucyjnego imperium Rosji rzucał Stalin pyszne słowa, parafrazę Lutra: „Tu stoję, na granicy między starym światem, kapitalistycznym, a nowym – socjalistycznym, tu, na tej granicy, jednoczę wysiłki proletariuszy Zachodu z wysiłkami chłopstwa Wschodu w celu zburzenia starego świata. Tak mi dopomóż, boże historii”.

Klęska Armii Czerwonej pod Warszawą odsunęła urzeczywistnienie snu gospodarzy „czerwonego” Kremla o dojściu Armii Czerwonej do Berlina, o sowietyzacji całej Europy, a przynajmniej wschodniej. Nie było już mowy – przez następne 20 lat – o sowieckich Czechosłowacji, Węgrzech, Rumunii, w mocy pozostały traktaty pokojowe bolszewików z „burżuazyjnymi” rządami małych republik bałtyckich. System wersalski został na blisko dwie dekady ocalony. Wraz z nim ocalała szansa niepodległego (od „czerwonej” Moskwy) rozwoju Europy Środkowo-Wschodniej. Przynajmniej jej części i przynajmniej na pewien czas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

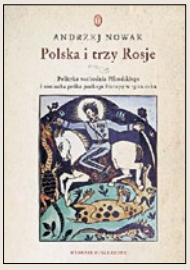

Tekst jest fragmentem 6 rozdziału książki prof. Andrzeja Nowaka „Polska i trzy Rosje. Polityka wschodnia Piłsudskiego i sowiecka próba podboju Europy w 1920 roku” (Wydawnictwo Literackie, 2021). Śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl ec86032006

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Niedoszły Führer

Elity III Rzeszy obfitowały w postacie groteskowe. W tym towarzystwie zbrodnicza groza mieszała się z tragikomedią. Rozwrzeszczany kuternoga Joseph Goebbels. Metroseksualny, zniewieściały tłuścioch Hermann Göring. Sam Adolf Hitler – zwłaszczcza podczas płomiennych przemówień – sprawiał wrażenie obłąkańca. I wreszcie Heinrich Himmler. Niepozorny człowieczek o aparycji buchaltera lub urzędnika pocztowego, który kierował najbardziej zbrodniczymi i krwiożerczymi instytucjami III Rzeszy: gestapo i SS. Patrząc dziś na jego zdjęcia, trudno uwierzyć, że ciąży na nim odpowiedzialność za zgładzenie milionów niewinnych ludzkich istnień.

Himmler opętany absurdalnymi teoriami o supremacji aryjskiej rasy, sam był daleki od rasowego ideału narodowych socjalistów. Jego astrologiczne i okultystyczne fascynacje zakrawały na absurd. A jednak dziwak ten potrafił zająć jedno z kluczowych stanowisk w Rzeszy. Bez wątpienia był to człowiek wielkich sprzeczności, o czym w pasjonujący sposób piszą w jego biografii Roger Manvell i Heinrich Fraenkel. „Choć wspomnienie jego nazwiska budziło przestrach w sercach milionów ludzi – czytamy w książce – to on sam pozostał nerwowy, wręcz bojaźliwy i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, kiedy Hitler go krytykował. Kulił się ze strachu za okopami swojej władzy i tracił wszelką zdolność do działania w konfrontacji z silniejszymi i bardziej wytrwałymi osobistościami. […] A jednak to Himmler z końcem wojny trzymał w rękach wszelkie karty atutowe, które jeszcze pozostawały nazistowskim Niemcom, i przez wielu był uznawany za pewnego sukcesora Hitlera, jeśliby ten ostatni wypadł z gry”.

Rzeczywiście Himmler z uporem poszerzał zakres swoich wpływów. Jego ambicje, by zostać „drugim Führerem”, zakończyły się jednak porażką. Gdy w kwietniu 1945 r. podjął tajne negocjacje z aliantami, Hitler uznał go za zdrajcę i pozbawił wszystkich funkcji. Po wojnie Himmler próbował się ukryć przed aliantami, ale został rozpoznany i aresztowany. Popełnił samobójstwo w niewoli. A może – jak głosi jedna z teorii – został zamordowany? ©℗

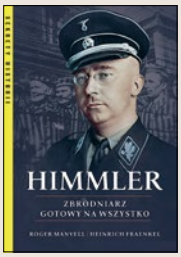

★★★★★★

ROGER MANVELL, HEINRICH FRAENKEL „HIMMLER” WYDAWNICTWO RM

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nihil novi

Przywykło się uważać demokrację szlachecką za jedną z przyczyn upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Bez wątpienia w ostatnim stuleciu istnienia państwa doszło do fatalnych wynaturzeń, ale założenia ustroju były jak najbardziej właściwe i w epoce Jagiellonów całkiem dobrze się sprawdzały. Znacznie lepiej niż zasady określone w przywileju mielnickim z 1501 r., na mocy którego władzę oddano w ręce Senatu z obieralnym królem – przewodniczącym na czele. Kryzys nastąpił bowiem niemal natychmiast, gdy panujący wówczas Aleksander Jagiellończyk udał się na dłuższy czas na Litwę. Senatorów bardziej interesowało powiększanie własnych majątków niż sprawy państwowe i nie potrafiono nawet zebrać pospolitego ruszenia, by odeprzeć spodziewany najazd Tatarów. Skutki były straszliwe, gdyż najeźdźcy wtargnęli daleko w głąb kraju, docierając aż w okolice Gór Świętokrzyskich. Czegoś podobnego nie widziano na ziemiach polskich od czasów rozbicia dzielnicowego.

Szlachta, widząc, że dostojnicy marnują podatki, odmawiała ich płacenia, a gdy król Aleksander wreszcie powrócił do Polski, podczas sejmu w Piotrkowie członkowie Izby Poselskiej zaatakowali nieudolny Senat. Przeprowadzono uchwałę zabraniającą przekazywania królewskich majątków w dzierżawę oraz zabroniono łączenia w jednym ręku posiadłości świeckich i kościelnych. Ograniczyło to znacznie dochody rodów możnowładczych, a Senat i monarcha musieli się z tym pogodzić. W innym przypadku Izba Poselska nie uchwaliłaby bowiem podatków, które były potrzebne do funkcjonowania państwa. Poza tym właściwie wszyscy zdawali sobie sprawę z konieczności zawarcia kompromisu pomiędzy szlachtą a magnaterią.

Dlatego 30 maja 1505 r., podczas sejmu w Radomiu, ustalono, że wszystkie najważniejsze sprawy miały być rozstrzygane wspólnie przez: króla, senatorów i posłów szlacheckich. Konstytucję tę nazwano nihil novi, czyli nic nowego bez wspólnej zgody. Oznaczało to koniec rządów Senatu i początek demokracji szlacheckiej, a Polska właściwie stała się republiką z obieralnym królem przypominającym dożywotniego prezydenta i premiera w jednej osobie. W tej sytuacji Izba Poselska sprawowała kontrolę nie tylko nad władcą, lecz także nad Senatem, dzięki czemu państwo nie było uzależnione od kaprysów i ambicji króla czy możnowładców. System ten funkcjonował całkiem sprawnie jeszcze w pierwszej połowie XVII w. i można tylko żałować, że nie przetrwał dłużej. ©℗

eprasa.pl ec86032006

WŁĄCZ RMF Classic

I ZMIEŃ SWÓJ ŚWIAT

NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA
– GDZIEKOLWIEK JESTEŚ

rmfclassic.pl

epinsa.pl ec86032006

Z Jeanem-Pierre'em Fabre-Bernadakiem, autorem francuskiego „listu generałów", w którym emerytowani wojskowi zaapelowali do władz o lepszą ochronę obywateli i przestrzegli przed ryzykiem wojny domowej
rozmawia Olivier Bault

Polska pokazuje nam drogę

OLIVIER BAULT: Panie kapitanie, opublikowany 14 kwietnia list, który powstał z pana inicjatywy, ostrzegł władze przed islamizacją kraju, wskazał na zagrożenie rdzennych Francuzów i wypierania w kraju tradycyjnych wartości podzielanych przez francuskie społeczeństwo. Podpisało go tysiące emerytowanych wojskowych, w tym 60 generałów, ale także niektórzy wojskowi w służbie czynnej. Spowodowało to efekt kuli śnieżnej. Opublikowane zostały kolejne listy otwarte, w tym nowy list otwarty oficerów w służbie czynnej, jako wyraz poparcia dla pierwszego listu, którego był pan redaktorem. Rząd francuski oraz jego lewicowa opozycja, w przeciwieństwie do opozycji prawicowej, mówią o chęci przeprowadzenia puczu, która ma rzekomo ujawniać się w treści tych otwartych listów, przestrzegających przed ryzykiem wojny domowej. Czy duch buntu ogarnął francuską armię? Czy wojskowy zamach stanu byłby we Francji możliwy?

KPT. JEAN-PIERRE FABRE-BERNADAC: Reakcja na nasz list jest komiczna, a ci ludzie go nie przeczytali. W liście, który napisałem, mówię coś dokładnie przeciwnego. Mówię, że sytuacja Francji jest dziś dramatyczna, a nawet tragiczna. W momencie, gdy politycy nie chcą uznać, że tak właśnie jest, idziemy prostu ku interwencji armii, do której będą musieli się uciec. To dlatego w moim liście używam terminu „misja". Termin „misja" oznacza, że decyzję podejmie nie armia, ale władza polityczna.

Co skłoniło pana oraz oficerów sygnatariuszy listu do jego opublikowania teraz, a nie wcześniej? Czyżby prezydent Macron ponosił większą odpowiedzialność za ten rozpad Francji niż jego poprzednicy?

Macron nie ponosi większej odpowiedzialności niż inni. Jest spadkobiercą ludzi, którzy tę odpowiedzialność ponoszą, i sam stał się współodpowiedzialny za sytuację. Problem polega na tym, że ma się wrażenie, że ludzie ci nie mówią prawdy. Rzeczywistość ich nie interesuje. Dla nich najważniejsze są kamuflaż i zamiatanie problemów pod dywan. „Polityczna poprawność" jest wszechobecna w naszym kraju i zagłusza prawdę. My chcieliśmy

eprasa.pl ec86032006

Protesty przeciw francuskiej ustawie o bezpieczeństwie globalnym. Paryż, 28 listopada 2020 r. FOT. GETTY IMAGES

powiedzieć prawdę. Chcieliśmy wyjaśnić, w jaki sposób przedmieścia stały się strefami bezprawia w 450 czy 500 miejscach we Francji, i to nie tylko w wielkich miastach, lecz także w miasteczkach. I mówimy to także ze względu na ludzi, którzy tam mieszkają. Nie chodzi o oskarżanie muzułmanów, ale o zadenuncjowanie islamistów. Muzułmanie, którzy żyją w tych strefach, doświadczają jeszcze większych problemów niż my. Potrzeba nam dziś stanowczości i umiejętności stawiania wymagań, których nie miały rządy od 40 lat.

W swoim liście przestrzegają państwo przed ryzykiem wojny domowej we Francji. Nie są państwo pierwsi, ponieważ niedawno słyszeliśmy podobne ostrzeżenia z ust gen. de Villiers, byłego szefa sztabu generalnego armii, a przed nim Gérarda Collomba, ministra spraw wewnętrznych, czy też wyrażone na piśmie przez generała żandarmerii Bertranda Soubeleta, który stwierdził, że żandarmi są bardzo zaniepokojeni istnieniem nielegalnych zapasów broni w obrębie francuskich dzielnic etnicznych. Sam jest pan oficerem żandarmerii na emeryturze. Czy uważa pan, że istnieje realne ryzyko wojny domowej we Francji?

Bardziej niż wojna domowa w ścisłym tego słowa znaczeniu grozi nam wojna między dwiema kulturami, wojna między dwiema różnymi populacjami. Pomiędzy Francją, którą nazywamy „Francją peryferii" z jednej strony, a „Francją przedmieść", w której pewna aktywna mniejszość czuje się jak ryba w wodzie, ponieważ większość jest zastraszona. Na przedmieściach mamy do czynienia z rzeczywistością, która powinna skłonić państwo francuskie do reakcji, ale to się nie dzieje. Zagrożenie to ryzyko wybuchu konfliktu pomiędzy dwiema społecznościami.

Aby dostrzec ten brak poczucia bezpieczeństwa, który zaczyna dominować we Francji, należy pozostawić z boku wszelką ideologię, która doprowadziła do tej fatalnej sytuacji, te struktury „rasializmu", które demoralizują Francję. Brak bezpieczeństwa to nie tylko akty agresji, zabójstwa i gwałty, lecz także codzienna przestępczość. To zniszczony samochód, to kradzież hulajnogi elektrycznej, to uszkodzona skrzynka na listy, to ludzie w blokach, którym mówi się, że „mają się zamknąć", bo na korytarzach i na parkingach, pod nosem i na oczach mieszkańców, działają bandy handlarzy narkotyków, które tych mieszkańców terroryzują. To jest ten problem. To ta gangrena, która toczy tkankę społeczną i zajmuje kolejne jej fragmenty. Ludzie nie mogą już tego znieść. To prawdziwa bomba z opóźnionym zapłonem, która może w każdej chwili wybuchnąć. Państwo powinno to sobie uświadomić, a sam pan widział, jaka była reakcja na nasz list. Ostatecznie to my zostaliśmy oskarżeni, a nie przestępcy i prowodyrzy zamieszek.

W liście poparcia dla pańskiego listu, również podpisanego przez setki tysięcy cywilów, oficerowie w czynnej służbie porównują sytuację we Francji do tej, którą znają z „Afganistanu, Mali, Afryki Środkowej i innych krajów". To porównanie Francji do państw, o których mówi się, iż są państwami „upadłymi", nie wydaje się panu mimo wszystko przesadzone? Z punktu widzenia krajów byłego Bloku Wschodniego, takich jak Polska, należy obawiać się, że niektórzy sojusznicy z NATO na Zachodzie właśnie stają się państwami upadłymi?

Powtarzam jeszcze raz, chodzi o sygnał alarmowy. Jest oczywiste, że nie jesteśmy jeszcze w takiej sytuacji, ale ku niej zmierzamy. Gdy przyjrzymy się wzrostowi zagrożeń na przestrzeni ostatnich 20 lat, okazuje się, że jest on stały, a nawet przyspiesza w ostatnim czasie. Nasi koledzy w służbie czynnej próbują być przewidujący, tak jak my

eprasa.pl ec86032006

w opublikowanym przez nas liście, który zredagowałem po to, by rząd wziął pod uwagę opisane okoliczności. Czy to w końcu uczyni? Trzeba ratować Francję dzisiaj. Trzeba ratować naród francuski, który ma już dość, który dochodzi do kresu swojej wytrzymałości. To, czego nam potrzeba w tej chwili, to wspólna decyzja, że zmierzymy się z wrogiem i że go pokonamy. Wróg ten przybiera dwie formy: formę ideologii „dekonstruktyzmu" czy „rasializmu" oraz agresywną formę, której przejawem są zarówno islamizm, jak i działania band hołoty z przedmieść, bardzo często powiązane ze sobą. Gdzie islamiści zaopatrują się w broń, jeśli nie u band trudniących się handlem narkotykami? Wszyscy dobrze o tym wiedzą, ogromne ilości broni są dziś w obiegu na naszych przedmieściach.

Jakie są pana zdaniem główne przyczyny pogorszenia się sytuacji: imigracja, muzułmański radykalizm, słabość państwa? Czy francuskie problemy nie są charakterystyczne dla każdego społeczeństwa wielokulturowego?

Chodzi o wszystkie te przyczyny, które pan wymienił. Nie ma przyszłości bez uświadomienia sobie tego w którymś momencie. Moim zdaniem ważne są trzy elementy, które mogą zatrzymać tę degrengoladę: pierwszy to odnalezienie wartości. Tą wartością dla mnie jest przede wszystkim mój kraj. Powstawał krok po kroku, a dzięki temu procesowi stał się jednym z najważniejszych na świecie i pozostawał nim przez długi czas. Mamy kulturę, język, bogatą historię. Francuzi powinni to sobie uświadomić i muszą się obudzić. Francuzi muszą stać wyprostowani, a nie leżeć. Setki tysięcy ludzi mówią nam: „Nie odpuszczajcie, nie wierzymy już politykom, ale jeszcze ufamy armii, ponieważ armia jest czysta, jest wzorcowa". I tak dochodzimy do drugiego elementu, obok potrzeby odnalezienia wartości, do potrzeby wzorca. Bez dobrego przykładu ludzie nie mogą nikomu ufać. A dziś brak wzorca. Ostatnią rzeczą jest odwaga, którą ja, w języku wojskowym, nazywam „posiadaniem jaj". To jest kwestia fundamentalna, gdyż nie znajdujemy już odwagi w części struktur politycznych, i należy ją Francji przywrócić.

Gdy w 2015 r., po wielkim kryzysie imigracyjnym, kraje Grupy Wyszehradzkiej odrzuciły kwoty migrantów narzucane przez Unię Europejską, argumentowały to koniecznością obrony swojej cywilizacji i kultury chrześcijańskiej przed napływem muzułmanów, ale również obowiązkiem zapewnienia bezpieczeństwa oraz obawą o wzrost zagrożenia terrorystycznego. Biorąc pod uwagę pogarszającą się sytuację we Francji, czy uważa pan, że miały rację?

Uważam, że kraje te miały absolutną rację. Całkowicie je popieram. Popieram ich działanie i mówię: „Nie odpuszczajcie. Nie odpuszczajcie, bo to wy pokazujecie nam drogę. Pokazujecie nam drogę, ponieważ zaznaliście, w okresie komunizmu, czym jest jarzmo wroga". My nie przeżywaliśmy tych trudnych momentów, a ponieważ ich nie doświadczyliśmy, nie zrozumieliśmy, że pewnego dnia również nas mogą spotkać trudności. Ja osobiście gratuluję krajom, które miały odwagę powiedzieć: „Nie".

Wydaje się, że trochę zna pan Polskę. Co myśli pan o sytuacji w Polsce, gdyby porównać ją do aktualnej sytuacji we Francji?

Słabo znam aktualną sytuację w Polsce, ale chciałbym wyrazić moją miłość dla Polski i Polaków. Poznałem Polaków w trudnych czasach. Byłem w Gdańsku w czasie pierwszych zamieszek w 1970 r. i chciałbym opowiedzieć o czymś, co naznaczyło całe moje życie. Po wydarzeniach w grudniu 1970 r., gdy było już kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych, poszedłem na pasterkę i oczywiście było w kościele tyle ludzi, że niektórzy stali na zewnątrz. Byłem wśród nich, pamiętam, że był śnieg, i gdy w pewnym momencie należało uklęknąć, ludzie uklękli i zaczęli śpiewać. Ja, który wiedziałem, jak beztrosko żyje Francja w tamtym czasie, pojąłem, czym jest żarliwość i wiara, zrozumiałem, czym jest miłość do swojego kraju. Był to bowiem sposób, aby zakomunikować ówczesnej komunistycznej władzy: „Będziemy stawiać opór, zostaniemy tu". To było wspaniałe i chciałbym, korzystając z okazji, dziś jeszcze raz podziękować Polakom za wszystko, co zrobili, za wszystko, czego nas nauczyli, i powiedzieć im: „Walczcie dalej, bo jesteście narodem, który łatwo nie odpuszcza". Często oglądam, co się dzieje dziś w Polsce, i popieram siły narodowe, polskie siły patriotyczne i wzruszam się, gdy widzę Marsz Niepodległości, który odbywa się 11 listopada na dowód tego, że Polska wciąż stoi dumnie wyprostowana, że jest wieczna. Polska będzie wieczna, ponieważ jest symbolem.

Jeśli sytuacja we Francji będzie się pogarszała, to pogorszy się również w całej zachodniej Europie. Postawa i determinacja krajów Europy Wschodniej będą miały decydujące znaczenie

W Polsce uważa się, że zagrożeniem jest Rosja, stąd przywiązanie Polski do NATO oraz do sojuszu transatlantyckiego, które mają być gwarantami jej bezpieczeństwa. Czy możemy sobie tymczasem wyobrazić sytuację, że to Francja, pogrążona w wojnie domowej podsycanej z zewnątrz przez jakiś byt będący uosobieniem Państwa Islamskiego, wzywałaby na pomoc swoich sojuszników z NATO?

Jeśli sytuacja we Francji będzie się pogarszała, to pogorszy się również w całej zachodniej Europie. To nie będzie tylko problem Francji. Jeśli jutro sytuacja przerodzi się w swego rodzaju stan wojny czy wielkiego konfliktu, to to samo będzie się działo we Włoszech, w Niemczech, Hiszpanii czy Skandynawii. Oczywiste jest, że obserwować będziemy efekt kuli śnieżnej. Na dodatek w tle będziemy mieli politykę niektórych krajów arabskich oraz Turcji. To może być jak pożar i to dlatego postawa oraz determinacja krajów Europy Wschodniej będą miały decydujące znaczenie. Być może w tym momencie to one pospieszą nam na ratunek, nie wiem. Jest jednak dla mnie oczywiste, że to nie tylko Francja będzie w takiej sytuacji. Jeśli jutro Francja znajdzie się w sytuacji grożącej wybuchem konfliktu, to dotyczyć to będzie całej Europy Zachodniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiad na język polski przetłumaczyła Agnieszka Golańska-Bault.

Jean-Pierre Fabre-Bernadac *jest emerytowanym kapitanem francuskiej żandarmerii i oficerem wojsk lądowych, autorem głośnego „listu generałów" opublikowanego 14 kwietnia br., przestrzegającego przed ryzykiem wojny domowej. Prowadzi blog wojskowych Place d'Armes.*

eprasa.pl ec86032006

ŁUKASZENKA POZWALA STRZELAĆ

Prezydent Białorusi podpisał nowelizację ustawy „o zapewnieniu bezpieczeństwa narodowego". Zmiany? Funkcjonariusze MSW będą mogli zastosować sprzęt bojowy i specjalny podczas protestów czy manifestacji. W dodatku ustawa zwolni milicjantów z odpowiedzialności, jeśli użyją broni w sytuacji, gdy będzie to „zgodne z wymogami aktów prawnych regulującymi działalność tych organów". Agencja Interfax.by objaśniła zmiany skrótowo: „Łukaszenka pozwolił milicji strzelać do protestujących".

FOT. SPUTNIK RUSSIA/EAST NEWS

WŁADZA ŚCIGA PRZEZ DOMOFON

Wiele osób kupiło sobie z Amazona domofon. Z kamerą. Szpiegowanie dostali gratisowo. Jak bowiem ujawnił jeden z inżynierów tej firmy (sprawę opisał „The Guardian"), do obrazu z prywatnych kamer domofonu mają dostęp w USA organy ścigania. Z danych z raportów wynikać ma, że w ubiegłym roku i w pierwszym kwartale tego roku organy ścigania złożyły 22 tys. wniosków o dostęp do materiałów zarejestrowanych przez kamery tej firmy założone w prywatnych domach.

FRANCUSKA POLICJA CHCE OCHRONY

Zwykle to jest tak, że policja chroni ludzi. Tymczasem we Francji policjanci domagają się większej ochrony... dla siebie! Funkcjonariusze pojawili się na wielkim proteście przed francuskim parlamentem, bo w niektórych obszarach kraju już boją się wykonywać swoje obowiązki. Policyjne związki zażądały od władz podniesienia kar za atakowanie funkcjonariuszy, bo te ataki zdarzają się już we Francji codziennie.

16 LAT W GUANTANAMO ZA NIC

Po 16 latach więzienia w Guantanamo na Kubie Amerykanie wypuszczą na wolność 73-letniego Pakistańczyka. Saifullah Paracha siedział tam, choć oficjalnie nie był nigdy oskarżony o przestępstwo, a jedynie podejrzany o związki z Al-Kaidą. Pomógł mu przypadek. Na podstawie tych samych zeznań, przez które trafił do Guantanamo, zatrzymano też jego syna. Po ponownym procesie sędzia uznał jednak, że syn jest niewinny, a zeznania niewiarygodne.

EKSCYTUJĄCE ZDJĘCIE NA TORACH

Pewien 20-latek z Holandii zapragnął wykonać „ekscytującą" fotografię. W tym celu ustawił swój samochód na przejeździe kolejowym i czekał na nadjeżdżający pociąg. Po wykonaniu zdjęcia wsiadł do auta, ale nie zdołał go uruchomić. Dziewczyna, którą wiózł jako pasażerkę, zdołała uciec. Fotograf amator zginął. Zdjęcia nie ujawniono w mediach. Nie wiadomo, czy naprawdę było „ekscytujące". ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ameryka walczy o życie

Chociaż dziesiątki tysięcy Amerykanów co roku biorą udział w Marszach dla Życia, to w USA w wielu klinikach zabicie nienarodzonego dziecka możliwe jest nawet wówczas, gdy przy odpowiednim wsparciu medycznym może już ono przeżyć poza łonem matki. Pod tym względem Ameryka nie różni się od Korei Północnej, która również pozwala na legalne przerywanie ciąży nawet po 20. tygodniu, a w niektórych przypadkach nawet w 30. tygodniu. Dla przypomnienia: serce dziecka zaczyna bić już w szóstym tygodniu.

Aborcja w całej Ameryce jest legalna od 1973 r. Sąd Najwyższy w sprawie Roe vs. Wade orzekł wówczas, że prawo kobiety do zabijania swych nienarodzonych dzieci wynika z praw gwarantowanych przez konstytucję. Obrońcy życia od lat próbowali doprowadzić do zmiany tego wyroku. I wreszcie jest na to szansa. Najważniejszy sąd w Ameryce – wbrew apelom kliniki aborcyjnej – w ubiegłym tygodniu zgodził się rozpatrzeć sprawę aborcyjną z Missisipi. Prawo uchwalone w tym stanie w 2018 r. zakazuje aborcji po 15. tygodniu ciąży, z wyjątkiem „nagłych przypadków medycznych lub poważnych nieprawidłowości płodu". Zostało ono jednak zawieszone przez sądy apelacyjne. Władze Missisipi zwróciły się więc z wnioskiem do Sądu Najwyższego o ponowne zbadanie sprawy.

Dzięki wprowadzeniu do Sądu Najwyższego trojga konserwatywnych sędziów obrońcy życia mają szansę na obalenie wyroku z 1973 r. Ogłoszenie orzeczenia spodziewane jest w przyszłym roku. Już teraz „demokraci" szukają więc sposobu na to, aby poszerzyć o nowych lewicowych sędziów obecny skład Sądu Najwyższego, i to mimo że jest on dziewięcioosobowy od ponad 150 lat. Oby ten szwindel nie udał im się przed przywróceniem ochrony nienarodzonych dzieci. ©℗

eprasa.pl ec86032006

Piotr Włoczyk

Mimo ostrej krytyki z zagranicy duńskie władze coraz bardziej przykręcają śrubę tym imigrantom, którzy nie chcą się integrować

FOT. ADOBE STOCK

Dania na wojnie z gettami

Przez zbyt wiele lat przymykaliśmy oko i podjęliśmy działania dopiero wtedy, gdy problemy z integracją stały się zbyt duże" – przyznał niedawno szef duńskiego MSW Kaare Dybvad. Minister podkreślił przy tym, że zbyt wielu imigrantów „niezachodniego pochodzenia" przyczynia się do powstawania „kulturowych i religijnych społeczeństw równoległych". Co ciekawe, polityk ten nie jest członkiem partii prawicowej ani nawet centrowej, lecz należy do rządzącej Danią od 2019 r. socjaldemokracji. Pod tym względem duńska lewica diametralnie różni się od mainstreamowych partii lewicowych na zachodzie Europy. Obecny rząd nie tylko kontynuuje restrykcyjną politykę wobec imigrantów prowadzoną już przez centroprawicowy gabinet Larsa Løkke Rasmussena, lecz także można wręcz odnieść wrażenie, że idzie znacznie dalej w kwestii przeciwdziałania tworzeniu się „społeczeństw równoległych".

PRZYMUSOWO DO ŻŁOBKA

Szczególnie dużo krytyki spada na duński rząd za bardzo inwazyjną politykę prowadzoną w gettach imigranckich. Socjaldemokraci ogłosili niedawno, że w ciągu najbliższych 10 lat zamierzają ograniczyć liczbę osób „niezachodniego" pochodzenia żyjących na takich osiedlach do 30 proc. W duńskich mediach najgłośniej jest w tym kontekście o dzielnicy Mjølnerparken w Kopenhadze, która zupełnie oficjalnie uznawana jest przez władze za „getto". Spośród mieszkających tam ok. 2,5 tys. ludzi ponad 90 proc. to imigranci w pierwszym lub drugim pokoleniu, większość z Afryki i Bliskiego Wschodu.

Listę takich obszarów duński rząd prowadzi już od 2010 r. „Gettami" są według klasyfikacji władz obszary miejskie zamieszkiwane przez ponad tysiąc osób, spośród których ponad połowa ma „niezachodnie" pochodzenie. Aby jednak dany fragment miasta trafił na listę gett, konieczne jest jeszcze spełnienie co najmniej dwóch spośród czterech dodatkowych kryteriów: bezrobocie wyższe niż 40 proc., co najmniej 60 proc. mieszkańców nie ma przynajmniej zawodowego wykształcenia, wskaźnik przestępczości jest trzykrotnie wyższy niż średnia krajowa, a dochód na mieszkańca jest niższy niż 55 proc. średniej w danym regionie. Obecnie na tej liście znajduje się 15 gett, w których żyje – według danych duńskiego MSW – ponad 70 tys. osób. 25 innych obszarów uznawanych jest z kolei za zagrożone otrzymaniem takiego statusu. Lista gett aktualizowana jest każdego roku w grudniu.

Konsekwencje wpisania danego obszaru na listę gett są daleko idące. Jeżeli do tego dochodzi, to mieszkające

eprasa.pl ec86032006

tam dzieci muszą już od pierwszego roku życia być wysyłane do placówek opiekuńczych (żłobków lub przedszkoli) i spędzać tam tygodniowo co najmniej 25 godzin, podczas których będą uczyły się języka duńskiego, a także będą przesiąkały kulturą tego kraju. Jeżeli jednak rodzice nie będą chcieli się podporządkować temu zarządzeniu, to grozi im odebranie świadczeń społecznych. Co ważne – w żłobkach i przedszkolach nie może być więcej niż 30 proc. dzieci „niezachodniego" pochodzenia.

Przestępcy mieszkający na terenie uznanym za „getto" są karani ostrzej, a także przewiduje się zbiorową odpowiedzialność za notoryczne wchodzenie w konflikt z prawem: w takim przypadku cała rodzina kryminalisty zostaje przesiedlona przymusowo gdzie indziej. Jednak wcale nie trzeba być w kartotece policyjnej, by trafić na listę osób, które muszą się wyprowadzić. Duńczycy likwidują coraz więcej mieszkań komunalnych na obszarach uznanych za getta i przesiedlają ich mieszkańców do innych dzielnic, rozpraszając ludność „niezachodniego pochodzenia" wśród „zwykłych" Duńczyków.

Takie przepisy siłą rzeczy nie mogą się podobać w środowiskach, gdzie migracja uważana jest niemal za prawo człowieka. Michelle Bachelet, była prezydent Chile, która sprawuje obecnie urząd Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Praw Człowieka, stwierdziła, że duńskie przepisy są „bardzo niepokojące i niosą ze sobą ryzyko wzrostu dyskryminacji rasowej przeciw osobom o imigranckim pochodzeniu, jeszcze bardziej zapędzając ich do »getta«. Przymusowa asymilacja grozi napędzaniem uprzedzeń rasowych, ksenofobią i nietolerancją".

„Mieliśmy już duńskiego ministra, który powiedział, że Mjølnerparken nie podlega duńskiej konstytucji, tylko szariatowi" – komentuje Marie Northroup, duńska aktywistka opiekująca się imigrantami. – To w niczym nie przypomina rzeczywistości: to po prostu napuszczanie jednych na drugich i dyskryminacja".

Jeszcze większa fala krytyki spadła na duński rząd za zapowiedź deportacji części syryjskich uchodźców (w sumie w Danii żyje ok. 35 tys. uchodźców z Syrii). Kopenhaga planuje odesłanie kilkuset z nich do Damaszku, który od niedawna uznaje za obszar bezpieczny.

„Dania była otwarta i uczciwa od pierwszego dnia. Wyjaśniliśmy syryjskim uchodźcom, że ich pozwolenie na pobyt jest tymczasowe. Musimy zapewnić ochronę imigrantom tak długo, jak to jest potrzebne, ale kiedy warunki w kraju, z którego przybywają, poprawią się, powinni oni wrócić do domu i tam ponownie rozpocząć nowe życie" – w ten sposób falę krytyki komentował duński minister imigracji i integracji Mattias Tesfaye. Ten socjaldemokratyczny polityk dodał przy okazji, że „Dania nie może się dostosowywać do islamu. To islam musi się dostosować do Danii".

Jakby tego było mało, to skrajnie lewicowi aktywiści alarmują, że duńskie władze negocjują właśnie z Rwandą utworzenie w tym afrykańskim kraju ośrodka dla uchodźców, którzy oczekiwaliby tam na decyzję w sprawie ewentualnego osiedlenia w Danii.

KOPIOWANIE PROGRAMU

Jak to się właściwie stało, że duńska socjaldemokracja przejęła od prawicy tak restrykcyjny program wymierzony w imigrantów, którzy nie chcą się wtopić w tamtejsze społeczeństwo? Odpowiedzią są oczywiście nastroje wyborców, które bardzo odróżniają Duńczyków od innych nacji zachodnioeuropejskich. W ostatnich wyborach parlamentarnych, które odbyły się w 2019 r., 80 proc. wyborców postawiło na partie, które bardzo jednoznacznie opowiadały się za likwidowaniem gett. Socjaldemokraci rozumieli, że ponieważ temat ten jest tak ważny dla przytłaczającej większości wyborców, to muszą go umieścić w swoim programie. Inaczej czekałaby ich marginalizacja. W ten sposób lewica odebrała znaczną część politycznego paliwa Duńskiej Partii Ludowej, która przed rokiem 2019 doskonale odczytała nastroje społeczne, opowiadając się za ograniczeniem imigracji, walką z patologiami w gettach i przeciwdziałaniem islamizacji.

– Wbrew temu, co się próbuje nam wmówić, ludzie z tego kręgu kulturowego nigdy nie będą wsparciem dla naszej gospodarki. Wręcz przeciwnie, zawsze będą obciążeniem. Mamy w Danii wystarczająco dużo problemów z tymi imigrantami, którzy już są u nas. Dlatego potrzebujemy czegoś na kształt moratorium na przyjmowanie imigrantów. W innym przypadku nasze społeczeństwo ulegnie rozkładowi – powiedział „Do Rzeczy" Kenneth Kristensen Berth, polityk Duńskiej Partii Ludowej, w latach 2015–2019 zasiadający w Folketingu (tamtejszym parlamencie). – Od lat 80. mamy do czynienia w naszym kraju z masową imigracją. Żyje już u nas ćwierć miliona muzułmanów (ok. 5 proc. ludności Danii), którzy tworzą równoległe społeczeństwo zamykające się w gettach. W tych miejscach nawet policji trudno jest podejmować interwencje! Przypomnę tylko, że dwie trzecie mieszkających u nas muzułmanów nie pracuje. Są oni 2,5–3 razy bardziej skłonni do popełniania przestępstw niż reszta naszego społeczeństwa. Tak wyglądają oficjalne dane statystyczne.

W liczącej 5,8 mln mieszkańców Danii mieszka ok. 800 tys. imigrantów, z czego ponad pół miliona to przybysze z państw „niezachodnich", głównie z Bliskiego Wschodu. Wygląda na to, że tak restrykcyjna polityka imigracyjna działa odstraszająco. Z roku na rok ubywa bowiem chętnych do osiedlania się w tym kraju. O ile w 2015 r. do duńskiego MSW wpłynęło ponad 21 tys. wniosków imigracyjnych, o tyle w zeszłym roku było ich 10 razy mniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

FOT. HALIFAX INTERNATIONAL SECURITY FORUM/WIKIPEDIA

Z Władimirem Miłowem, rosyjskim opozycjonistą, współpracownikiem Aleksieja Nawalnego
rozmawia Maciej Pieczyński

Rosji potrzebna jest dekomunizacja

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Po to, aby kontynuować działalność, szczególnie na tak ważnym odcinku jak relacje międzynarodowe i sankcje [wymierzone w Putina – przyp. red.], muszę pozostać na wolności" – tak tłumaczył pan swoją emigrację z Rosji. Przekonuje pan, że skuteczną bronią przeciwko Moskwie są sankcje finansowe. Dlaczego?

WŁADIMIR MIŁOW: Moim celem jest przekonać jak największą liczbę polityków na Zachodzie, że pozostawianie agresywnej polityki Putina bez odpowiedzi to wielkie ryzyko dla wolnego świata. Podlegli Putinowi urzędnicy i oligarchowie okradają rosyjskie społeczeństwo, a tak zdobyte pieniądze ukrywają na Zachodzie, inwestując w różne aktywa, pałace, jachty, kluby piłkarskie. Na tym opiera się władza Kremla. Trzeba doprowadzić do załamania się tego systemu. Tak, aby złodziej wiedział, że nie będzie w stanie wydać tego, co ukradł, w cywilizowanym świecie. Sankcje, nałożone na Rosję za zestrzelenie malezyjskiego boeinga nad Donbasem w 2014 r., spowodowały straty wyceniane na ok. 400 mld dol. To praktycznie pozbawiło Putina możliwości kupowania wyborców. Pakiet pomocowy w ramach walki z koronakryzysem był w efekcie bardzo skromny. Sankcje utrudniły rosyjskim bankom i korporacjom dostęp do międzynarodowych rynków finansowych. Putin jednak, zamiast ustąpić, wybrał drogę eskalacji – zabijał oponentów, zamknął Nawalnego, teraz chce zabronić działalności organizacji opozycyjnych pod pozorem walki z ekstremizmem. Również niedawna koncentracja wojsk na granicy z Ukrainą pokazała, jakie są jego intencje. Putin musi wiedzieć, że jego działania nie pozostaną bez odpowiedzi. Najskuteczniej będzie uderzyć w aktywa związanych z nim oligarchów. Zresztą tych przedstawicieli putinowskiej kleptokracji nienawidzą sami Rosjanie.

Zapewne zgodnie z zasadą „dobry car – bojarzy źli". Lud zawsze dawał się przekonać, że za całe zło tego świata odpowiadają zepsute elity: w średniowieczu bojarzy, za Stalina „starzy bolszewicy", teraz – oligarchowie. Ale car, jak to car, cieszy się wysokimi sondażami.

To zależy. Wysokie sondaże mają ci, których pokazują w telewizji. Badania ukazują jednak, że całkowicie oddanych Putinowi wyborców jest bardzo mało. Ogromna większość popiera go z braku alternatywy. Przeprowadzony w lutym przez Centrum Lewady sondaż pokazuje, że większość Rosjan poniżej 40. roku życia nie chce widzieć Putina u władzy po 2024 r.

Czyli przyszłość może należeć do was, do opozycji. Tak czy inaczej, historia pokazuje, że Rosja potrzebuje rządów silnej ręki. Okresy względnej demokracji trwały krótko i zawsze kończyły się powrotem do dyktatury.

Po wojnie z Napoleonem społeczeństwo rosyjskie uświadomiło sobie potrzebę zastąpienia absolutyzmu demokracją, konstytucją, parlamentaryzmem. Tych zmian jednak nie wprowadzono, a opozycję represjonowano. Kolejne sto lat podtrzymywania scentralizowanej władzy silnej ręki doprowadziło do tragedii 1917 r. Dyktatura sowiecka szybciej by się załamała, gdyby nie boom surowcowy w epoce Breżniewa. Hiperscentralizowana władza silnej ręki jest iluzją – zawsze ostatecznie kończy się katastrofą. Rosjanie krótko mieli demokrację, ale to nie znaczy, że jej nie potrzebują, przeciwnie. To trudny system – trzeba umieć się dogadywać z ludźmi o innych poglądach, słuchać krytyki, pokojowo rozwiązywać konflikty. To męczy. Wtedy pojawia się „dobry wujek" i kusi: „Dajcie mi całą władzę, ja już zrobię porządek". W wydanej 13 lat temu broszurze „Putin. Rezultaty" wraz z Borysem Niemcowem ostrzegaliśmy, że ówczesny wzrost gospodarczy to chwilowa tendencja, bo polityka Putina w końcu zaprowadzi Rosję do ślepego zaułka. Jesteśmy bogatsi o doświadczenie, dlatego teraz wiemy, co zrobić, aby kolejny okres względnej demokracji nie zakończył się tak, jak zawsze. Rosja powinna być przede wszystkim zdecentralizowana. Więcej władzy dla samorządów!

Oddałby pan Krym Ukrainie?

Trudne pytanie. Jak powiedział Nawalny, Krym to nie kanapka. Tam żyje rosyjska ludność.

Ale aneksja Krymu była złamaniem prawa międzynarodowego.

Niewątpliwie tak. Potępiamy samą aneksję. Ale na Krymie żyje 1,5 mln posiadaczy rosyjskich paszportów. Moskwa nie może ich – ot, tak – porzucić.

eprasa.pl ec86032006

A może pan i Nawalny boicie się o swoje sondaże? Wiadomo, że Rosjanie popierają aneksję. Putin rekordowe poparcie miał właśnie po zajęciu Krymu.

Niczego się nie boimy. To jednak prawda, że społeczeństwo rosyjskie popiera przyłączenie Krymu do Rosji. Polityk, który sprzeciwia się zdaniu większości swoich rodaków, wiele ryzykuje. Gdyby ktoś w Rosji np. tuż po zwycięskich wyborach prezydenckich ogłosił, że oddaje Krym Ukrainie, w 24 godziny straciłby urząd. Mam inny pomysł, jak rozwiązać ten konflikt. Zrobiłbym tak: w ciągu 48 godzin z Donbasu i Krymu wycofują się wszystkie rosyjskie wojska i służby specjalne. Na półwyspie pozostawiłbym jedynie policję, złożoną z tamtejszych mieszkańców. Uznałbym paszporty ukraińskie. Tym samym na Krymie obowiązywałoby jednocześnie ukraińskie i rosyjskie obywatelstwo. Dzięki temu Ukraińcy nie byliby traktowani tam jako obcokrajowcy. Podjąłbym z Kijowem rozmowy o statusie półwyspu. Krym to nie tylko ziemia, lecz także ludzie, i to oni powinni decydować o swojej przynależności państwowej. Jeździłem tam kiedyś często na urlop. Od mieszkańców wiele nasłuchałem się o tym, jaka to zła jest ukraińska władza. Dziś z kolei wielu z nich jest rozczarowanych władzą rosyjską. Ponadto część mieszkańców boi się, że w przypadku ewentualnego powrotu pod zwierzchność Kijowa będzie sądzona za kolaborację z okupantem.

Dlaczego w czasie zeszłorocznych wyborów prezydenckich napisał pan: „Duda jednak wygra. (Polacy) pozostaną w łapach populistów i ciemnogrodu"?

Mam krytyczny stosunek do ultrakonserwatywnego kursu obecnej władzy w Polsce.

Ale wie pan, że PiS to najbardziej antyputinowska partia na polskiej scenie politycznej?

To nie jest jedyne kryterium. Próby budowy jednopartyjnego systemu, w Polsce czy w jakimkolwiek innym kraju, to zawsze droga do piekła. Zacytował pan jedno zdanie z długiego wywodu, w którym pokazywałem konkretne, niepokojące tendencje. Jeszcze jako uczeń nosiłem znaczek Solidarności. Polska była dla Rosji przykładem sukcesu transformacji ustrojowej. Dziś już niekoniecznie jest.

Nie da się porównać sytuacji w Polsce z systemem Putina. U nas opozycjoniści siedzą w parlamencie, nie w więzieniu.

Cieszę się, że w Polsce nawet władza konserwatywno-prawicowych populistów jest dość miękka. Silne społeczeństwo obywatelskie skutecznie sprzeciwia się próbom wprowadzenia systemu jednopartyjnego. Nie podzielam, ale rozumiem konserwatywne poglądy polityków PiS i mam nadzieję, że będą je forsować w ramach cywilizowanej, demokratycznej konkurencji. Niemniej musicie uważać. W Rosji też Putin na początku doszedł do władzy w sposób uczciwy. Nie było tak, że wyszedł na mównicę i powiedział: „A teraz ustanawiam dyktaturę". Do niemal nieograniczonej władzy zmierzał krok po kroku, czasem za pomocą wyglądających niegroźnie posunięć. Aż społeczeństwo znalazło się w pułapce.

W Polsce PiS rządzi od 2015 r. i wciąż Polacy nie wpadli w pułapkę autorytaryzmu.

I bardzo dobrze. Jesteśmy bardzo wdzięczni politykom PiS za konsekwentnie wyrażane poparcie dla idei wolności w Rosji. Mimo to jednak, słysząc, jak Bruksela potępia to, co władza w Warszawie robi z sądownictwem, coraz trudniej nam uważać Polskę za przykład sukcesu demokratyzacji. Posunięcia PiS niepokojąco przypominają nam to, co widzieliśmy u siebie.

Przejdźmy do Nawalnego. Dlaczego wrócił, wiedząc doskonale, że czeka go więzienie?

Dlatego że dla niego są rzeczy ważniejsze niż osobiste bezpieczeństwo. Nawalny bardzo lubi kontakt z narodem, ze zwykłymi ludźmi. Bez tego nie może żyć. Emigracja go męczyła. Putin chciał go odizolować od narodu. Ale też zemścić się za film o pałacu w Gelendżyku.

Film ten jednak do żadnej rewolucji nie doprowadził...

Ale zapisał się w świadomości Rosjan. Nie ma jednego złotego klucza, który zamknąłby okres władzy Putina. Trzeba działać w różnych sferach, a przede wszystkim pokazywać Rosjanom, jak ludzie Kremla ich okradają.

Jak podoba się panu polityka historyczna Putina?

Wkurza mnie. Pamiętam, jak w dobie pierestrojki z przerażeniem poznawaliśmy prawdę o Związku Sowieckim. Dziś władza broni tajnego protokołu do paktu Ribbentrop-Mołotow, usprawiedliwia stalinizm, znów kłamie, że wojna zaczęła się w 1941 r. agresją na „niewinny" ZSRS.

Rosji potrzebna jest dekomunizacja?

Oczywiście! Nikt nigdy nie przyniósł Rosji tyle szkód, co Stalin. Jeśli dziś Rosjanie są apatyczni, bojaźliwi i nie wierzą w demokrację, to jest to efekt genetycznej pamięci o stalinowskich represjach. Jestem w szoku, że Putin ma czelność w obronie sowieckiej przeszłości wykłócać się z innymi państwami. Rosja nie może sobie na to pozwalać! „Zwycięstwo nad faszyzmem" było wspólnym sukcesem wielu państw, nie tylko ZSRS, który zresztą składał się nie tylko z rosyjskiej republiki. My jesteśmy zwolennikami współpracy, nie rywalizacji.

Jaka przyszłość czeka Rosję i Putina?

Putin nie ma perspektyw. On cały czas mówi o przeszłości. Nic dziwnego, skoro większość młodych ludzi nie chce, by po 2024 r. był u władzy.

Jak może dojść do zmiany władzy?

Nie wierzę w przewrót pałacowy. Putin na tyle zastraszył oligarchów, że nie odważą się podnieść na niego ręki. Poza tym nikt z jego otoczenia nie cieszy się poparciem społecznym wystarczającym do utrzymania władzy. Przecież jeśli spiskowcy dzień po zamachu zorganizują konferencję prasową, to do mediów będzie musiał wyjść ktoś rozpoznawalny, a takich brak! Myślę, że raczej dojdzie do długiego kryzysu legalności władzy, podobnie jak obecnie na Białorusi. Stanie się zrozumiałe, że ludzie już nie popierają Putina. Przez pewien czas uda mu się utrzymać władzę siłą, ale taki państwowy terror, wyczerpujący dla obu stron, nie może wiecznie trwać... Już teraz widać pierwsze, nieśmiałe jeszcze symptomy kryzysu władzy. Część nomenklatury prowadzi swego rodzaju „strajk włoski". Są wściekli na Putina za to, że zrywając relacje z Zachodem, odciął ich od wielu korzyści. Przestają powoli wierzyć w system, a bojąc się otwarcie zbuntować, dalej pracują na reżim, ale już bez entuzjazmu. My, jako opozycja, ze swojej strony cały czas tłumaczymy Rosjanom, że Putinowska władza ich okrada, że za ich pieniądze wszczyna geopolityczne awantury albo buduje, pozbawiony ekonomicznego uzasadnienia, gazociąg Nord Stream 2.

I wtedy Nawalny wyjedzie z więzienia na białym koniu i jako lubiany na Zachodzie męczennik obejmie władzę.

Zobaczymy. Gdy po zwycięstwie Euromajdanu rewolucjoniści wypuścili z więzienia Julię Tymoszenko, nie udało jej się zdobyć władzy. Nawalny jest otwarty na uczciwą, polityczną konkurencję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Smok inflacji podnosi

Jacek Przybylski

Według Eurostatu inflacja w Polsce wyniosła w kwietniu 5,1 proc. rok do roku. Tak źle nie było od czerwca 2001 r. W zeszłym miesiącu ceny szybciej rosły tylko na Węgrzech. Oznaki szalejącej inflacji są jednak widoczne w wielu krajach. Bankierzy centralni w regionie rozważają więc podwyżki stóp. Polska RPP pozostaje jednak bierna

Polska na niechlubnym pierwszym lub drugim miejscu państw Unii Europejskiej o najwyższej inflacji rocznej jest co miesiąc od lutego zeszłego roku. W kwietniu pierwszy raz od siedmiu miesięcy wreszcie spadliśmy jednak z pierwszego miejsca unijnych krajów, w których ceny rosną najszybciej. Podawany przez Eurostat zharmonizowany wskaźnik cen konsumpcyjnych (HICP) wyniósł dla Polski 5,1 proc., a dla Węgier aż 5,2 proc. To wyjątkowo dużo. Ostatni raz aż tak szybko ceny rosły nad

eprasa.pl ec86032006

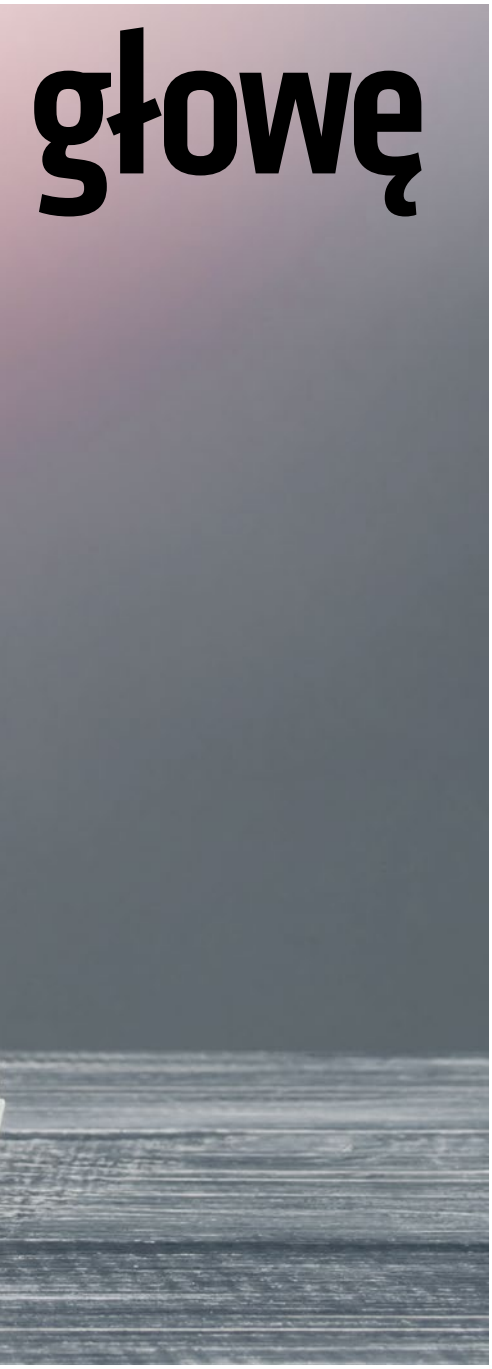

FOT. ADOBE STOCK

Wisłą dwie dekady temu: w czerwcu 2001 r. inflacja w Polsce wynosiła 6,1 proc.

Dla porównania: trzeci w zestawieniu Luksemburg ma inflację na poziomie 3,3 proc., a czwarte Czechy – 3,1 proc. I na tym kończy się lista państw, w których ceny w ciągu ostatniego roku wzrosły o ponad 3 proc. W całej Unii Europejskiej inflacja HICP wyniosła w kwietniu średnio, po niewielkim wzroście, 2 proc. rok do roku, a w samej tylko strefie euro – 1,6 proc. w ujęciu rocznym.

Równie pesymistyczne wnioski dotyczące cen w Polsce płyną z danych Głównego Urzędu Statystycznego. Wynika z nich, że inflacja konsumencka (CPI) w kwietniu 2021 r. wyniosła aż 4,3 proc. w ujęciu rocznym. Przeciętny Kowalski, który przed laty postanowił odłożyć własny kapitał na czarną godzinę, może mieć więc znów powody do zmartwień. Może jeszcze nie takie, jak po przemianach w latach 90., gdy dwucyfrowa dynamika inflacji zrujnowała realną wartość oszczędności wielu Polaków, ale z pewnością najpoważniejsze od wielu lat. Przy niemal zerowym oprocentowaniu lokat i tak gwałtownym wzroście cen realna wartość oszczędności Polaka czy Węgra topnieje w oczach. Z wyliczeń Expandera wynika, że realne oprocentowanie lokat zakończonych w kwietniu po uwzględnieniu podatku i inflacji wynosi minus 3,4 proc. Tak dużo drobni ciułacze nad Wisłą nie tracili jeszcze nigdy.

Niestety, według szacunków analityków finansowych już w maju inflacja może przekroczyć próg 5 proc. I wcale nie jest powiedziane, że szybko wróci do normy. Jest bowiem całkiem prawdopodobne, że średnioroczny wskaźnik inflacji przekroczy w roku 2021 poziom 4 proc. Według prognoz Banku Pekao ceny konsumpcyjne wzrosną średniorocznie w 2021 r. o 4 proc., a w 2022 r. o 3,6 proc. Jeszcze gorzej byłoby, gdyby wysoka inflacja w Polsce zadomowiła się na stałe. Walka z nią nie jest bowiem wcale łatwa i wymaga bardzo mądrej polityki banku centralnego. RPP wyraźnie wskazuje jednak, że spodziewa się, iż ceny w Polsce wciąż będą szybko rosnąć. – Jasno wskazujemy w komunikacie, że inflacja powyżej górnej granicy odchyleń od celu może się także utrzymać w kolejnych miesiącach – zauważył podczas majowej wideokonferencji Adam Glapiński, prezes NBP i jednocześnie przewodniczący RPP.

„Inflacja ogółem, napędzana m.in. inflacją bazową, będzie utrzymywać się na podwyższonym poziomie jeszcze długo. Nie spodziewamy się, by trwale zeszła znacząco poniżej 4 proc. w najbliższych dwóch latach" – oceniają ekonomiści mBanku, cytowani przez portal Money.pl.

NIERUCHOMOŚCI DROŻEJĄ JAK PRZED KRYZYSEM W ROKU 2007

Wzrost cen silnie przyspieszył jednak nie tylko nad Wisłą. Ze zbyt szybkim ich wzrostem borykają się wspomniani Węgrzy oraz Czesi. Nad Dunajem ceny rosną najszybciej od niemal dziewięciu lat, do czego najbardziej przyczynia się wzrost cen paliw, papierosów oraz samochodów. W Czechach inflacja konsumencka (CPI) wyniosła w kwietniu 3,1 proc. (skok w ujęciu rocznym to 2,3 proc.).

Szybko rosnącą inflację można zaobserwować w wielu krajach Unii Europejskiej. Jeszcze w marcu obecnego roku średnia inflacja w UE wynosiła 1,7 proc. w ujęciu rocznym, a w samej tylko strefie euro – 1,3 proc. rok do roku. Tymczasem przed rokiem średnia unijna wynosiła tylko 0,7 proc., a średnia dla strefy euro zaledwie 0,3 proc.

Ceny pchają w górę m.in. drożejąca ropa naftowa oraz coraz droższe surowce. Na szybki wzrost inflacji wpływają też wydatki konsumentów, którzy po zniesieniu restrykcji wreszcie mogą w miarę swobodnie iść na zakupy. Analitycy w różnych krajach spodziewają się też dynamicznego odbicia popytu na usługi, w tym na podróże i usługi czasu wolnego.

Większy, niż oczekiwali inwestorzy, analitycy i bankierzy centralni, wzrost cen ma też miejsce poza Starym Kontynentem. W najnowszym badaniu przeprowadzonym przez Bank of America inflacja znalazła się na pierwszym miejscu listy największych globalnych zagrożeń, wyprzedzając m.in. wahania na rynku obligacji, pęknięcie bańki na aktywach, a także pandemię koronawirusa, która w tym zestawieniu znalazła się dopiero na czwartym miejscu.

Obawy o szybko rosnącą inflację napędzają ceny złota, które w zeszłym tygodniu znów oscylowały w okolicy 1,9 tys. dol. za uncję. Chociaż inflacja w granicach 1–2 proc. jest przez inwestorów mile widziana – oznacza bowiem, że gospodarka się rozwija i zabezpiecza wartość akcji przed ryzykiem wyniszczającej deflacji – to już trwały wzrost cen przekraczający 4 proc. w ujęciu rocznym jest niedobry zarówno dla inwestorów, jak i dla przeciętnego Smitha czy Kowalskiego.

Na Węgrzech pojawiła się już wypowiedź wiceprezesa banku centralnego Barnabasa Viraga, który jasno zasugerował, że do pierwszej podwyżki głównej stopy procentowej w tym kraju może dojść już w czerwcu tego roku.

Narodowy Bank Czech nieoczekiwanie stopy procentowe podniósł już w lutym tego roku, a inwestorzy spodziewają się w tym kraju jeszcze dwóch podwyżek stóp w drugiej połowie 2021 r. Pierwszy raz w historii stopy procentowe

eprasa.pl ec86032006

nad Wełtawą są więc istotnie wyższe (o 0,75 punktu procentowego) niż nad Wisłą. Dla Polaków może to oznaczać, że ceny towarów w naszym kraju będą jeszcze rosły, bo w wyniku działań banków centralnych umocnią się forint oraz korona czeska, a osłabi się złoty. Trzeba jednocześnie pamiętać, że podniesienie stóp dla Czechów jest bardziej korzystne niż dla Polaków – Czesi istotnie więcej niż Polacy oszczędzają, rzadziej licząc na to, że w razie kłopotów w światowej gospodarce państwo obdaruje ich całym zestawem tarcz i zasiłków.

ŚWIAT PATRZY NA FED

Inflacja to oczywiście nie tylko problem Europy. Inwestorzy z całego świata z wielką uwagą przyglądają się działaniom i wypowiedziom członków Rezerwy Federalnej, a także byłej szefowej FED Janet Yellen, która w ekipie Joe Bidena została sekretarzem skarbu i która ostrzegała niedawno przed ryzykiem przegrzania się gospodarki USA. I chociaż FED stanowczo odciął się od tych słów, to ostrzeżenie to w połączeniu z nowymi danymi o wysokiej inflacji w Stanach Zjednoczonych sprzyjało spekulacjom na temat zacieśniania przez FED polityki monetarnej i w konsekwencji wywołało wyraźną korektę na giełdach nie tylko za oceanem. Amerykanie zachowują się więc bardzo podobnie jak przed wybuchem wielkiego kryzysu sprzed ponad dekady i masowo kupują nieruchomości, których ceny rosną jak na drożdżach. Zdecydowana większość Amerykanów jest bowiem pewna, że domy i mieszkania mogą już tylko drożeć. Przeciwnego zdania – według sondażu Gallupa – jest tylko 10 proc. pytanych, co niepokojąco przypomina statystyki sprzed wielkiego kryzysu roku 2007.

Jeszcze szybciej drogą lekcję ekonomii dostali posiadacze bitcoinów i innych kryptowalut, które teoretycznie miały chronić ich właścicieli przed inflacją. Tylko w ciągu ostatnich dni bitcoin stracił na wartości kilkadziesiąt procent. Od tegorocznych szczytów na poziomie niemal 65 tys. dol. spadł do niemal 30 tys. dol. Oczywiście szybko odbił do niemal 40 tys. i niewykluczone, że dojdzie kiedyś do 100 tys. dol., ale równie dobrze może jeszcze mocno tracić na wartości. O ryzyku nagłych dynamicznych spadków warto pamiętać przy każdej ryzykownej inwestycji – czy to w kryptowaluty, czy w akcje, czy w nieruchomości, bo aby wzrost cen zjadł wartość kapitału o 40 proc., bierny inwestor musiałby trzymać oszczędności w skarpecie przez jakieś 10 lat.

Tak czy owak inflacja powyżej 4 proc. w Stanach Zjednoczonych jest dla FED wyraźnym problemem, co może doprowadzić do szybszej, niż się spodziewano, zmiany retoryki amerykańskiego banku centralnego. Opublikowane w ubiegłym tygodniu „minutki" jasno wskazują, że już w najbliższych tygodniach może zacząć się dyskusja o ograniczaniu programu skupu aktywów. Bank Anglii już zaś dyskutuje nie tylko o redukcji skali skupu aktywów, lecz także o powrocie do normalizacji polityki pieniężnej.

Silny wzrost inflacji może być w Polsce widoczny jeszcze nawet przez kilka lat. Podwyżki stóp w przyszłym roku mogą być więc konieczne

CZY RPP ZADBA O OSZCZĘDNOŚCI POLAKÓW?

Polska Rada Polityki Pieniężnej na razie wciąż utrzymuje jednak głęboko ujemne realne stopy procentowe. W wydanym na początku maja komunikacie RPP podtrzymała swoje stanowisko dotyczące inflacji, argumentując jej wzrost czynnikami niezależnymi od polityki pieniężnej.

– Do tego wzrostu inflacji, co łatwo sprawdzić, przyczyniły się wyłącznie droższe paliwa i żywność – argumentował Adam Glapiński, podkreślając, że bank centralny nie ulegnie w kwestii polityki pieniężnej ani presji publicystycznej, ani politycznej.

RPP nie wspomniała już jednak w majowym komunikacie o tym, że polityka NBP stabilizuje inflację i wzmacnia stabilność systemu finansowego, choć wcześniej czyniła to wielokrotnie. Nic dziwnego. W Polsce ceny wybiły już wyraźnie ponad cel Rady Polityki Pieniężnej (2,5 proc. plus/minus 1 punkt procentowy). Z wypowiedzi różnych członków RPP – w tym np. z tekstu Eryka Łona dla wGospodarce czy też z artykułu członka RPP Łukasza Hardta dla „Dziennika Gazety Prawnej" – wynika, że Rada wciąż uważa wzrost inflacji konsumenckiej za przejściowy i nie chce podnosić stóp, aby nie przyduszać dynamiki popytu wewnętrznego i nie hamować tym samym ożywienia gospodarczego. Taki argument może wydawać się słuszny. Problem w tym, że jeśli inflacja nadal będzie szybko rosła, a członkowie RPP wciąż będą sprawiali wrażenie, iż lekceważą ten fakt, to Polacy mogą uznać, że bank centralny zapomniał o potrzebie dbania o wartość portfeli Polaków, co odkotwiczy oczekiwania inflacyjne.

Mimo to bierną postawę RPP przez najbliższe miesiące zakładają m.in. ekonomiści Goldman Sachs. Ich zdaniem Rada Polityki Pieniężnej będzie bagatelizować wystrzał inflacji i zgodnie z zapowiedziami jej najbardziej wpływowych członków nie podniesie stóp procentowych przed końcem swojej kadencji. Kadencja 7 do 10 członków RPP wygasa w pierwszym kwartale przyszłego roku. Pierwsza kadencja obecnego prezesa NBP Adama Glapińskiego upływa zaś w czerwcu przyszłego roku. Można się więc spodziewać, że podwyżka stóp nastąpi dopiero w pierwszej połowie przyszłego roku. Podobnego zdania są też ekonomiści np. ING Banku Śląskiego czy Crédit Agricole.

W przyszłym roku normalizacja polityki pieniężnej może być już jednak konieczna. Silniejszy wzrost inflacji w latach 2022–2023 będzie wynikał m.in. ze zmian zaproponowanych w ramach Polskiego Ładu, które zwiększając liczbę pieniędzy u osób najbiedniejszych, a zmniejszając u przedstawicieli klasy średniej i u osób bogatszych, dodatkowo nakręcą konsumpcję.

KREDYTY MOGĄ PODROŻEĆ

Czytelnym sygnałem zbliżającej się podwyżki stóp ma być decyzja zarządu NBP o zaprzestaniu lub stopniowym ograniczaniu luzowania ilościowego (QE), czyli programu skupu aktywów, przez który NBP pomaga gospodarce i budżetowi państwa.

Normalizacja polityki pieniężnej oznaczałaby, że RPP pokazałaby, iż jednak pamięta o potrzebie dbania o oszczędności Polaków. Szybkie i gwałtowne podwyżki nie byłyby jednak mile widziane przez posiadaczy kredytów złotowych, którzy bardzo mocno korzystają na najniższych w historii Polski stopach procentowych. W ślad za podwyżkami stóp wyraźnie wzrosłyby również miesięczne raty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

TEST „DO RZECZY": INTELIGENTNY ZEGAREK HUAWEI WATCH GT 2 PRO

Elegancki i nowoczesny design, rewelacyjna jakość wykonania, wytrzymała bateria oraz wygodny system bezprzewodowego ładowania – to największe zalety najdroższego inteligentnego zegarka chińskiej firmy Huawei.

Wystarczy rzut oka na Huawei Watch GT 2 Pro, aby wiedzieć, że ma się do czynienia z zegarkiem klasy premium. Szafirowe szkło, tytanowa koperta, ceramiczny spód oraz klasyczny skórzany pasek sprawiają, że ten model można swobodnie założyć nie tylko na siłownię czy trening w lesie, lecz także do teatru lub na spotkanie biznesowe. Jest to tym łatwiejsze, że zmiana wyświetlanej tarczy ze sportowej na elegancką zajmuje zaledwie kilka sekund.

Ekran AMOLED o przekątnej 1,39 cala i rozdzielczości 456 x 280 pikseli (326 PPI) jest wystarczająco czytelny. Jednocześnie jest już na tyle duży (wymiary: 46,7 x 46,7 x 11,4 mm), że nie jestem przekonany, czy wyglądałby dobrze na drobnej damskiej ręce.

Dzięki procesorowi Kirin A1 wszystkie aplikacje działają sprawnie i stabilnie. Jak na inteligentny zegarek przystało, Huawei Watch GT 2 Pro umożliwia analizę tętna, analizę jakości snu (w tym długości trwania poszczególnych faz snu, jakości oddechu etc.), a także całodobowy monitoring nasycenia krwi tlenem, dzięki któremu smartwatch włączy ostrzeżenie, jeśli poziom SpO2 spadnie poniżej ustawionej wcześniej wartości. Można też sprawdzić poziom stresu, a po rozmowie z natrętnym szefem lub klientem obniżyć sobie tętno za pomocą prostych ćwiczeń oddechowych.

Wbudowany GPS oraz takie czujniki, jak barometr, wysokościomierz czy kompas, sprawiają, że na treningi w terenie nie trzeba zabierać ze sobą smartfona. Testowany zegarek automatycznie wykrywa wybrane ćwiczenia (np. bieganie, szybki marsz czy orbitrek), a dzięki klasie odporności 5 ATM można w nim pływać zarówno w basenie, jak i w jeziorze czy w morzu. Smartwatch obsługuje ponad 100 trybów sportowych: od marszu i biegu do kolarstwa, pływania, jogi czy ćwiczeń na siłowni. Ten model docenią także miłośnicy sportów zimowych (np. snowboardu), a także tak prestiżowych jak golf. Zegarek pozwala też sprawdzić, w której fazie obecnie znajduje się Księżyc.

Testowany model potrafi też monitorować aktywność użytkownika, nakłaniać do ruchu osoby, które zasiedziały się przy biurku lub telewizorze. Huawei GT 2 Pro został również wyposażony w mikrofon oraz głośnik, dzięki którym przez ten zegarek można prowadzić rozmowy telefoniczne.

Zaletą tego modelu jest też dobry akumulator o pojemności 455 mAh. Dzięki niemu na jednym ładowaniu testowany zegarek potrafi wytrzymać 10, a nawet – gdy włączonych jest mniej funkcji – aż 14 dni. Dzięki bezprzewodowemu ładowaniu proces uzupełniania energii w tym gadżecie jest wyjątkowo wygodny.

Model Huawei Watch GT 2 Pro, choć bardzo fajny, nie jest perfekcyjny. Największą wadą jest brak NFC, a co za tym idzie – brak możliwości dokonywania zegarkiem płatności zbliżeniowych. Po drugie, w zegarku klasy premium przydałaby się nieco wyższa rozdzielczość ekranu. Po trzecie, nawigacja po menu mogłaby być wygodniejsza. Po czwarte zaś, zegarek nie umożliwia łatwego odpowiadania na SMS-y czy e-maile.

Mimo tych minusów GT 2 Pro z pewnością wart jest rozważenia przez osoby szukające eleganckiego smartwatcha w stosunkowo atrakcyjnej cenie. Testowany model współpracuje zarówno ze smartfonami Huawei, jak i z telefonami z systemem Android oraz iOS. Cena: 1099 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SMARTFON DLA MIŁOŚNIKÓW SELFIE

Asus Zenfone 8 Flip, najnowszy flagowiec tajwańskiego producenta, powinien spodobać się wszystkim miłośnikom seflie. W smartfonach umieszczony z tyłu główny aparat fotograficzny jest przeważnie lepszy niż obiektyw z przodu. W modelu Zenfone 8 Flip umieszczono jednak obracany zestaw głównych aparatów. Główna jednostka o rozdzielczości 64 Mpix i jasności f/1.8 jest wspierana przez aparat ultraszerokokątny z matrycą 12 Mpix i teleobiektyw 8 Mpix. Jest to więc jeden z najlepszych zestawów do selfie dostępnych na rynku. Zwłaszcza że według producenta mechanizm służący do obracania obiektywów został zaprojektowany tak, by mógł wytrzymać 200–300 tys. „flipnięć". Sercem nowego modelu jest procesor Qualcomm Snapdragon 888, wspomagany przez 8 GB pamięci RAM oraz 256 GB pamięci na dane. Asus Zenfone 8 Flip ma kosztować w Polsce 3599 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIRTUALNA RZECZYWISTOŚĆ W LEPSZYM WYDANIU

HTC zaprezentowało nowy model gogli do rzeczywistości wirtualnej. Tajwański producent ogłosił, że gogle Vive Pro 2 są wyposażone w ekrany o łącznej rozdzielczości aż 5K (4896 x 2448), z odświeżaniem obrazu na poziomie 120 Hz oraz polem widzenia wynoszącym 120 stopni. Taki gadżet w połączeniu z mocnym komputerem PC może ucieszyć nie tylko graczy, lecz także użytkowników biznesowych. Nie jest to jednak tania zabawka. Same gogle w przedsprzedaży kosztują 739 euro (równowartość 3,3 tys. zł), a za cały zestaw ze stacją bazową i z kontrolerami trzeba już zapłacić 1399 euro (6,3 tys. zł). ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl ec86032006

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Co na to premier Morawiecki?

Całkiem niedawno Zbigniew Jagiełło, szef największego polskiego banku – PKO BP, bez ogródek ocenił obecną – fatalną i niebezpieczną dla milionów Polaków – politykę monetarną prowadzoną przez Radę Polityki Pieniężnej. Odpowiadając na pytanie dziennikarza „Rzeczpospolitej" m.in. o to, czy ujemne realne stopy procentowe to powód do niepokoju, Jagiełło odparł: „W długim terminie tak, z różnych powodów. Rosnąca inflacja ma skutki, których nie widać wprost. W związku z zerowymi stopami procentowymi banki nie są zainteresowane depozytami, których nie można przekuć na kredyty, a które w dodatku obciążone są podatkiem bankowym czy składką na BFG. Sektor nie jest w stanie dostarczyć płynnych instrumentów finansowych, takich jak kiedyś lokaty, obligacje czy fundusze pieniężne, które przynosiłyby zysk realny, czyli wyższy od inflacji. To może powodować perturbacje związane z poszukiwaniem dodatniej stopy zwrotu poza tradycyjnymi aktywami. Mamy silnie rozgrzany rynek nieruchomości i klienci poszukują też innych instrumentów zamiast lokat. Obawiam się, że część klientów może stracić pieniądze z powodu ryzykownego charakteru tych instrumentów albo czasami wręcz z powodu oszustw finansowych. […] Trzeba uważać, aby »strumyki« pieniędzy płynące w ryzykowne aktywa nie przybrały na sile, bo to mogłoby spowodować straty nie tylko dla ich posiadaczy, lecz także dla gospodarki. […] Warto, aby banki i instytucje Komitetu Stabilności Finansowej zwróciły uwagę, czy takie niebezpieczeństwa istnieją, jeśli tak, to jakie, oraz aby na czas podejmowały odpowiednie decyzje. Obawiam się przegrzania rynku mieszkaniowego i zakupów motywowanych chęcią ochrony wartości kapitału przed inflacją, które mogą kiedyś przynieść rozczarowanie. Tu pojawia się też ryzyko wzrostu kosztów obsługi kredytów, gdyby stopy procentowe wzrosły w okolice 5 proc."

Inna sprawa, że prezes Jagiełło, choć już wcześniej niekryjący swego krytycznego stosunku do obecnej polityki Rady Polityki Pieniężnej, z taką stanowczością wyraził swój pogląd w tej kluczowej dla przyszłości milionów Polaków sprawie dopiero w dniu, w którym ogłosił koniec swej 12-letniej misji na fotelu szefa PKO BP.

Swoją drogą, jestem niezmiernie ciekaw, czy premier Mateusz Morawiecki, który przez wiele lat też był szefem wielkiego banku – BZ WBK (dziś – Santandera), podziela krytyczną opinię Zbigniewa Jagiełły o szkodliwości obecnej polityki, prowadzonej przez niezależną od rządu RPP, i ryzyku, które ta polityka niesie dla oszczędności życia milionów Polaków (jednocześnie niosąc krótkoterminowe i krótkowzroczne korzyści dla zawiadującego kasą państwa rządu), czy jednak nie podziela?

A jeśli podziela, to czy zamierza wyrazić swój krytyczny dla tej niebezpiecznej polityki RPP pogląd? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Łata na łacie łatą pogania

Wymyśl coś niespójnego, budzącego sprzeciw i kłopotliwego. Następnie dodaj do tego rozwiązania fastrygę, która zamiast cokolwiek naprawiać, wszystko jeszcze bardziej zagmatwa. Tak to mniej więcej wygląda w przypadku Polskiego Ładu, fastrygowanego tzw. algorytmem Gowina. Algorytm pojawił się, gdy nagle się połapano, że wykresy strat i zysków cosik się nie spinają i w obrębie osób stratnych na nowych rozwiązaniach lądują również ci, którzy stratni być nie mieli. To tylko pokazuje, jak głęboko przemyślany był cały mechanizm.

Ogólny wydźwięk rządowego planu: kosztem grupy zamożniejszych – dosypać uboższym

Dobry system podatkowy poza tym, że nie powinien być nadmiernie obciążający fiskalnie, powinien też być prosty. No to zobaczmy: algorytm ma sprawić, że osoby na etatach, zarabiające brutto pomiędzy 68,6 a 133,6 tys. zł rocznie nie odczują negatywnych skutków zmian. Ulga będzie wyliczana poprzez przemnożenie przychodu z danego roku przez 0,3932 minus 26,9 tys. Brakuje jeszcze podzielenia wyniku przez sumę przyjętych w poprzednim roku kalendarzowym ustaw i dodania do tak otrzymanej liczby wzrostu wicepremiera Gowina w milimetrach. Czego państwo nie rozumieją?

Oczywiście natychmiast pojawiły się pytania. Czy takie opisanie założeń oznacza, że kto wyskoczy ponad zaiste kosmiczny pułap 133,6 tys. zł rocznie (ok. 11 tys. zł brutto miesięcznie, czyli na etacie zawrotne ok. 8 tys. zł), ten traci skokowo prawo do całej ulgi? Jeśli tak, to proszę sobie wyobrazić manipulacje, jakie będą się odbywać, żeby przekroczenia pułapu uniknąć. A co z nieetatowcami? Co z działalnością gospodarczą i umowami cywilnoprawnymi? Nie wiadomo. Może nic, bo przecież cały sens Polskiego Ładu jest taki, żeby te akurat osoby docisnąć.

Można natomiast spokojnie założyć, że nie jest to ostatnia taka łata. Znamy tę metodę działania: kolejne odkrywane dziury i luki będzie się zalepiało kolejnymi uszczelniaczami, aż w końcu spod tych łat nie będzie już nic widać. W ten sposób zamiast uproszczenia dostaniemy skrajne skomplikowanie.

Wszystko to nie zmieni jednak ogólnego wydźwięku planu: kosztem grupy zamożniejszych – ale przecież nie autentycznie bogatych – dosypać uboższym. Jednym pokazać, że się ich dopieszcza oraz o nich dba, innym – że są poza obszarem zainteresowania władzy, chyba że jako źródło pieniędzy. Nie przykryją tego żadne algorytmy, a opowieści o rozwijaniu czerwonego dywanu przed przedsiębiorcami brzmią jak ponura kpina. ©℗

eprasa.pl ec86032006

Trendy w deweloperce

Mateusz Glema

Rynek nieruchomości deweloperskich w Polsce jest w bardzo dobrej kondycji. Trwająca od ponad roku pandemia nie dotknęła deweloperów oraz rynku budowlanego, od którego są uzależnieni. Zdarzyło się kilka przypadków krótkiego wstrzymania lub przesunięcia rozpoczęcia planowanych inwestycji, sprzedaż lekko zwolniła ale tegoroczne wyniki potwierdzają bardzo duże zapotrzebowanie na nieruchomości w Polsce. W pierwszym kwartale 2021 r deweloperzy sprzedali 19,5 tys. nowych mieszkań, ustanawiając rekord sprzedaży kwartalnej. W marcu 2021 r. deweloperzy rozpoczęli budowę prawie 18 tys. lokali mieszkalnych – jest to najwyższy miesięczny wynik w historii.

KAWALERKA NA WAGĘ ZŁOTA

Obecna sytuacja nie zwalnia deweloperów z analiz rynku oraz ciągłego udoskonalania swojej oferty. Bardzo niskie stopy procentowe oraz rosnąca inflacja to powody, dla których Polacy chętnie inwestują w nieruchomości. Deweloperzy, posiadając własne doświadczenia oraz obserwując sytuację gospodarczą, zdają sobie sprawę, że największym zainteresowaniem będą się cieszyć najmniejsze lokale. Problemem w realizacji najmniejszych mieszkań jest zapewnienie do każdego odpowiedniej liczby miejsc postojowych w podziemnych halach garażowych. Bardzo często, już na pierwszym etapie budowy oferta mieszkań jedno- i dwupokojowych jest wyprzedana.

Na drugim biegunie ofert deweloperów mamy lokale o metrażu powyżej 75 mkw. Jedną z przyczyn pandemii jest zwiększone zainteresowanie ofertą domu w zabudowie bliźniaczej lub szeregowej z przynależnym ogrodem. Klient w przypadku otrzymania podobnej oferty na mieszkanie o powierzchni 80 mkw. w mieście oraz bliźniaka o powierzchni 120 m^2 z ogródkiem 350 m^2 na przedmieściach lub pod miastem coraz częściej wybiera drugą opcję. Efektem zainteresowania obecną ofertą deweloperską powinna być bardzo duża dywersyfikacja cen, dochodzącą do 2 tys. zł za mkw. pomiędzy najmniejszymi a największymi mieszkaniami w obrębie jednej inwestycji.

PREFABRYKACJA NA RATUNEK

Obecne wzrosty cen nowych mieszkań wynikają ze zwiększonych kosztów produkcji. Rosnące ceny materiałów budowlanych oraz brak rąk do pracy to podstawowy problem branży budowlanej. Deweloperzy stale poszukują rozwiązań na obniżenie kosztów i czasu realizacji inwestycji, a idealna w tym wypadku wydaje się prefabrykacja. Prefabrykacja to wytwarzanie wielkowymiarowych elementów budowlanych, takich jak ściany, stropy, schody, poza miejscem budowy. Pozwala ona na skrócenie czasu trwania budowy nawet o połowę, dzięki realizacji gotowych elementów w fabryce zaangażowanie człowieka również jest dużo mniejsze. Technologia ta, tak często wykorzystywana w krajach skandynawskich, to bardzo dobra alternatywa dla budownictwa tradycyjnego.

NOVA ŁACINA – CZESŁAWA NIEMENA 6

Przykładem przemyślanej inwestycji jest drugi etap projektu NOVA ŁACINA w Poznaniu dewelopera GRUPA INWEST. Z uwagi na lokalizację – bardzo dobra komunikacja ze ścisłym centrum miasta, sąsiedztwo największej poznańskiej galerii handlowej, bliskość ronda Rataje oraz autostrady A2 zdecydowana większość zaprojektowanych lokali mieszkalnych mieści się w przedziale 26–42 mkw. Pierwszy etap inwestycji pokazał deweloperowi, że to właśnie lokale jedno- i dwupokojowe cieszą się na Łacinie największym zainteresowaniem. Inwestycja realizowana będzie przy udziale technologii prefabrykacji – pozwoli to na szybszą realizację – zakończenie budowy zaplanowane jest już na czwarty kwartał 2022 r. Deweloper zdaje sobie sprawę z zainteresowania inwestorów ofertą – w maju oferuje promocyjny harmonogram 10–90.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl ec86032006

Łukasz Zboralski

Nadal Iga

Iga Świątek wkroczyła do ścisłej czołówki damskiego tenisa. Jest 10. na świecie. I zaraz zacznie wielkoszlemowy French Open, na którym będzie bronić tytułu mistrzyni

Moc, upór, nieustępliwość – tak w ogromnym skrócie można opisać dziś 19-letnią gwiazdę tenisa. I to już nie polską gwiazdę, a światową. Iga Świątek awansowała w ubiegłym tygodniu na 10. miejsce na liście WTA. Jest w ścisłej czołówce najpotężniejszych zawodniczek globu.

Gdyby porównać ją z którymś z gigantów męskiego tenisa (choć takie porównania dla pań są zawsze trochę niesprawiedliwe, bo kobiecy tenis wcale nie jest gorszy i widzi to każdy, kto ogląda wielkie turnieje), to można by powiedzieć, że Iga jest Nadalem w spódnicy. Gra niezwykle ofensywnie, mocno, bardzo często nie chcąc dać rywalce szans na odbicie piłki i bardzo często tej szansy naprawdę nie dając. Mocno też fizycznie na korcie pracuje, jest wytrwała i gdy „poczuje krew" rywalki, nie odpuszcza.

30 maja wkroczy na francuską mączkę (sam turniej eliminacyjny zaczyna się ciut wcześniej – 24 maja), czyli na miejsce, w którym rok temu wykonała historyczny dla polskiego tenisa krok (żaden zawodnik ani zawodniczka z Polski nie wygrał wcześniej turnieju Wielkiego Szlema) oraz przełomowy – jak się wydaje – krok dla własnej kariery.

Czy ma szansę obronić tytuł z Roland Garros? Ma – jeśli tylko nie będzie czuła związanej z tym presji. A właśnie pokazała, że jej dojrzałość zawodnicza jest na poziomie, który pozwala grać bez względu na presję.

RZYMSKA PIECZĘĆ

Tym, co wskazuje, że Iga jest sobie w stanie poradzić prawie w każdej sytuacji, jest ostatnie zwycięstwo w turnieju na ziemi w Rzymie. Oczywiście w medialnym odbiorze największe wrażenie zrobiła wygrana w finale, gdzie Polka w zaledwie 46 minut rozprawiła się z 29-letnią Czeszką Karoliną Plišková –

FOT. CLIVE BRUNSKILL/GETTY IMAGES

eprasa.pl ec86032006

co nie zdarzyło się jeszcze w historii tego turnieju. Ba, Polka wygrała finał bez utraty własnego gema, odprawiając rywalkę wynikiem nazywanym w tenisowym świecie „rowerkiem" (6:0; 6:0). Włoskie media padły na kolana, nazywając Polkę „ulubienicą Rzymu", a sportowa prasa całego świata rozpływała się w zachwytach.

Trzeba jednak powiedzieć – nie ujmując nic meczowi finałowemu – że to nie deklasujące rywalkę zwycięstwo było tym, na co powinniśmy zwrócić uwagę w Rzymie. Najważniejszy element budowania gwiazdy wielkiego formatu błysnął tam nieco wcześniej – w III rundzie turnieju. Polka zmierzyła się tam z Barborą Krejčíkovą, ale pokonać musiała głównie samą siebie. Widać było, że ma słabszy dzień. Wszystko szło nie tak, jak trzeba. Pierwszy set przegrany 3:6. A w drugim rywalka miała już piłkę meczową. Iga potrafiła wyjść z tej opresji i zwyciężyć najpierw w tie-breaku drugiego seta, a potem i trzeciego. Nie rozsypała się. Nie złościła nadmiernie. Nie odpuściła do końca.

– Jeśli cofniemy się rok, półtora, to widać, że w meczach, w których Idze nie szło, było jej trudno, ona próbowała jeszcze mocniej uderzać, jeszcze szybciej. Tymczasem w Rzymie było widać, że zacisnęła zęby i grała tak, aby wygrać. To olbrzymia różnica – wskazuje Adam Romer, redaktor naczelny magazynu „Tenisklub". – Jak się wydaje, Iga zrozumiała, że można też brzydko wygrać. I to jest cecha mistrzów. Proszę spojrzeć na Nadala, do którego stylu gry się Polkę porównuje. On często w karierze po drodze do spektakularnych zwycięstw wygrywał mecze w ten brzydki sposób, mało efektownie, ale skutecznie. Chcąc być mistrzem na lata, trzeba się tego nauczyć. Iga zaczęła to rozumieć i umiała to zrobić nawet w meczu z tak okropnie niewygodną rywalką. Bo Krejčíková gra po to, aby trafiać w kort, a nie ładnie zagrać. I tu potrzeba wyjątkowego zacięcia, by ją pokonać. Często nastolatki na kortach takich momentów nie wytrzymują. Iga dała radę.

Drugim momentem, gdy mogliśmy oglądać format gwiazdy, był dzień, gdy Świątek zmuszona była zagrać dwa mecze naraz – i to ćwierćfinał oraz półfinał. Pokonała i taką przeszkodę. Potem przyznawała wręcz, że grało jej się lepiej, bo po pierwszym meczu była już w pewnym rytmie gry i to jej pomagało. – Rzeczywiście, w Rzymie można było zaobserwować to, że Iga grała lepiej z każdym meczem – potwierdza Romer. – Od początku, poprzez ten trudny mecz z Krejčíkovą, poprzez ćwierćfinał i finał jednego dnia aż do absolutnego topu, jakim było wygranie w takim stylu finału. To na pewno buduje tę zawodniczkę.

CZY DOMINACJA JEST MOŻLIWA?

Przed rozpoczęciem French Open warto podkreślić jeszcze inne zalety Igi Świątek. Wygrany wcześniej duży turniej w Adelajdzie przeszła bez utraty seta, tracąc zaledwie dwa gemy, co było najbardziej dominującym turniejowym zwycięstwem w sezonie. Rok temu docierając do triumfu Roland Garros, też straciła zaledwie 28 gemów i nie oddała seta – zdominowała turniej w jeden z najbardziej spektakularnych sposobów w erze open.

W kobiecym turnieju Roland Garros ostatnią, której udało się obronić tytuł, była Justine Henin. Od 2008 r. żadna z pań tego nie powtórzyła

Przed wejściem na francuską nawierzchnię z ceglanej mączki Iga Świątek ma w ręku nie tylko rakietę, lecz także wszystkie atuty, by tytuł mistrzyni tego turnieju obronić. Jej trenerski team wypracował sposób na radzenie sobie z presją – po wygraniu w Rzymie Iga dziwiła się, że wygrała do zera, bo tak mocno skoncentrowana była na każdym kolejnym zagraniu, iż przestała myśleć o liczeniu punktów.

Jednak w kobiecym tenisie dominowanie nawet w jednym turnieju do tej pory w historii było czymś dużo trudniejszym niż wśród mężczyzn. We French Open ostatnim takim momentem była kariera Justine Henin. Belgijka wygrywała na Roland Garros w latach 2003–2007, z jednym rokiem przerwy (w 2004 r. wygrała tam Rosjanka Anastasija Myskina). Od 2008 r. żadna z zawodniczek nie utrzymała tytułu, choć Serena Williams i Marija Szarapowa zwyciężały po dwa razy, ale w różnych latach.

Jeszcze trudniej wygląda kwestia dominacji w Wielkim Szlemie w ogóle. Tutaj sięgać trzeba do wyników sprzed dekad, gdy w latach 90. wśród kobiet nie było silnych na Steffi Graf i Monicę Seles.

– Idze Świątek przepowiadają, że będzie królową kortów ziemnych. Jestem najbardziej ciekaw, czy będąc w tej światowej czołówce, rozwinie się tak, by wygrywać też na innych nawierzchniach – zastanawia się Adam Romer. – Czy uda się jej pójść drogą Rafaela Nadala? On też jako 19-, 20-letni chłopak uznawany był za tego, który będzie dominował na ziemnej nawierzchni. Uważano, że będzie wygrywał Rolanda Garrosa. Jednak nikt nie przepowiadał, że będzie też wygrywał Wimbledon. Jeśli Iga zdoła pójść tym torem, to będzie to świadczyło o jej wybitności. Bo to, że jest zawodniczką światowej klasy, to już wiemy – zaznacza.

Wydaje się, że Iga ma i potencjał, i wspaniałe zaplecze. Piotr Sierzputowski okazał się trenerskim strzałem w dziesiątkę. A w kobiecym tenisie dopasowanie mentalne i motywacyjne z własnym teamem jest rzeczą najważniejszą. – Będę zawsze dobrze mówił o Piotrku, bo jak na tak młodego trenera okazał się wybitnie pasującym do Igi Świątek, świetnie się uzupełniają – ocenia Romer. – Zresztą widać, że cały team dobrze ze sobą tam się czuje, czyli cała czwórka, bo oprócz Igi i trenera Sierzputowskiego są tam jeszcze psycholog Daria Abramowicz oraz fizjoterapeuta Maciej Ryszczuk – wylicza.

Polscy kibice z pewnością od 30 maja będą trzymać kciuki za 19-latkę z Raszyna i wierzyć w jej zwycięstwo. Tę wiarę podzielają przed turniejem także bukmacherzy – Iga jest dla nich główną pretendentką do tytułu.

Wśród panów oczywiście faworytem jest Nadal, który właściwie zabetonował ten turniej od 2005 r. Przez te lata pierwsze miejsce raz wyszarpnął mu Roger Federer, raz Stan Wawrinka i raz Novak Djoković.

W przypadku mężczyzn wciąż nie widać końca dominacji „wielkiej trójki" – Nadal, Federer, Djoković. Chociaż Szwajcar tuż przed Wielkim Szlemem szybko odpadł z turnieju w Genewie, kończąc na drugiej rundzie. – W Paryżu idzie na finał Djoković-Nadal. Czyli raczej ten wielki turniej wygrają „starzy". A ja się zgadzam ze zdaniem kolegi dziennikarza Artura Rolaka, że dopiero, gdy wielkie turnieje podzielą się wygranymi między starymi i młodymi 2:2, można będzie zacząć mówić o końcu epoki wielkiej trójki. Jak będzie, zobaczymy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Łukasz Majchrzyk

Bohater czasów prosperity

Kiedy Gerd Müller bił swój rekord, futbol był zupełnie inny niż obecnie. Geniusze są jednak ponadczasowi

Po wyrównaniu rekordu Gerda Müllera Robert Lewandowski zaprezentował koszulkę z napisem „4ever Gerd"
FOT. S. MELLAR/GETTY IMAGES

Padały sugestie, że Robert Lewandowski nie powinien nawet próbować pobić rekordu Gerda Müllera. Strzelił 40 goli w sezonie (do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy"), wyrównał osiągnięcie legendarnego poprzednika i wystarczy. Tak mówił m.in. Dietmar Hamann, były reprezentant Niemiec, kiedyś zawodnik Bayernu Monachium, a obecnie telewizyjny ekspert. Hamann wskazywał, że byłby to piękny i rzadki gest w dzisiejszym, skomercjalizowanym sporcie.

Z drugiej strony pojawiali się inni. Doświadczony dziennikarz „Bildu" Raimund Hinko, który z bliska oglądał karierę Müllera, napisał, że legendarny niemiecki napastnik, który od kilku lat cierpi na chorobę Alzheimera, bardzo by się cieszył z pobicia swojego rekordu. Sepp Maier, kolega Müllera z boiska, powiedział, że rekordy są po to, by je bić.

Taka dyskusja może się wydawać dziwna. Przecież w sporcie chodzi o to, by łamać kolejne granice, dawać z siebie wszystko, być ciągle nienasyconym (jak zatytułował biografię polskiego napastnika Paweł Wilkowicz), a to Robert Lewandowski potrafi jak mało kto. Serca obecnych kibiców Bayernu już zdobył, dał im wiele powodów do radości, znów wprowadził ukochany klub na szczyt i sprawił, że zawołanie „Mia san mia" („Jesteśmy, jacy jesteśmy") to nie tylko pusty frazes.

Z drugiej strony wielu mogło mieć poczucie, że coś się nieodwołalnie kończy i zaciera, a razem z rekordem Müllera odchodzi kawałek historii Bayernu – nie zawsze tak kolorowej i bogatej, jaka jest teraz. Niemiec i Polak to dwa symbole Bayernu Monachium. Łączy ich piłkarski geniusz i ogromna łatwość w zdobywaniu bramek, ale chyba jeszcze więcej różni. Różnią ich czasy, w jakich rywalizowali, i wyzwania, przed jakimi stawali lub stają.

WYJŚCIE Z DREWNIANEJ SZOPY

Lewandowski to bohater czasów prosperity, futbolu, który jest biznesem od początku do końca zaplanowanym, wygłaskanym i obliczonym w najdrobniejszych detalach. Futbolu, który musi się świecić w komórkach Excela na zielono i w którym decyzje podejmuje się pod wpływem tego, ile pieniędzy mogą przynieść na konto. Futbolu, w którym mnożą się trenerzy indywidualni największych gwiazd, dietetycy, doradcy w kreowaniu wizerunku i rzecznicy prasowi, a piłkarze są oddzieleni od kibiców grubym murem. W tym futbolu coraz mniej jest miejsca na sentymenty i piękne gesty, a bogaci chcą być jeszcze bogatsi i dążą do powołania Superligi, żeby wyeliminować pośrednika w zarabianiu, którym jest formalnie rządząca europejskim futbolem UEFA.

Coraz częściej można jednak odnieść wrażenie, że tak naprawdę rządzi nim telewizja, która transmituje mecze, tworzy z nich spektakle, zapewnia

eprasa.pl ec86032006

piłkarzom rozpoznawalność i pozwala żądać od reklamodawców coraz wyższych kontraktów. Przed pandemią wśród największych piłkarskich klubów modne było jeżdżenie na letnie tournée do krajów azjatyckich, które były najbardziej obiecującym rynkiem. Tam Lewandowski i jego koledzy byli bohaterami, a miejscowi kibice swoje uwielbienie wyrażali, kupując klubowe gadżety. Rozpoznawalność stała się walutą i urosła tak bardzo, że nazwisko kapitana reprezentacji Polski znają kibice w tawernach portowych nawet na najmniejszych wysepkach, rozsianych gdzieś na Karaibach.

Takie spektakle wymagają odpowiedniej oprawy. Bayern już od kilkunastu lat gra na wspaniałym obiekcie, Allianz Arenie, na którym można sprzedawać drogie bilety i wynajmować loże biznesowe. To wszystko generuje dodatkowe przychody. Ośrodek treningowy Bawarczyków robi wspaniałe wrażenie. Kiedy Gerd Müller i jego koledzy zaczynali swoją karierę, o takich warunkach mogli tylko pomarzyć. Mecze były rzadko transmitowane na żywo, a Allianz Areny nie było jeszcze w planach.

O Gerdzie Müllerze jego kolega z boiska Franz Beckenbauer powiedział, że to on przeprowadził Bayern z drewnianej szopy do miejsca, w którym jest obecnie, czyli na finansowe i sportowe szczyty. Nawet jeśli to zdanie Beckenbauera ma w sobie trochę przesady, która ma podkreślać zasługi kolegi, to trzeba pamiętać, że kiedy dwaj legendarni piłkarze zaczynali grę w drużynie obecnego mistrza Niemiec, to rzeczywiście budynek klubowy był z drewna, a w kasie świeciły pustki. W początkach kariery Müllera mecze transmitowano rzadko, a głównymi dochodami były składki członkowskie i wpływy z biletów. Nic dziwnego, że gdy Bayern sięgnął po jedno ze swoich pierwszych trofeów, czyli Puchar Zdobywców Pucharów, to piłkarze wcale nie rozjechali się na zasłużone wakacje. Czekała ich jeszcze seria meczów towarzyskich, i to z małymi, amatorskimi drużynami. Latali też w trakcie sezonu na pokazowe spotkania za granicę. Bywało, że grali po 80 meczów w sezonie, ale nie narzekali, bo pieniądze trafiały głównie do ich kieszeni. Inaczej mogłoby być krucho. Matematyka była nieubłagana: jeśli ze składek członkowskich klub pozyskiwał rocznie ok. 400 tys. marek, a za spotkanie z Interem w Mediolanie dostał 70 tys., to nie można było odmówić.

Dzisiaj zawodnicy, nawet siedzący na ławce rezerwowych, w Bayernie też zarabiają miliony i jeżdżą wspaniałymi samochodami, a kibice uważają ich za bohaterów. W latach 60., gdy Müller zaczynał swoją przygodę z wielkim futbolem i nie dostawał jeszcze premii, musiał dorabiać przy przeprowadzkach.

ZŁOWIONY PRZEZ FRYZJERA

W tamtych latach Bayern był uboższym krewnym sąsiada, czyli TSV 1860 Monachium, i w słowach Hamanna, że bez Müllera mogłoby nie być w Bawarii Lewandowskiego, nie ma znowu tak wielkiej przesady, bo historia futbolu mogła się wtedy potoczyć inaczej. Władze niemieckiej piłki, tworząc ogólnokrajową Bundesligę (wcześniej rozgrywki były podzielone regionalnie), zaprosiły do rywalizacji właśnie TSV 1860. Władze i kibice Bayernu mogli poczuć się skrzywdzeni, ale nic z tym nie mogli zrobić. Musieli wywalczyć awans na boisku i udowodnić, że zasługują na laury.

I znów kibice mogą snuć swoje ulubione rozważania o tym, co by było, gdyby... Czy gdyby Bayern został wtedy potraktowany poważnie, to Müller (i Beckenbauer) dostaliby swoją szansę? Granie na niższym poziomie zmusiło władze klubu z Monachium do oszczędności. Zamiast na drogie w utrzymaniu gwiazdy lepiej było postawić na wychowanków lub młodych piłkarzy z regionu, takich jak właśnie Müller. Niewiele jednak brakowało, a piłkarz nazwany później w ojczyźnie „Bomber der Nation" trafiłby do błękitnej, a nie czerwonej (Bayern to Die Roten) części Monachium.

Jednym z klubowych mitów jest to, że w kolejce po zdolnego napastnika ustawiali się też działacze TSV 1860, ale prezesi Bayernu byli zwyczajnie szybsi. Przyszłego gwiazdora i legendę klubu wypatrzył dla nich Alexander Kotter, na co dzień fryzjer, a w wolnych chwilach skaut klubu, który miał wyławiać talenty.

Kiedy prezesi Bayernu przyjechali do domu zawodnika i już negocjowali warunki kontraktu, nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Uprzejma pani Müller wróciła i powiedziała, że goście muszą wyjść tylnymi drzwiami, bo na zewnątrz czekali już przedstawiciele innego klubu. Jakby zbiegów okoliczności było mało, działacze Bayernu podobno wygrali wyścig po Müllera tylko dlatego, że ich konkurenci spóźnili się na pociąg.

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, a ile pięknej legendy, ale fakt pozostaje faktem, że dziś takie historie są praktycznie niemożliwe. Na poziomie, na którym rywalizuje Bayern, niczego nie pozostawia się przypadkowi, a utalentowanych zawodników obserwują sztaby pracowników już wtedy, kiedy ci młodzi chłopcy chodzą do szkoły podstawowej. Müller był jeszcze z innych czasów. Nie miał zaprogramowanej kariery i nawet na trening zapisał się za namową kolegi. Okazało się jednak, że był zbyt dobry, żeby go przegapić, i futbol sam się o niego upomniał.

TAK RÓŻNI, TAK PODOBNI

Między nim a Lewandowskim jest jeszcze jedna, wielka różnica. Polak to fizyczna maszyna. Jego muskulatura jest słynna na całym świecie, a dbanie o siebie stawiane za wzór. Podobno polski napastnik ma nawet trenera, który podpowiada mu, jak ma prawidłowo spać. Na jego ciele próżno szukać choćby grama zbędnego tłuszczu. Müllera powszechnie nazywano z kolei tłustym kurduplem i nie wyglądał wcale na świetnego sportowca – poradził sobie z tym problemem, gdy szkoleniowcem monachijczyków został znany z surowości „Branko" Zebec. Podczas zgrupowania musiał zakładać podwójne dresy i ciągle biegać, nawet po zakończeniu normalnego treningu, ale schudł dzięki temu siedem kilogramów.

Mimo tych wszystkich różnic między oboma fantastycznymi napastnikami jedno ich niezaprzeczalnie łączy. Potrafią stworzyć gola z niczego i zawsze wiedzą (wiedzieli), gdzie spadnie piłka. Jedni nazwą to instynktem, a inni talentem. Ktoś powie, że to dotknięcie Boga. Inni będą wskazywać na szczęście, a jeszcze inni będą sławić ciężką pracę najlepszych sportowców. Obrońcy 50 lat temu musieli drżeć przed Müllerem, a teraz taki sam respekt powinni czuć wobec Lewandowskiego.

Czasy się zmieniają, futbol też. Dzisiaj gra jest szybsza, bardziej fizyczna, podporządkowana taktyce, ale piłkarscy geniusze poradziliby sobie w każdych czasach i bez względu na okoliczności. Jeśli ktoś zasługiwał na to, by wyrównać, a nawet przebić osiągnięcie legendarnego Niemca, to właśnie wspaniały polski napastnik. Tego kibice nigdy mu nie zapomną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Wizjonerzy 2021

Nagrody wręczał Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy", a galę prowadził Piotr Gociek FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Katarzyna Pinkosz

W gronie wybitnych ekspertów – lekarzy klinicystów i specjalistów od systemu ochrony zdrowia – rozmawialiśmy o tym, jak poprawić zdrowie Polaków, leczenie pacjentów z niewydolnością serca, otyłością, osteoporozą, chorobami onkologicznymi; o nadziejach związanych z Funduszem Medycznym, kontrowersjach dotyczących szczepień, roli polskiego przemysłu farmaceutycznego. Wręczyliśmy też nagrody Wizjonerzy Zdrowia, gdyż szczególnie dziś ważna jest rola osób, które mają wizję zmian i misję niesienia pomocy chorym

Tygodnik „Do Rzeczy" od lat włącza się w dyskusję na temat zmian w polskim systemie ochrony zdrowia. W czasie epidemii od początku piszemy nie tylko na temat COVID-19 i skutków epidemii w wymiarze zdrowotnym i społecznym, lecz także o tym, że inne choroby nie czekają, trzeba je jak najszybciej diagnozować i leczyć.

Mimo pandemii zorganizowaliśmy konferencję Wizjonerzy Zdrowia, gdyż szczególnie dziś pacjenci potrzebują szybkiej i dobrej diagnostyki, ścieżek leczenia, skutecznych terapii, a przede wszystkim uwagi. Zgromadziliśmy znakomitych klinicystów i ekspertów od systemu ochrony zdrowia, którzy dyskutowali podczas pięciu paneli dyskusyjnych: „Odbudowa zdrowia Polaków po pandemii. Profilaktyka, diagnostyka, leczenie", „Jak leczy się w Polsce: pacjenci onkologiczni i hematoonkologiczni", „Pandemie XXI w. Priorytety: Niewydolność serca. Otyłość", „Jak wzmocnić przemysł farmaceutyczny w Polsce", „Fundusz Medyczny i choroby rzadkie". Wieczorem odbyła się uroczystość rozdania nagród Wizjonerzy Zdrowia 2021: w reżimie epidemicznym. Nagrody otrzymali:

Ambasador Zdrowia: Alicja Jakubowska. Naczelna pielęgniarka Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA, który od pierwszych dni pandemii COVID-19 jest „na pierwszej linii frontu", leczy zarówno pacjentów chorych na COVID-19, jak i pacjentów z innymi schorzeniami. Alicja Jakubowska to pierwsza osoba w Polsce, która została zaszczepiona przeciw COVID-19. Aktywnie włącza się w promocję szczepień, pomaga prowadzić akcję szczepień, często robi to jako wolontariuszka.

Wizjonerzy-Lekarze: prof. Adam Witkowski, prof. Jarosław Kaźmierczak

Profesor Adam Witkowski: kierownik Kliniki Kardiologii i Angiologii Interwencyjnej Narodowego Instytutu Kardiologii, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Wprowadzał do Polski wiele innowacyjnych metod leczenia z zakresu kardiologii interwencyjnej. Znakomity lekarz, wybitny naukowiec i organizator, jeden z pomysłodawców i koordynatorów kampanii „Stawka to życie. Zastawka to życie", która została uznana za wzór dla podobnych kampanii w innych krajach Europy. Profesor Adam Witkowski (razem z prof. Robertem Gilem) jest dyrektorem Warsaw Course on Cardiovascular Interventions (WCCI), najstarszych i jednych z najbardziej prestiżowych w Europie warsztatów kardiologicznych. Jeden z nielicznych Polaków zasiadających w strukturach Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego. W czasie epidemii COVID-19 zainicjował, wraz z Polskim Towarzystwem Kardiologicznym, akcję #NieZostańwDomuzZawałem.

Profesor Jarosław Kaźmierczak: Kierownik Kliniki Kardiologii oraz Pracowni Elektrofizjologii Klinicznej Kliniki Kardiologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii. Wybitny naukowiec, nauczyciel akademicki i ekspert w dziedzinie kardiologii; lekarz, który swoim podejściem do pacjentów, ciężką pracą klinicysty udowadnia, że można ratować ludzkie życie, a jednocześnie angażować się w działania mające na celu poprawę systemu

eprasa.pl ec86032006

ochrony zdrowia. Propagator programu KOS-Zawał, KONS (koordynowanej opieki nad pacjentem z niewydolnością serca), współautor raportu „Niewydolność serca w Polsce", którego wnioski zostały wykorzystane w wypracowywaniu rozwiązań pilotażu Krajowej Sieci Kardiologicznej.

Lekarz-Społecznik: prof. Mieczysław Walczak. Kierownik Kliniki Pediatrii, Endokrynologii, Diabetologii, Chorób Metabolicznych i Kardiologii Wieku Rozwojowego Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, konsultant krajowy w dziedzinie endokrynologii i diabetologii dziecięcej. Wybitny naukowiec i lekarz, z ogromnymi zasługami na rzecz rozwoju endokrynologii i diabetologii dziecięcej. Od wielu lat wspiera również pacjentów z chorobami rzadkimi, jest m.in. jednym z założycieli Polskiego Rejestru Wrodzonych Wad Rozwojowych, przewodniczącym Zespołu Koordynacyjnego ds. Stosowania Hormonu Wzrostu, przewodniczącym Zespołu Koordynacyjnego ds. Chorób Ultrarzadkich. Współtworzył Program Leczenia Chorób Rzadkich.

Wizjoner Telemedycyny i Nowych Technologii: prof. Henryk Skarżyński. Światową sławę zyskał, przeprowadzając jako pierwszy na świecie najtrudniejsze operacje u osób z głuchotą. Przeprowadził ich najwięcej na świecie. Jest autorem 152 nowych rozwiązań w medycynie, pomysłodawcą i twórcą Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu oraz Światowego Centrum Słuchu, w którym od prawie 20 lat wykonywanych jest najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch. Inicjator i organizator Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego Dzieci, Młodzieży i Dorosłych z Zaburzeniami Słuchu „Ślimakowe Rytmy" i autor powieści filmowej „Powrót Beethovena". Zorganizował m.in. pierwsze badania przesiewowe wykrywające zaburzenia słuchu, Krajową Sieć Teleaudiologii, nagrodzoną złotym medalem Prix Galien, oraz nowoczesne urządzenie diagnostyczne – Kapsułę Badań Zmysłów.

Wizjoner Systemu Ochrony Zdrowia: dr n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka. Dziekan Centrum Kształcenia Podyplomowego i dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego, wiceprzewodnicząca Rady Narodowego Funduszu Zdrowia. Od wielu lat pełni funkcję lidera i wizjonera zmian w ochronie zdrowia. Propagatorka koncepcji „Ochrony zdrowia nakierowanej na wartość" (Value Based Healthcare). Zainicjowała prace nad modelami opieki zdrowotnej zorientowanej na wartość m.in. hematoonkologii, psychiatrii, bariatrii. Współtworzyła m.in. unikalne programy koordynowanej opieki nad pacjentem chorym na otyłość – KOS BMI 30+ oraz KOS-BAR.

Wizjoner Zdrowia Publicznego: dr n. med. Roman Topór-Mądry. Prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, która obecnie jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych instytucji w Europie, jeśli chodzi o ocenę i wycenę technologii i świadczeń zdrowotnych. Dzięki AOTMiT Polska od lat uczestniczy w projekcie Global Burden of Disease (GBD), najbardziej kompleksowych badaniach na świecie, pokazujących przyczyny utraty zdrowia. W ostatnim roku agencja m.in. wydawała rekomendacje dotyczące diagnostyki i leczenia COVID-19, oceniała też technologie o wysokiej innowacyjności w chorobach rzadkich, które mają szansę być udostępnione pacjentom w ramach Funduszu Medycznego.

Wizjonerskie Rozwiązania w Medycynie: Dolnośląskie Centrum Onkologii. DCO, kierowane przez prof. Adama Maciejczyka, zostało wyróżnione za „przekierowanie" systemu ochrony zdrowia na pacjenta, odwagę we wdrażaniu kompleksowych rozwiązań organizacyjnych i nowych technologii (m.in. aplikacje Onkoskop, „Mobilne DCO"), prowadzenie pilotażu Krajowej Sieci Onkologicznej, dzięki któremu pacjent onkologiczny nie jest zagubiony w systemie ochrony zdrowia, kontrolowana jest jakość wykonywanych badań histopatologicznych i radiologicznych, wprowadzane są ścieżki diagnostyki i leczenia. Doświadczenia z pilotażu będą wykorzystywane przy wprowadzaniu Krajowej Sieci Onkologicznej w całej Polsce.

Wizjonerska Osobowość Medycyny: Jerzy Starak. Jeden z najwybitniejszych polskich przedsiębiorców, którego wizja i pasja przyczyniły się do budowy silnej pozycji krajowego przemysłu farmaceutycznego i biotechnologicznego. Jest ojcem sukcesu Grupy Polpharma – przekształcił lokalną firmę w Starogardzie Gdańskim w lidera polskiego rynku farmaceutycznego i jedno z największych przedsiębiorstw farmaceutycznych w Europie Środkowo-Wschodniej. W trakcie pandemii podjął współpracę z naukowcami z poznańskiego Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w celu wprowadzenia na rynek pierwszego polskiego testu genetycznego wykrywającego SARS-CoV-2. Kolejny etap tej współpracy zaowocował wprowadzeniem na rynek pierwszego polskiego testu odróżniającego zachorowanie na COVID-19 od zachorowania na grypę.

Wizjoner-Społecznik: Stowarzyszenie na rzecz Walki z Rakiem Jajnika „Niebieski Motyl". Mimo diagnozy raka jajnika członkinie stowarzyszenia wspierają inne kobiety, które dostały diagnozę tego jednego z najtrudniejszych w leczeniu kobiecego nowotworu. We współpracy z lekarzami walczą o zmiany systemowe: stworzenie w Polsce ovarian cancer units (ośrodków kompleksowej diagnostyki i leczenia raka jajnika) oraz o nowoczesne leki. Pokazują, jak pięknie można wykorzystać każdą chwilę życia.

Humanista w Medycynie: ks. prof. Stanisław Dziekoński. Rektor UKSW w latach 2012–2016 i 2016–2020, twórca Wydziału Medycznego UKSW. Udało mu się zrealizować ideę Jana Pawła II: stworzenia wydziału medycznego na uczelni katolickiej. Wizją księdza profesora jest nowoczesny wydział medyczny kształcący przyszłych lekarzy i pielęgniarki, którzy będą wykorzystywać nowoczesne technologie i sztuczną inteligencję, a jednocześnie nie będzie dla nich obce pojęcie służenia choremu pomocą.

Nagroda Specjalna: prof. Krzysztof Bielecki. Specjalista chorób wewnętrznych, znakomity chirurg, który często podejmował się operacji wtedy, gdy inni nie widzieli już szans powodzenia. Nauczyciel akademicki, społecznik, zawsze broni praw pacjenta. Słynie z wyjątkowego podejścia do chorych. – Za rzadko używamy słowa „dziękuję"; od urodzenia do końca życia żyjemy w zespołach, nasze życie zależy od innych, dlatego bądźmy sobie nawzajem wdzięczni. W życiu lekarskim zawsze postępowałam tak, jak nauczył mnie mój rektor, prof. Marcin Kasprzak, który mówił: „Każdy lekarz niektórych wyleczy, często pomoże, ale zawsze powinien chorego pocieszać. Nadzieja często jest jedyną rzeczą, która naszym pacjentom pozostaje, nie wolno nam jej odbierać" – powiedział, odbierając Nagrodę Specjalną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Górny rząd od lewej: prezes AOTMiT Roman Topór-Mądry, Jakub Szulc (E&Y), dr n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka (Uczelnia Łazarskiego), Michał Kępowicz (Philips Healthcare). Na dole od lewej Prof. Teresa Jackowska, prof. Ewa Marcinowska-Suchowierska, prof. Bogdan Wojtyniak (NIZP-PZH)

Rekomendacje po pandemii

Katarzyna Pinkosz

– W 2020 r. stan zdrowia Polaków wyraźnie się pogorszył. Wstępne szacunki pokazują, że oczekiwana długość życia mężczyzn w 2020 r. skróciła się o ok. 1,6 roku, a kobiet o 1,2 roku. To niespotykana w powojennej historii niekorzystna zmiana z roku na rok długości trwania życia – mówił prof. Bogdan Wojtyniak podczas sesji inauguracyjnej konferencji Wizjonerzy Zdrowia 2021. Eksperci zastanawiali się, jak poprawić zdrowie Polaków

Profesor Bogdan Wojtyniak, kierownik Zakładu Monitorowania i Analiz Stanu Zdrowia Ludności oraz zastępca dyrektora Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego-PZH, zwrócił uwagę, że według ekspertów z Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle liczba zgonów spowodowana na świecie przez COVID-19 jest znacznie większa niż oficjalne dane (szacunki dla Polski pokazują, że zgonów z powodu COVID-19 było ok. dwa razy więcej).
– Choć pełnych danych za 2020 r. jeszcze nie ma, to widać też odczuwalny wzrost liczby zgonów spowodowanych chorobami sercowo-naczyniowymi, cukrzycą, chorobami układu nerwowego, oddechowego – zaznaczył prof. Wojtyniak. Skutki pandemii w postaci skrócenia długości życia szczególnie dotykają seniorów.
– Z szacunków Eurostatu wynika, że jesteśmy na trzecim miejscu spośród krajów UE, jeśli chodzi o skrócenie długości życia mężczyzn, i na piątym w przypadku kobiet, a jeśli chodzi o osoby starsze, to na pierwszym miejscu w przypadku mężczyzn i trzecim wśród kobiet – podkreślił prof. Wojtyniak.

Doktor n. med. Roman Topór-Mądry, prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych (która od lat bierze udział w badaniach Global Burden of Disease, pokazujących m.in., w jakie obszary ochrony zdrowia warto inwestować, żeby uzyskać największy efekt, jeśli chodzi o poprawę stanu zdrowia), zwrócił uwagę, że do tej pory nie wiemy, jakie będą odległe skutki COVID-19 dla naszego zdrowia. W czasie pandemii nabrzmiały inne problemy zdrowotne, m.in. z powodu zmniejszenia aktywności fizycznej w okresie lockdownu oraz przeciążenia systemu ochrony zdrowia. Zaznaczył jednak, że choć mówimy o skróceniu długości życia, to ten trend w kolejnych latach może jeszcze się zmienić. – Dziś trzeba poprawić profilaktykę, przyspieszyć diagnostykę i leczenie, jednak musimy też tworzyć szerszą perspektywę i myśleć o tym, co nas czeka za 20–30 lat, gdyż przed nami poważne wyzwania, związane ze starzeniem się społeczeństwa i z niedoborami kadr medycznych – zaznaczył prezes Topór-Mądry.

NIEDOBORY LEKARZY, CYFRYZACJA MEDYCYNY, BIG DATA

Doktor n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego, przedstawiła wnioski polskiego zespołu pracującego w ramach Projektu Partnerstwa na rzecz Zrównoważenia i Odporności Systemów Zdrowotnych, prowadzonego przez Światowe Forum Ekonomiczne, London School of Economics i firmę AstraZeneca. Pandemia spowodowała, że wszystkie systemy ochrony zdrowia poszukują mechanizmów powrotu do równowagi, zachwianej przez pandemię. – W Polsce trudno mówić

eprasa.pl ec86032006

o powrocie do równowagi, gdyż nie było jej przed pandemią. Nasz model organizacji opieki zdrowotnej jest niewydolny, pacjent trafia do systemu bardzo późno, co zmniejsza szanse na wyleczenie, ale też powoduje ogromne koszty – mówiła dr Gałązka-Sobotka. Jako przykład podała niewydolność serca: wielu kosztownych hospitalizacji można by uniknąć, gdyby udało się pacjenta wcześniej zdiagnozować i lepiej prowadzić.

Rekomendacje zespołu mają wspomóc systemy ochrony zdrowia w wyjściu z pandemii, ale też spowodować większą „odporność" na ewentualne przyszłe kryzysy. – Rekomendacje dla naszego systemu to m.in. stworzenie priorytetów zdrowotnych, stały monitoring i ewaluacja wyników leczenia, tworzenie nowych modeli opieki blisko miejsca zamieszkania pacjenta, rozwój kadr medycznych i ich wsparcie – mówiła dr Gałązka-Sobotka.

Na korzyści wynikające z cyfryzacji medycyny i gromadzenia danych oraz na możliwości ich wykorzystania zwrócił uwagę Michał Kępowicz, dyrektor ds. relacji strategicznych Philips Healthcare. Jego zdaniem tsunami chorób cywilizacyjnych, o którym była mowa jeszcze przed pandemią, będzie jeszcze bardziej narastać, m.in. ze względu na to, że przez półtora roku mieliśmy utrudniony dostęp do leczenia. – Co roku w Polsce przybywało ok. 170 tys. nowych pacjentów onkologicznych, za dwa–trzy lata będzie to nawet 250 tys. nowych chorych rocznie. To nie tylko problem pacjenta i jego rodziny, lecz także ogromne straty dla gospodarki – mówił dyrektor Kępowicz. Większości nowotworów można zapobiec, dlatego najważniejsza jest mądrze prowadzona profilaktyka, a przede wszystkim przekonanie, że zdrowie to kapitał, o który musimy dbać przez całe życie. – Jeśli chodzi o leczenie, to sukces w dużej mierze będzie zależeć od możliwości stosowania nowoczesnych, skutecznych technologii, wykorzystania kadr medycznych i odpowiedniego finansowania. Dzięki korzystaniu z wiarygodnych danych, których w systemie ochrony zdrowia jest coraz więcej, można m.in. sprawdzić, co warto zmieniać – mówił Michał Kępowicz.

SZCZEPIENIA OCHRONNE

– To dziś najtańsza i najbardziej skuteczna interwencja medyczna, jaką możemy zastosować – podkreślał Jakub Szulc, ekonomista i ekspert EY Polska. Chociaż w tym roku tematem numer jeden są szczepionki przeciw COVID-19, to nie są to jedyne ważne dla zdrowia szczepienia. W Polsce obecnie część szczepionek znajduje się w kalendarzu szczepień obowiązkowych (dla dzieci), finansowana w całości z budżetu państwa. Pozostałe (zalecane) były w pełni odpłatne. Duża część rodziców decyduje się jednak na zakup szczepionek wysokoskojarzonych: 5 w 1, 6 w 1, żeby „zaoszczędzić" dzieciom zastrzyków. W takiej sytuacji rodzic musi jednak zapłacić 100 proc. ceny szczepionki. – Być może szczepionki wysokoskojarzone powinny być częściowo refundowane: przynajmniej w takim zakresie, ile wynosi koszt sumy preparatów, które dziecko dostałoby, gdyby było szczepione w ramach obowiązkowego kalendarza – mówił Jakub Szulc. Zwracał też uwagę na to, że koszt szczepienia to nie jest tylko koszt samej szczepionki, lecz także jej transportu, przechowywania, podania. – Jeśli dziecko korzysta ze szczepionek wysokoskojarzonych, to znacznie zmniejsza się liczba wizyt u lekarza, są to więc konkretne oszczędności dla systemu ochrony zdrowia. Cena samej szczepionki to niecałe 40 proc. ogólnego kosztu szczepień – podkreślał ekspert.

Również prof. Teresa Jackowska, krajowa konsultant w dziedzinie pediatrii, zaznaczyła, że od wielu lat postulatem pediatrów jest to, żeby ułatwić rodzicom dostęp do szczepionek wysokoskojarzonych ze względu na wysoki profil bezpieczeństwa, skuteczności i mniejszą liczbę koniecznych do wykonania zastrzyków. Eksperci zastanawiali się też nad nowymi szczepionkami, które powinny być stosowane na dużą skalę. Jedną z nich jest szczepionka przeciw HPV (wirusowi brodawczaka ludzkiego), który jest jedną z głównych przyczyn nie tylko raka szyjki macicy, lecz także nowotworów głowy i szyi. Profesor Jackowska przypomniała, że w Narodowej Strategii Onkologicznej zapisano, iż do końca 2028 r. przeciw wirusowi HPV powinno zostać zaszczepionych co najmniej 60 proc. dziewczynek i chłopców w wieku dojrzewania. – Jeśli chodzi o wprowadzenie powszechnych szczepień przeciw HPV, to jesteśmy już kilkanaście lat za takimi krajami jak Hiszpania czy Szwecja. W Australii dzięki powszechnym szczepieniom liczba zachorowań na raka szyjki macicy zmniejszyła się o 90 proc. – mówiła prof. Jackowska. Jej zdaniem taki poziom zaszczepienia jest możliwy tylko przy wprowadzeniu programu szczepień powszechnych i bezpłatnych.

Z kolei Jakub Szulc zwrócił uwagę, że przy wprowadzaniu nowej szczepionki do kalendarza zawsze trzeba wziąć pod uwagę konkretny przypadek. W przypadku HPV część rodziców może być przeciwna zaszczepieniu dziecka, dlatego jego zdaniem ta szczepionka nie powinna być obowiązkowa. Eksperci zaznaczali, że każdy program szczepień musi być połączony z edukacją i profilaktyką.

PROBLEM OSÓB STARSZYCH: OSTEOPOROZA

Gdy mówi się o priorytetach w ochronie zdrowia, zwykle są to choroby serca, cukrzyca, nowotwory. Osteoporoza to niedoceniany problem, choć śmiertelność po złamaniu szyjki kości udowej jest w ciągu roku wyższa niż w przypadku wielu chorób nowotworowych. – W Polsce osteoporozę ma nawet 2,5 mln osób, jednak u większości nie jest ona zdiagnozowana i leczona. To choroba kości, która przebiega skrycie, ujawnia się u osób starszych złamaniem, które świadczy już o bardzo zaawansowanym procesie chorobowym – mówiła prof. Ewa Marcinowska-Suchowierska z Kliniki Geriatrii, Chorób Wewnętrznych i Chorób Metabolicznych Kości CMKP, członkini Rady ds. Ochrony Zdrowia przy Prezydencie RP. Pani profesor zaznaczyła, że w czasie epidemii COVID-19 nawet o 20–30 proc. spadła liczba wizyt w poradniach leczących osteoporozę. – Oznacza to, że chorzy mający jawnie, klinicznie osteoporozę nie mają odpowiedniego zabezpieczenia w postaci leczenia. Tymczasem jedno złamanie prognozuje kolejne – mówiła. Podkreśliła, że konieczna jest profilaktyka, wczesne rozpoznawanie osób zagrożonych osteoporozą (lekarze pierwszego kontaktu mogliby przeprowadzać badanie FRAX i w razie potrzeby kierować na densytometrię, ortopedzi zaś wykazywać większą czujność przy każdym złamaniu niskoenergetycznym u osób 60+). Konieczne jest skuteczne leczenie, a także wiele zmian systemowych, m.in. umożliwienie leczenia chorych przez lekarzy rezydentów specjalizujących się w chorobach wewnętrznych, reumatologii, ortopedii. – Zauważmy osteoporozę jako chorobę przewlekłą o ogromnym zasięgu społecznym, gdzie konieczna jest profilaktyka i leczenie na każdym etapie – podsumowała ekspertka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Na górze od lewej: prof. Adam Maciejczyk, dr n. med. Piotr Tomczak, prof. Krzysztof Giannopoulos. Na dole: prof. Dominik Dytfeld, dr n. med. Kazimierz Hałaburda, prof. Paweł Blecharz

Potrzebne nowe terapie

Katarzyna Pinkosz

Nowe opcje leczenia szybciej trafiają do refundacji w Polsce niż w poprzednich latach. Jest jednak coraz więcej terapii, na które czekają pacjenci, gdyż medycyna idzie do przodu. Konieczna jest też poprawa organizacji leczenia onkologicznego – podkreślali eksperci

Leczenie onkologiczne ucierpiało w trakcie epidemii COVID-19. Mniej pacjentów zgłaszało się na badania profilaktyczne, zwłaszcza w pierwszym okresie. Również utrudnienia w dostępie do opieki medycznej, zwłaszcza do lekarzy pierwszego kontaktu, spowodowały, że mniej osób zgłaszało się z podejrzeniem choroby nowotworowej. Do opóźnień w rozpoczynaniu leczenia przyczyniła się też zamiana części szpitali i oddziałów na covidowe. – Apelujemy, by pacjenci, nawet mając skąpe objawy, zgłaszali się do onkologa, nie czekając na koniec pandemii. Możemy im wtedy skuteczniej pomóc – mówił prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego i dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologii. Podkreślał, że sprawdził się pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej (KSO), która powinna zacząć funkcjonować w całej Polsce. – Tego typu sieciowe rozwiązania funkcjonują od wielu lat w krajach, które mają dobrą opiekę onkologiczną. Trzeba dalej iść tą drogą – zaznaczał. Eksperci podkreślali, że w ostatnim czasie nowe terapie onkologiczne szybciej pojawiają się w refundacji, konieczne są jednak dalsze zmiany.

RAK JAJNIKA: INHIBITORY PARP DLA PACJENTEK BEZ MUTACJI

To jeden z najtrudniejszych w leczeniu nowotworów i pierwszy zabójca kobiet spośród nowotworów ginekologicznych. Z powodu braku badania przesiewowego i charakterystycznych niepokojących objawów aż w 80 proc. przypadkach jest rozpoznawany w trzecim i czwartym stopniu zaawansowania. Dlatego spośród ok. 3,7 tys. kobiet, które rocznie zachorowują, ponad 70 proc. umiera w ciągu pięciu lat. Przełomem w leczeniu zaawansowanego raka jajnika są inhibitory PARP, które podtrzymują remisję choroby. – Powodują, że komórka nowotworowa nie jest w stanie naprawiać swoich uszkodzeń, wywołanych przez wcześniejsze leczenie. Nie jest w stanie się dzielić, obumiera – tłumaczył prof. Paweł Blecharz, kierownik Kliniki Ginekologii Onkologicznej Narodowego Instytutu Onkologii, oddziału w Krakowie. Od maja 2021 r. w programie lekowym dostępny jest jeden z inhibitorów PARP już w pierwszej linii leczenia. – Bardzo się z tego cieszymy, problem polega tylko na tym, że takie leczenie jest dostępne wyłącznie dla ok. 25–30 proc. chorych mających mutacje w genach BRCA1, 2. Wyniki badań klinicznych innego z inhibitorów PARP wskazują, że korzyści z leczenia zyskują wszystkie pacjentki, także te, które nie mają mutacji.

Na razie Ministerstwo Zdrowia nie zdecydowało się na refundację w tej grupie chorych, mamy nadzieję, że to się zmieni. Chcielibyśmy, żeby tym pacjentkom również umożliwić dostęp do nowoczesnych terapii – zaznaczył prof. Blecharz.

Problemem jest również to, że tylko ok. 30 proc. ma wykonywane badania w kierunku obecności mutacji BRCA1, 2; pozostałe również nie mają szans na włączenie do programu lekowego. Profesor Blecharz podkreślał, że niezbędne jest stworzenie ośrodków kompleksowej diagnostyki i leczenia raka jajnika,

eprasa.pl ec86032006

gdzie pacjentki byłyby leczone według najlepszych standardów.

RAK NERKI: ZMIANY W LECZENIU PIERWSZEJ LINII

To również nowotwór zwykle późno diagnozowany, gdyż nie daje wczesnych objawów. Doktor Piotr Tomczak z Kliniki Onkologii UM w Poznaniu podkreślał, że aż jedna trzecia pacjentów już w momencie diagnozy ma odległe zmiany, a pojawiają się one też u znacznej części pacjentów diagnozowanych we wczesnych stadiach. Zaznaczył, że dla wcześniejszego wykrywania ważne byłoby wykonywanie co roku badania USG jamy brzusznej.

Chociaż na razie nie ma szans wyleczenia zaawansowanego raka nerki, to nowe terapie znacznie przedłużają życie pacjentów. Niestety, w Polsce wiele z nich pozostaje niedostępnych. – Program leczenia raka nerki ma już wiele lat, jego ostatnia nowelizacja miała miejsce kilka lat temu, dlatego można wręcz mówić o Europie dwóch standardów – mówił dr Tomczak. Polskie Towarzystwo Onkologii Klinicznej zaproponowało wprowadzenie wielu zmian do programu, zgodnie ze standardami światowymi. – Zależy nam przede wszystkim na nowelizacji leczenia w pierwszej linii, m.in. możliwości stosowania terapii złożonych z dwóch leków immunokompetentnych. Zastosowanie optymalnego leczenia w pierwszej linii daje najlepszy efekt, jeśli chodzi o czas wolny od progresji choroby i czas całkowitego przeżycia. Naszym zasadniczym postulatem obecnie jest zmiana standardu leczenia w pierwszej linii – mówił dr Tomczak. Dodał, że niezbędne są niezwłoczne działania w kierunku aktualizacji programu, a na pilne zmiany czekają zarówno lekarze, jak i pacjenci.

SZPICZAK: TERAPIE PODSKÓRNE I DOUSTNE

Profesor Krzysztof Giannopoulos, kierownik Zakładu Hematoonkologii Doświadczalnej UM w Lublinie, oraz prof. Dominik Dytfeld z Katedry i Kliniki Hematologii i Chorób Rozrostowych Układu Krwiotwórczego UM w Poznaniu oraz prezes Polskiego Konsorcjum Szpiczakowego podkreślili, że w leczeniu szpiczaka plazmocytowego dokonuje się wręcz rewolucja. Ekspertów cieszy fakt, że na majowej liście leków refundowanych znalazły się dwa bardzo oczekiwane nowe schematy terapeutyczne: karfilzomib z deksametazonem oraz schemat trójlekowy z iksazomibem. Podkreślili, że chorzy na szpiczaka są szczególnie zagrożeni ciężkim przebiegiem i zgonem z powodu COVID-19, dlatego – jeśli jest taka możliwość – warto wybierać terapie, które minimalizują konieczność hospitalizacji, zwłaszcza że przynosi to też oszczędności dla systemu ochrony zdrowia.

Profesor Giannopoulos zwrócił uwagę na to, że niektóre leki występują zarówno w formie dożylnej, jak i wygodniejszej w stosowaniu – podskórnej. Przykładem jest daratumumab. – To przeciwciało przeciw cząsteczce CD38, które działa zarówno na komórki szpiczaka, jak i na układ odpornościowy. Lek jest w Polsce dostępny w formie dożylnej – zaznaczył. Czas podawania leku w formie dożylnej to nawet kilkanaście godzin, podczas gdy terapii podskórnej – kilka minut, a ponadto jest ona lepiej tolerowana. – Pacjent może być krócej w szpitalu: to dla niego wygodniejsze, a przy tym oznacza to mniejsze zaangażowanie personelu medycznego, a więc mniejsze koszty. Mam nadzieję, że decyzje refundacyjne uwzględnią zamianę formy podania leku na formę podskórną – mówił prof. Giannopoulos.

Profesor Dominik Dytfeld zwrócił z kolei uwagę na leki immunomodulujące, które są podstawowymi w leczeniu szpiczaka, takie jak lenalidomid i pomalidomid. – To leki doustne, poprawiają więc jakość życia pacjenta, odciążają system ochrony zdrowia. Druga rzecz: są skuteczne, mogą być sosowane na każdym etapie leczenia, można do nich dołączać praktycznie wszystkie inne terapie na każdej linii leczenia z racji wysokiej skuteczności i dobrego profilu bezpieczeństwa. Są podstawą leczenia szpiczaka – mówił. Zaznaczył, że lenalidomid w pierwszej linii leczenia jest od lat europejskim standardem, z kolei trójlekowy schemat z pomalidomidem najlepiej zabezpiecza pacjentów po niepowodzeniu leczenia lenalidomidem. – Wydaje się, że dziś największą potrzebą w leczeniu szpiczaka jest dopuszczenie lenolidomidu w pierwszej linii oraz zabezpieczenie pacjentów opornych na lenalidomid. Kombinacja pomalidomidu z bortezomibem i deksametazonem to rekomendowany schemat u chorych z opornością na lenalidomid. To priorytety – podkreślił.

PROFILAKTYKA PO PRZESZCZEPIE

Dla pacjentów m.in. z ostrą białaczką szpikową, ostrą białaczką limfoblastyczną czy zespołami mielodysplastycznymi allogeniczny przeszczep szpiku jest ratowaniem życia, ale też szansą na całkowite wyleczenie. Doktor n. med. Kazimierz Hałaburda, kierownik Kliniki Transplantacji Komórek Krwiotwórczych w Instytucie Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie, zwracał jednak uwagę, że poważnym zagrożeniem dla chorych po przeszczepie jest reaktywacja wirusa cytomegalii (CMV). – Z transplantacją szpiku łączy się bardzo agresywne leczenie: chcąc wyleczyć pacjenta, najpierw podajemy mu bardzo toksyczną chemioterapię w wysokich dawkach, ewentualnie napromienienie całego ciała. Główną przyczyną niepowodzeń po transplantacji jest nawrót nowotworu, a drugą zakażenia, m.in. wirusami, z których jednym z najgroźniejszych jest wirus cytomegalii – mówił. Zdrowa osoba może zakażenia nawet nie zauważyć, u chorego po przeszczepie wirus cytomegalii może spowodować ciężkie zapalenie płuc, jelit, a także zniszczenie przeszczepionego szpiku i doprowadzić do zgonu. – Dlatego z taką nadzieją powitaliśmy rejestrację w 2018 r. w Europie letermowiru, leku, który zapobiega reaktywacji zakażenia wirusem cytomegalii. To lek bezpieczny w stosowaniu, gdyż działa wyłącznie na enzym wirusowy – mówił dr Hałaburda, zaznaczając, że transplantolodzy chcieliby go stosować tylko u tych pacjentów, którzy są nosicielami wirusa cytomegalii. – Wyniki badań pokazują, że to bardzo skuteczne leczenie. W naszej klinice mieliśmy siedmiu pacjentów, którym udało się zdobyć pieniądze na takie leczenie dzięki wsparciu różnych fundacji. U żadnego z nich nie doszło do reinfekcji wirusem cytomegalii, konieczności walki o życie i zastosowania toksycznego leczenia, które uszkadza szpik czy nerki. Reaktywacja zakażenia może zniweczyć efekt transplantacji, dlatego bardzo nam zależy na tym, by ten nowy lek był dostępny dla pacjentów – mówił dr Hałaburda.

Nowe terapie w hematoonkologii, która jest „lokomotywą postępu", to dla chorych nowa szansa na życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Na górze od lewej: prof. Marcin Czech, dr n. ekon. Małgorzata Gałązka-Sobotka, prof. Adam Witkowski. Na dole: prof. Mariusz Wyleżoł, prof. Jarosław Kaźmierczak

Priorytety: niewydolność serca i otyłość

Katarzyna Pinkosz

Świat mówi o COVID-19, jednak cały czas towarzyszą nam epidemie chorób niezakaźnych, które zbierają nie mniejsze żniwo: niewydolności serca, otyłości, cukrzycy. Przybrały one jeszcze na sile w okresie pandemii. Ich leczenie to dziś jedne z najważniejszych wyzwań – mówili eksperci podczas debaty na temat pandemii XXI w.

Największy przyrost liczby nadmiarowych zgonów w okresie epidemii COVID-19 był spowodowany chorobami sercowo-naczyniowymi, w tym niewydolnością serca. – To obecnie pierwsza przyczyna zgonów Polaków – potwierdził prof. Jarosław Kaźmierczak, konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii.

NIEWYDOLNOŚĆ SERCA: APEL O PILNE ZMIANY

Na niewydolność serca choruje już ponad 1,2 mln osób w Polsce, co godzinę z jej powodu umiera 16 osób; rocznie to ponad 142 tys. osób, spośród których u ponad 40 tys. jest ona bezpośrednią przyczyną zgonów – to dane z raportu „Niewydolność serca w Polsce", opracowanego pod koniec ubiegłego roku przez ekspertów, z inicjatywy kardiologicznych organizacji pacjenckich.

Raport jednoznacznie udowadnia, że niewydolność serca w Polsce jest leczona nieoptymalnie, przez co wielu chorych przedwcześnie umiera. Profesor Kaźmierczak podkreślał, że Polska przed epidemią COVID-19 zajmowała pierwsze miejsce spośród krajów OECD, jeśli chodzi o liczbę hospitalizacji z powodu niewydolności serca (liczba hospitalizacji z tego powodu w Polsce była ok. 2,5 razy większa od średniej w krajach OECD). To najdroższy dla systemu ochrony zdrowia sposób leczenia NS, a jednocześnie mało efektywny. – Nakłady na leczenie szpitalne niewydolności serca w 2019 r. wyniosły 1,6 mld zł i w ciągu pięciu lat wzrosły o 125 proc., ale w tym samym czasie wzrosła też śmiertelność. To pokazuje, że leczymy nieefektywnie – zaznaczył prof. Adam Witkowski, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Tak duży wskaźnik hospitalizacji wynika z tego, że pacjenci nie otrzymują wła-

eprasa.pl ec86032006

ściwej pomocy wcześniej – u lekarzy pierwszego kontaktu oraz w poradniach specjalistycznych. Problemem jest też brak refundacji nowoczesnych terapii, które poprawiają leczenie i zmniejszają śmiertelność.

Z raportu „Niewydolność serca w Polsce" jednoznacznie wynika, że żeby zmienić sytuację, niezbędne są wprowadzenie opieki koordynowanej (kardiolodzy od lat starają się o wejście programu KONS, czyli koordynowanej opieki nad chorymi z niewydolnością serca) oraz refundacja skutecznych terapii w leczeniu niewydolności serca. – Od lat czekamy na refundację leku sakubitryl/walsartan, teraz także na leki z grupy flozyn. Mam nadzieję, że już niedługo w Polsce stanie się refundowana dapaglizlozyna: pierwszy lek zarejestrowany w Europie do leczenia chorych z niewydolnością serca bez towarzyszącej cukrzycy – mówił prof. Kaźmierczak, który jako konsultant krajowy apelował o wdrożenie tej terapii już przed rokiem. Zaznaczył, że to lek tylko dla części osób z niewydolnością serca.

Profesor Adam Witkowski odniósł się do niedawnego apelu prezesa Andrew J.S. Coatsa i prezesa elekta Giuseppe Rosano z Europejskiej Asocjacji Niewydolności Serca przy Europejskim Towarzystwie Kardiologicznym. Zwrócili się oni do decydentów o pilne udostępnienie terapii flozynami pacjentom z niewydolnością serca, w celu ratowania życia. – Każdy rok zwłoki we wprowadzaniu nowych terapii oznacza, że część chorych, która mogłaby żyć, traci życie. To są tzw. zgony z przyczyn możliwych do uniknięcia. Jeśli nie stosuje się odpowiedniego leczenia i nie prowadzi odpowiedniej opieki nad chorym, wówczas zgony, które mogły być możliwe do uniknięcia, stają się realne – mówił prof. Witkowski.

Profesor Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego, podkreślił, że w kardiologii nie ma tak dużej liczby nowych terapii jak w onkologii, dlatego warto zwrócić na nie szczególną uwagę, zwłaszcza że są bardzo efektywne. Odniósł się też do niedawnej rekomendacji prezesa AOTMiT dotyczącej dapagliflozyny.

– Moim zdaniem jest to lek wysoce skuteczny, również jeśli spojrzymy na tzw. twarde punkty końcowe: jego stosowanie zmniejsza liczbę hospitalizacji i zmniejsza śmiertelność. Jest też kosztowo efektywny, a jeśli chodzi o potencjalny wpływ na budżet, to myślę, że uda się zawęzić grupy pacjentów, dla których mógłby być w pierwszej kolejności refundowany, co pozwoliłoby lepiej kontrolować wydatki – mówił prof. Czech.

Zaznaczył też, że obecnie pięcioletnie przeżycia chorych na niewydolność serca są gorsze niż w przypadku wielu nowotworów, dlatego jeśli pojawia się możliwość skutecznego leczenia, to interwencja powinna być pilnie podjęta. – W niewydolności serca od wielu lat nie pojawiały się żadne nowe terapie w refundacji, czas działać, zwłaszcza że dodatkowych zgonów z powodów chorób sercowo-naczyniowych jest obecnie tak dużo – podkreślił prof. Czech.

OTYŁOŚĆ I 200 POWIKŁAŃ

Epidemia COVID-19 udowodniła też, jak poważnym problemem jest otyłość (to jeden z najpoważniejszych czynników ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19). Profesor Mariusz Wyleżoł, przewodniczący Sekcji Chirurgii Metabolicznej i Bariatrycznej Polskiego Towarzystwa Badań nad Otyłością, zwrócił uwagę, że aż 75 proc. osób z otyłością w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, że choruje. Otyłość – a raczej choroba otyłościowa (taką nazwę proponują eksperci) – wciąż często nie jest w ogóle postrzegana jako choroba.

– To tak samo, jakbyśmy uważali, że nadciśnienie albo nowotwór nie są chorobami. Osoby z chorobą otyłościową mają zarówno strukturalne, jak i czynnościowe zmiany w organizmie, które polegają na zaburzonej homeostazie energetycznej w wyniku zaburzeń w neurohormonalnej regulacji spożycia pokarmów. To choroba z licznymi powikłaniami, takimi jak nadciśnienie tętnicze, cukrzyca typu 2, zmiany zwyrodnieniowe stawów. Lista obejmuje nawet 200–300 powikłań – mówił prof. Wyleżoł. – Czy wyobrażamy sobie, żeby chory na raka nie był leczony? Nikt nie miałby wątpliwości, że popełniono błąd w sztuce lekarskiej. Tymczasem aż 99 proc. osób chorych na otyłość nie jest obecnie leczonych – zaznaczył.

Zwracał uwagę, że szansą dla chorych jest pojawienie się nowych leków, których zastosowanie – w połączeniu ze zmianą diety i z aktywnością fizyczną – może uratować przed powikłaniami, koniecznością wykonania operacji bariatrycznej czy skróceniem życia. – Dokonuje się ogromny przełom w leczeniu za sprawą rozwoju wiedzy na temat przyczyn rozwoju choroby otyłościowej. Mam nadzieję, że wprowadzenie leków w wielu przypadkach pozwoli na uniknięcie operacji. Jest już kilka leków działających w różnych mechanizmach, jeden z nich wykorzystuje to, że u chorych na otyłość nie są poposiłkowo wydzielane hormony, które hamują łaknienie, dzięki czemu „odsuwamy talerz". Mówię tu o lekach opartych na efekcie inkretynowym – zaznaczył prof. Wyleżoł.

Leczenie choroby otyłościowej, żeby przyniosło efekty, musi być kompleksowe: chory powinien być pod opieką wielu specjalistów. To właśnie na stworzenie kompleksowych programów opieki i leczenia osób z chorobą otyłościową mają być częściowo przeznaczone środki z tzw. opłaty cukrowej, która weszła w życie w 2021 r. – Wzorem innych państw zdecydowaliśmy się na tego typu restrykcję fiskalną, jaką jest opłata cukrowa, by dać konsumentowi impuls do zastanowienia się, czy to, co wkłada do koszyka z zakupami, przekłada się na jego zdrowie. Opłata cukrowa ma na celu edukację konsumentów, ale umożliwi też pozyskanie środków, które pozwolą uporać się z problemem otyłości lub przynajmniej go zmniejszyć – mówiła dr n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego. Podkreśliła, że to pierwsza tego typu interwencja w zdrowiu publicznym, której celem jest przeznaczenie „znakowanych" pieniędzy na określony cel. Środki z opłaty cukrowej mają być przeznaczone m.in. na profilaktykę otyłości, objęcie opieką dzieci z nadwagą i otyłością, jak również na pomoc dorosłym zmagającym się z tym problemem. – Stworzyliśmy dwa programy: pierwszy to KOS BMI 30+: program kompleksowej opieki nad osobami z BMI powyżej 30, czyli 12-miesięczny program terapeutyczny dla pacjentów. Drugi to program KOS-BAR: kompleksowej opieki i leczenia chorych zakwalifikowanych do operacji bariatrycznej i poddawanych takiemu leczeniu. Otwieramy nowy rozdział w polityce zdrowotnej, wyznaczamy cele i pieniądze, za pomocą których będziemy je realizować. Chcemy też monitorować efekty naszych działań – mówiła dr Gałązka-Sobotka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

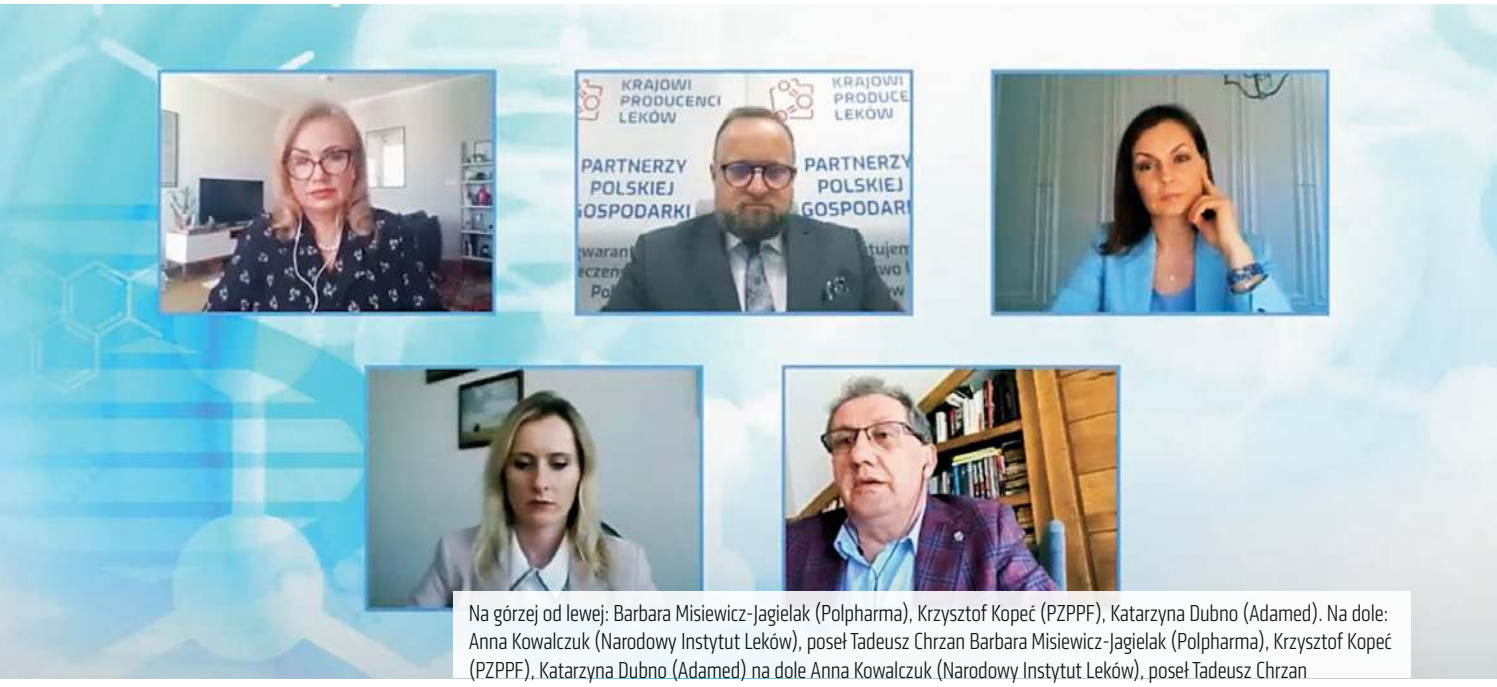

Na górzej od lewej: Barbara Misiewicz-Jagielak (Polpharma), Krzysztof Kopeć (PZPPF), Katarzyna Dubno (Adamed). Na dole: Anna Kowalczuk (Narodowy Instytut Leków), poseł Tadeusz Chrzan Barbara Misiewicz-Jagielak (Polpharma), Krzysztof Kopeć (PZPPF), Katarzyna Dubno (Adamed) na dole Anna Kowalczuk (Narodowy Instytut Leków), poseł Tadeusz Chrzan

Bezpieczni lekowo jak militarnie

Katarzyna Pinkosz

Doświadczenia epidemii COVID-19 pokazują, że nie mniej ważne od bezpieczeństwa obronnego czy energetycznego Polski jest bezpieczeństwo lekowe i pewność tego, że w aptekach nie zabraknie leków zażywanych codziennie przez miliony pacjentów. Jakie działania trzeba podjąć, by więcej leków było produkowanych w Polsce?

Pandemia dotknęła świat, ale stała się też powodem ogromnych inwestycji w farmację i biotechnologię: dzięki dużym nakładom finansowym ruszyło wiele badań nad lekami i szczepionkami przeciw COVID-19. Unaoczniła też, jak ważne jest zapewnienie dostępu do leków, które są na co dzień stosowane przez pacjentów. – Pierwszy kryzys był już w 2019 r., gdy pojawiły się informacje o obecności szkodliwych nitrozoamin w lekach stosowanych m.in. w nadciśnieniu czy cukrzycy. Było nawet niebezpieczeństwo zamknięcia wielu zakładów wytwarzających w Chinach substancje czynne (API). Mówiło się też o konieczności przeniesienia dużej części produkcji do Europy – mówiła dr Anna Kowalczuk, dyrektor Narodowego Instytutu Leków. Zwróciła uwagę na to, że obecnie aż 60 proc. leków produkują kraje Dalekiego Wschodu, a tylko ok. 30 proc. Europa. – Polska jest krajem w dużej mierze importującym zarówno API, jak i leki. Doświadczanie pandemii pokazało, że powinniśmy dywersyfikować źródła dostaw leków, zwiększać produkcję API i półproduktów służących do wytwarzania substancji czynnych, jak również produkować więcej leków w Polsce – zaznaczyła dyrektor Kowalczuk.

POLSKIE FIRMY NIE ZAWIODŁY

O tym, jak polskie firmy działają od początku pandemii COVID-19, mówiły Barbara Misiewicz-Jagielak (Polpharma) oraz Katarzyna Dubno (Adamed). Obydwie firmy opracowały i wdrożyły specjalne procedury zapewniające bezpieczeństwo pracowników, by w fabrykach leków nie doszło do ognisk zakażeń SARS-CoV-2, co mogłoby spowodować ograniczenia lub wręcz wstrzymać okresowo produkcję. – Wiele zagranicznych fabryk produkujących substancje czynne z powodu pandemii ograniczało lub wstrzymywało produkcję, mieliśmy duże problemy, by zapewnić półprodukty do wytworzenia naszych leków. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że naszym obowiązkiem jest zapewnienie niezbędnych dla życia i zdrowia pacjentów farmaceutyków. Gdy rosła liczba chorych na COVID-19, wykonywaliśmy ekspertyzy, których leków musimy zwiększyć produkcję, gdyż to z naszych fabryk pochodzi co trzeci lek używany w szpitalach – podkreśliła Barbara Misiewicz-Jagielak, dyrektor ds. relacji zewnętrznych Grupy Polpharma. Wzrosło zapotrzebowanie na wiele produktów, np. na niektóre antybiotyki aż o 100 proc., podobnie na leki stosowane w anestezjologii, niezbędne przy wentylacji mechanicznej. – Gdybyśmy się do tego nie przygotowali, wielu pacjentów nie miałoby leczenia. Podobnie teraz, gdybyśmy nie zwiększyli produkcji wody do iniekcji, nie byłoby w czym rozpuszczać szczepionek;

eprasa.pl ec86032006

gdyby nie było wystarczającej ilości adrenaliny, której jesteśmy jedynym producentem, nie byłoby możliwości tworzenia tak dużej liczby punktów szczepień. Dzięki temu, że nasi pracownicy pracowali siedem dni w tygodniu, udało się zapobiec kryzysowi i naszych leków nie zabrakło, jednak konieczne do tego były trudne biznesowe decyzje – mówiła dyrektor Misiewicz-Jagielak.

Polpharma i inne polskie firmy musiały podejmować decyzje o zamrożeniu milionów złotych w zapasach, nadania priorytetów produkcji na leki ratujące życie oraz produkcji na rynek polski. – Nie wyobrażam sobie, żeby polski rząd poprosił np. niemiecką fabrykę, aby zwiększyła produkcję dla Polaków. Taki producent zaproponuje wyższą cenę, bo koszty nadprogramowej produkcji są dużo wyższe, a poza tym w pierwszym rzędzie zabezpieczy swój rodzimy rynek. My to zrobimy, bo wiemy, jak odpowiedzialna jest nasza praca. Uważam, że polskie firmy zdały egzamin w czasie pandemii, można na nas liczyć w sytuacjach kryzysowych – podkreśliła dyrektor Misiewicz-Jagielak.

Katarzyna Dubno, dyrektor ds. relacji zewnętrznych i ekonomiki zdrowia Adamed, podkreślała, że priorytetem dla Adamedu w czasie pandemii było zapewnienie ciągłości produkcji leków, a także bezpieczeństwa pracownikom, którzy pracowali na trzy zmiany przez siedem dni w tygodniu. – Od początku pandemii współpracowaliśmy z Ministerstwem Zdrowia, część leków przekazywaliśmy za darmo do szpitali, sami je tam także dostarczając. Myślę, że jako krajowa branża udowodniliśmy, że jesteśmy godnym zaufania partnerem dla Ministerstwa Zdrowia i rządu, partnerem, który pomaga zapewnić bezpieczeństwo lekowe naszego kraju – podkreśliła dyrektor Dubno.

Epidemia pokazała, jak ważny jest przemysł farmaceutyczny w Polsce. – Dzisiaj nikt już nie kwestionuje, że bezpieczeństwo lekowe jest równie ważne jak militarne. Jednak nie zbuduje się go na dwóch czy trzech firmach, potrzebny jest cały ekosystem, w którym funkcjonują zarówno duże, jak i małe firmy, prywatne, ale też państwowe, z kapitałem polskim, ale także zagranicznym, które inwestują w produkcję i badania oraz rozwój w Polsce – zaznaczyła Katarzyna Dubno.

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY I PRZEPISY PRAWA

Polscy producenci leków jeszcze przed pandemią zwracali uwagę na to, że przemysłowi farmaceutycznemu w Polsce potrzebne jest wsparcie. Od kilku lat toczyły się dyskusje nad RTR (refundacyjnym trybem rozwojowym), którego celem było wsparcie firm produkujących i inwestujących w Polsce, jednak z zapowiedzi niewiele wynikało. Pandemia pokazała, jak ważne jest to, od kogo kupowane są leki, co do których wydaje nam się, że jest oczywiste, iż zawsze są i będą w aptekach.

– Zawsze powtarzam, że o wartości leku stanowi nie tylko substancja czynna, ale także gwarancja realnego dostępu, bo nie chodzi o to, żeby lek znajdował się na liście refundacyjnej, tylko by faktycznie można było go kupić. I to jest wartość dodana. Resort zdrowia, kupując lek od krajowego producenta, płaci więc nie tylko za substancję leczącą, ale i za pewność dostaw oraz rozwój gospodarczy Polski, bo krajowe firmy u nas reinwestują swoje zyski. Kupując leki z Azji będziemy rozwijać Azję, a jeśli postawimy na firmy produkujące leki w Polsce, to będziemy rozwijać Polskę – przekonywał Krzysztof Kopeć, prezes Zarządu Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego. Zaznaczył, że branża oczekuje dziś zmiany praktyki negocjacji i potem takich regulacji prawych, które pozwolą na wzmocnienie produkcji leków i API w Polsce. Producentów cieszy fakt, że wsparcie dla przemysłu farmaceutycznego znalazło się w Krajowym Planie Obudowy, jednak branża czeka też na komplementarną zmianę praktyki stosowania ustawy refundacyjnej. Ważną kwestią są ceny leków generycznych znajdujących się w refundacji, produkowanych w Polsce.

– Jeśli ich ceny nie będą wciąż równane do najtańszej konkurencji azjatyckiej, to przemysł będzie mieć środki, by inwestować i rozwijać się, a pacjenci będą bezpieczni. Już teraz ceny leków generycznych w Polsce są jednymi z najniższych w Europie, nie obniżajmy ich dalej, bo stanie się to kosztem dostępu do nich, gdyż uzależnimy się od dostaw z Azji – podkreślał Krzysztof Kopeć. Zaproponował też, by np. zobowiązać producentów refundowanych leków innowacyjnych do przeznaczania 10 proc. kwot refundacji na inwestycje w Polsce (np. w produkcję, badania i rozwój).

Poseł Tadeusz Chrzan, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Suwerenności Lekowej Polski, podkreślił, że od wielu lat mówi się o wzmacnianiu przemysłu farmaceutycznego w Polsce, teraz jednak już najwyższy czas wprowadzić to w życie. – Dzięki Krajowemu Planowi Odbudowy stoimy przed historyczną szansą budowania mocnego przemysłu farmaceutycznego. Mam nadzieję, że KPO zostanie uruchomiony. Trzeba tak stymulować krajowy rynek farmaceutyczny, by rozwijał się w Polsce, prowadzić politykę refundacyjną, która będzie sprzyjała rozwojowi produkcji w Polsce – zaznaczył poseł Chrzan, podkreślając, że rząd jest wrażliwy na ten problem. – Dzisiaj polski przemysł farmaceutyczny wytwarza ok. 1 proc. PKB. Myślę, że ten wskaźnik może stać się dwucyfrowy – ocenił.

MAPA POTRZEB LEKOWYCH

Eksperci zwracali uwagę, że warto byłoby opracować mapę potrzeb – listę tzw. leków podstawowych, ważnych dla bezpieczeństwa lekowego, które powinny być produkowane w Polsce. – Na prośbę wiceministra Miłkowskiego wykonywaliśmy wstępną analizę, jakie leki są niezbędne. UE zdefiniowała trzy główne kategorie leków, które zapewniają bezpieczeństwo. W pierwszej są produkty ratujące życie, np. umożliwiające przeprowadzenie operacji, w drugiej – stosowane przewlekle, np. w nadciśnieniu, cukrzycy; w trzeciej – stosowane bardzo często, takie jak np. przeciwbólowe czy przeciwgorączkowe – zaznaczyła dyrektor Kowalczuk. Warto taką mapę opracować, ponieważ kraje UE również chcą wzmacniać swój przemysł farmaceutyczny.

Uczestnicy debaty podkreślali, że Polska produkuje głównie leki generyczne, jednak nic nie stoi na przeszkodzie, by powstawały u nas także leki innowacyjne. Chodzi m.in. o najnowszą technologię RNA, którą można rozwijać do produkcji szczepionek i leków onkologicznych. – Mamy w Polsce wybitnych ekspertów, naukowców, potrzebny jest im partner biznesowy, by wynik prac naukowo-badawczych został skutecznie skomercjalizowany – podkreślała Barbara Misiewicz-Jagielak. – Adamed już od lat współpracuje z naukowcami, uczelniami, rozwijamy też innowacyjne technologie. Jesteśmy w stałym kontakcie z Agencją Badań Medycznych, jeśli chodzi o budowanie platformy RNA, by być gotowym na przyszłe wyzwania. W Polsce jest zarówno kapitał ludzki, jak i potencjał, by tworzyć innowacje, warto z tego korzystać – mówiła Katarzyna Dubno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ec86032006

Innowacyjne technologie

Katarzyna Pinkosz

Pacjenci z chorobami rzadkimi czekają na pierwsze terapie, do których będą mogli uzyskać dostęp dzięki Funduszowi Medycznemu. Fundusz to szansa na „nadrobienie zaległości", jakie mamy w dostępie do leków na rzadkie choroby

Profesor Piotr Czauderna, kierownik Sekcji Ochrony Zdrowia Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP, zaznaczył, że w chorobach rzadkich mamy najwięcej niezaspokojonych potrzeb medycznych. – W ostatnich latach pojawia się wiele nowych terapii, niektóre z nich działają nawet przyczynowo, a więc mogą wyleczyć chorobę. Problemem jest to, że są to leki przeznaczone dla małych grup pacjentów, jednak bardzo drogie, dlatego muszą być oceniane według innych kryteriów – mówił prof. Czauderna.

Wykaz tzw. technologii lekowych o wysokim poziomie innowacyjności najpierw jest tworzony przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). Następnie minister zdrowia konsultuje się z Radą Przejrzystości AOTMiT, konsultantami krajowymi, Rzecznikiem Praw Dziecka i Rzecznikiem Praw Pacjenta, tworząc ostateczną listę. Firma może wtedy wystąpić o refundację w ramach Funduszu Medycznego i przystąpić do negocjacji cenowych z ministerstwem. Po uzgodnieniach lek trafia do refundacji na półtora roku; w tym czasie ocenia się, jak faktycznie działa u pacjentów. – Na pierwszej liście znalazły się wyłącznie leki zarejestrowane w ciągu ostatniego roku. W sierpniu ukaże się kolejna lista, na której będą innowacyjne terapie z ostatnich trzech lat. W każdym roku pojawia się wiele rejestracji nowych leków, jednak zwykle tylko dwa–trzy mają faktycznie przełomowy mechanizm działania – zaznaczył dr Wojciech Wysoczański, dyrektor Wydziału Oceny Technologii Medycznych w AOTMiT.

ZMNIEJSZYĆ LICZBĘ TRANSFUZJI W MDS

Na pierwszej liście 11 technologii o wysokiej innowacyjności, zarekomendowanych przez AOTMiT w lutym tego roku, znalazł się lek stosowany w rzadkiej chorobie, jaką jest niedokrwistość zależna od transfuzji w przebiegu zespołów mielodysplastycznych (MDS). – Zespoły mielodysplastyczne to choroba nowotworowa szpiku. Już w momencie

eprasa.pl ec86032006

Od lewej na górze: prof. Piotr Czauderna (Sekcja Ochrony Zdrowia NRR przy Prezydencie RP), dr n. med. Wojciech Wysoczański (AOTMiT), Stanisław Maćkowiak (FPP). Na dole od lewej: dr n. med. Katarzyna Budziszewska (IHiT), dr Magdalena Władysiuk (CEESTAHC Polska), Grzegorz Błażewicz (zastępca Rzecznika Praw Pacjenta)

diagnozy 50 proc. pacjentów wymaga przetoczeń krwi, a w przebiegu choroby aż 90 proc. pacjentów będzie ich potrzebowało. Początkowo są one konieczne co dwa–trzy miesiące, potem coraz częściej, nawet co dwa–trzy tygodnie. Wpływa to nie tylko na jakość życia pacjentów, lecz także stanowi ryzyko pojawienia się skutków ubocznych. Dlatego jak zbawienia wyczekiwaliśmy leków, które mogą wyeliminować lub ograniczyć liczbę transfuzji; taką terapią jest luspatercept – mówiła dr Katarzyna Budziszewska, kierownik Oddziału Hematologii Diagnostycznej Instytutu Hematologii i Transfuzjologii. Zaznaczyła, że stosowanie leczenia daje bardzo dobre efekty: prawie 40 proc. pacjentów nie musiało mieć transfuzji ponad dwa lata. Dzięki temu można znacznie ograniczyć liczbę hospitalizacji, co jest oszczędnością dla systemu ochrony zdrowia, a jednocześnie dodatkowo nie naraża pacjentów na infekcje.

Możliwość zastosowania nowej terapii byłaby ważna również dlatego, że krew jest lekiem mocno deficytowym. – Raport Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów pokazuje, że od kilku lat nie rośnie ilość pozyskiwanych koncentratów czerwonych krwinek do przetoczeń, za to jest coraz większa liczba osób, które muszą być z różnych powodów leczona krwią. Jednym z wniosków raportu jest konieczność lepszego monitorowania zarządzania krwią, a także zapewnienie dostępu do terapii, które mogłyby zastąpić przetoczenia krwi, której mamy po prostu za mało – mówiła dr Budziszewska.

Terapia ratuje życie podwójnie: po pierwsze – chorym na MDS, którzy muszą mieć transfuzje; po drugie – pacjentom, którzy będą mogli otrzymać „zaoszczędzoną" krew.

TERAPIA GENOWA SMA

Na liście leków zarekomendowanych przez AOTMiT znalazła się też terapia genowa SMA, czyli rdzeniowego zaniku mięśni (terapia genowa jest też na liście pięciu innowacyjnych technologii lekowych, która została opublikowana kilka dni temu przez Ministerstwo Zdrowia). SMA to choroba uwarunkowana genetycznie. Objawy to coraz bardziej wyraźne osłabienie mięśni i ich stopniowy zanik. Dzieci z SMA1, u których objawy pojawiały się w pierwszych miesiącach życia, traciły po kolei siłę mięśni, nie zaczynały siadać, chodzić, szybko dochodziło do niewydolności oddechowej. – Rokowanie w tej chorobie bardzo się zmieniło, gdy pojawił się pierwszy lek, obecnie dostępny dla wszystkich pacjentów w Polsce. Zastosowany odpowiednio wcześnie daje szansę na normalne funkcjonowanie: siadanie, chodzenie – mówiła dr Magdalena Władysiuk, prezes Stowarzyszenia CEESTAHC Polska i wiceprezes HTA Consulting. Lek trzeba jednak podawać co cztery miesiące w formie wlewu do rdzenia kręgowego.

Innowacyjna terapia genowa w SMA, która ma szansę stać się dostępna dzięki środkom w Funduszu Medycznym, ma inny mechanizm działania: za pomocą wektora wirusowego AAV9 wprowadza do genomu prawidłowy gen SMN1. Lek podaje się jednorazowo, dożylnie: i już to jednokrotne podanie daje szansę na całkowite wyleczenie choroby. Do terapii kwalifikowałoby się w Polsce ok. 50 dzieci rocznie. – Dzięki temu, że terapia byłaby wprowadzona za pomocą mechanizmów zawartych w Funduszu Medycznym, będziemy mogli też się przekonać, jakie są efekty jej stosowania – podkreśliła dr Władysiuk.

POTRZEBA WSPARCIA

Stanisław Maćkowiak, prezes Federacji Pacjentów Polskich, zaznaczył, że budujące jest to, iż ustawa o Funduszu Medycznym tak szybko weszła w życie. – Ważne, że te pieniądze mają być przeznaczone na konkretne cele; to szansa na poprawę sytuacji w chorobach rzadkich, żebyśmy mogli wyjść z zapóźnienia, jeśli chodzi dostęp do nowoczesnych terapii – mówił prezes Maćkowiak. Grzegorz Błażewicz, zastępca Rzecznika Praw Pacjenta, zaznaczył, że do biura Rzecznika nadsyłanych jest wiele próśb o interwencję w sprawie pacjentów z chorobami rzadkimi. Oprócz dostępu do innowacyjnych terapii pacjenci i ich rodziny potrzebują lepszej diagnostyki i stworzenia ośrodków leczenia, w których mogliby otrzymać kompleksową pomoc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY MERYTORYCZNI WIZJONERÓW ZDROWIA:

Rzecznik Praw Pacjenta
Polskie Towarzystwo Kardiologiczne
Polskie Towarzystwo Diabetologiczne
Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych
Polskie Towarzystwo Onkologiczne
Federacja Pacjentów Polskich
Fundacja OnkoCafe Razem lepiej

PARTNERZY WIZJONERÓW ZDROWIA:

Takeda
ALK Abelló
LEO
MSD
Novartis
AstraZeneca
novo nordisk
janssen
PHILIPS

eprasa.pl ec86032006

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tatarzy w Prusach Książęcych

JACEK KOMUDA

Przebywając na Mazurach, w okolicach Ełku, Olecka, Pisza i Ryna, trudno uzmysłowić sobie, że tereny te padły ofiarą tatarskiego najazdu w październiku 1656 r. Jak do tego doszło? Otóż hetman polny litewski Wincenty Korwin Gosiewski zaatakował Prusy Książęce należące do wiarołomnego lennika Rzeczypospolitej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Fryderyka Wilhelma, aby zmusić go do zerwania traktatów ze Szwedami. Najpierw pobił Szwedów i Niemców w bitwie pod Prostkami. Następnie rozpuścił zagony tatarskie towarzyszącego mu oddziału Tatarów budziackich pod wodzą Subchana Ghazi agi.

Najazd był koszmarem dla ludności, w przeciwieństwie do mieszkańców kresów Rzeczypospolitej nieprzyzwyczajonej do takiego sposobu prowadzenia wojny. Sławomir Augusiewicz, autor monografii bitwy pod Prostkami, podaje dokładny jej przebieg. Tatarzy założyli kosz nad rzeką Ełk, w rejonie wsi Ostrykół na północ od Prostek. 8 października orda wpadła do starostwa ełckiego. „Kto polską mową o litość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany, ale natomiast niemieckie osady, kolonie, wsie i miasteczka zmieniały się w rzekę ognia, a przerażony mieszkaniec szedł pod nóż" – napisał o tym w „Potopie" Sienkiewicz i nawet oddał komendę nad Tatarami w ręce Andrzeja Kmicica. Niestety, jest to typowe Sienkiewiczowskie bajdurzenie, gdyż ofiarą najazdu padła najpierw miejscowa ludność polska. Z samej parafii Ostrykół uprowadzono 1238 osób, spod Ełku – 811. Jak pisze Sławomir Augusiewicz, „ucierpiały mieszkające w Kobylinach i Glinkach szlacheckie rodziny Kobylińskich i Glińskich. Tatarzy pojmali Krzysztofa Kobylińskiego z trójką dzieci, Wojciecha Glińskiego i jego żonę, Stanisława Glińskiego z dwiema córkami. Drugi Stanisław Gliński stracił w czasie najazdu: żonę, dwóch synów i trzy córki. Krzysztof Kobyliński, inny niż wymieniony powyżej: żonę, dwóch synów i dwie córki, Maciej Sokołowski żonę i pięcioro dzieci. Mikołaj Gliński został zabity, być może próbował stawić opór". W Ostrymkole Tatarzy spalili kościół, zabito pastora, jedno z dzieci wikarego zabito, uderzając nim o ścianę. W Borkach i Krupińsku schwytano 43 mieszkańców – samej tylko szlachty. W Ełku spalono szkołę, kościół, szpital i młyn, schwytano 23 mieszkańców. Dzień później Tatarzy wpadli do Kalinowa i Wieliczek leżących pomiędzy Augustowem a Oleckiem, spalono tam kościoły, do niewoli dostali się pastorzy – Wojciech Baranowski i Wojciech Zabarowski – z żonami i dziećmi. W Liszewie schwytano pastora Wojciecha Kozika, a jego syna – spalono żywcem w domu.

Orda spaliła i zrabowała Białą, Drygały i Kumielsko, w Różyńsku Wielkim, wedle miejscowej legendy, nie podpalili kościoła tylko dlatego, że zobaczyli wiszący w nim obraz lub witraż przedstawiający św. Erazma, wzięli więc świątynię za katolicką. Fakt ten może dziwić, być może jednak Tatarom towarzyszyły jakieś chorągwie polskie, które powstrzymywały ordę od niszczenia świątyń.

Przed 12 października wpadli do starostwa piskiego; nie udało im się zdobyć zamku, spalili jednak i spustoszyli okolicę. Według przekazów mieli spalić także pałac Lehndorffów w Sztynorcie, jednak analiza źródeł pokazuje, że uczynili to najprawdopodobniej sami chłopi z majątków tej niemieckiej rodziny. W tam samym czasie orda napadła na Doliwy znajdujące się na zachód od Olecka, gdzie przebywała część rodziny Lehndorffów – prawie wszyscy zostali wzięci do niewoli. Podobnie miało się z rodem Schencków zu Tautenburg – dziedzica Georga Friedricha zabili w czasie ataku na dwór w Węgielsztynie, a jego syn dostał się w jasyr. Niemal jednocześnie padło ofiarą ordy starostwo ryńskie. W Klusach Tatarzy przestraszyli się, według legendy, czarciej łapy odciśniętej na kamieniu przed drzwiami, pozostawili w spokoju proboszcza Jakuba Wiśniewskiego i uciekli. Łącznie we wszystkich wioskach spalonych i splądrowanych w październiku 1656 r. wzięli do niewoli ponad 7 tys. ludzi. Był to znaczny łup dla oddziału liczącego około tysiąca wojowników.

Trwający kilka dni najazd stanowił prawdziwy szok dla mieszkańców. Jeszcze większym było dla nich uprowadzenie i niewola na Krymie i w Turcji – gdzie sprzedawano w jasyr. „Jestem, o Boże litościwy! Służącą u Żyda" – pisała do ojca z niewoli Marianna von Lehndorff. „Co się tyczy mych ukochanych dzieci, nic mi do tej pory nie wiadomo o nich. Wiem tylko, że są w Konstantynopolu, że kupili je Turcy, ale nie znam ich panów. Mnie kupiła pewna Niemka, u której spędziłam półtorej roku [...], wysłała mnie do Konstantynopola. Tam kupił mnie Aron Żyd, handlarz szkłem. Ten żąda 100 talarów". Pamięć o najeździe przechowała się w miejscowych podaniach aż do XIX w. ©℗

eprasa.pl ec86032006

ANNY POPEK
SPOSÓB NA ŻEBERKA

Zaczął się sezon grilli. W mojej rodzinie jest kilkoro jubilatów oraz majowych i czerwcowych solenizantów, a dom mojej siostry pod Warszawą jest naszym rodzinnym gniazdem, do którego zlatujemy wszyscy my, błękitne ptaki. Stęsknieni za domem, ciepłem, bliskością grzejemy się w rodzinnym cieple, karmimy nasze serca i ciała i odlatujemy znowu w daleki świat, wdzięczni za to, że jest takie miejsce. Jako że tego ciepła i pokarmu musi nam wystarczyć na dłużej, dzisiaj zaproponuję żeberka.

Pyszne, tłuściutkie, przypieczone i chrupiące. Żeberka jak żeberka – dobrze kupić od producenta. Ja zazwyczaj kupuję mięso na niewielkim targu, który co sobotę rozstawia się vis-à-vis kościoła św. Barbary w centrum stolicy. Na taką okazję jak urodziny mojej siostry żeberka zamówić trzeba nieco wcześniej. Sekret tkwi bowiem w marynacie. Przygotowuję mieszaninę: sosu sojowego, sosu worcester, keczupu, niewielkiej ilości cukru, sporej łyżki papryki wędzonej sproszkowanej i papryki słodkiej, a także soli i pieprzu.

Żeberka muszą sobie troszkę poleżeć – tak ze 12 godzin, nabierają wówczas lekko czerwonawej barwy i intensywnego smaku. Do zaprawy można dodać jeszcze cebulę krojoną w talarki, ale potem należy ją usunąć i piec (lub grillować) samo mięso.

Podajemy z zieloną sałatą z sosem winegret i albo z chlebem, albo z gotowanymi lub pieczonymi ziemniakami. Ja lubię gotowane, bo sos z żeberek wsiąka w mięciutki miąższ i danie jest wówczas przepyszne. ©℗

oprac. raw

Anna Popek jest dziennikarką i prezenterką związaną z TVP.

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Faceci muszą zniknąć

Codzienne przeglądanie strony internetowej „New York Timesa" pozwala się zorientować, skąd wieje wiatr współczesności. Inaczej mówiąc – w którym kierunku podąża nasza cywilizacja. Bo przecież Stany Zjednoczone wciąż odgrywają w niej rolę naczelną, choć jakby coraz mniej. Ogólny lewoskręt daje się odczuć nie tylko z doniesień o najnowszych poczynaniach Joe Bidena, nie tylko ze skrzętnie pilnowanej równowagi (czytaj: większości) osób niebiałych na stronach gazety. Przede wszystkim słychać głosy kobiet, z których wynika, że obejmowanie nadzoru nad życiem prywatnym ma dużą przyszłość. Ale nie chodzi tylko o pilnowanie parytetów w życiu domowym i służbowym, o równy dostęp do stanowisk, o równe płace.

FOT. ADOBE STOCK

Wyszło szydło z worka: mężczyźni są zakałą ludzkości. Nie tylko biją, spóźniają się na obiad, nie zakręcają tubki z pastą do zębów, przepuszczają w drzwiach, podają płaszcz, ale niejeden przyłoży klapsa niegrzecznemu bachorowi. Pracy nie szanują, pieniędzy nie dają, mało tego – nie zarabiają tyle co trzeba. Po pracy chodzą na piwo i marzą o najnowszym modelu bmw. Żeby chociaż tesli, to przynajmniej samochód ekologiczny. Z wypowiedzi kobiet na łamach „NYT" wynika, że faceci to część populacji, którą powinno się jak najszybciej zlikwidować.

To tyle o przeciętniakach. A co dopiero taki Bill Gates! Ten to musi być jeszcze sto razy gorszy niż każdy John Brown. Chciał chłop wszczepić ludziom chipy, żeby każdego śledzić, a tu się okazało, że sam jest śledzony. „New York Times" ma już Billa prześwietlonego razem z całym jego występnym życiorysem. Prywatnym, ma się rozumieć. Zanalizowano szczegółowo wszystkie postępki pana G. w ciągu ostatnich 27 lat. Wezwano, kogo się da – koleżeństwo z pracy, świadków. Ci zeznali, że oskarżony Gates kokieteryjnie traktował kobiety w pracy, miał skłonność do flirtów, a jedną panią nawet zaprosił na kolację. W dodatku własnej żony też nie traktował z należytym respektem. Melinda tak twierdzi. To znaczy nie Melinda, tylko French. Przez 27 lat była Melindą, teraz jest French. No trudno. W każdym razie zarzuty są poważne. Molestowanie, dyskryminacja, można powiedzieć #MeToo. Może sąd się tym zajmie albo Kongres? ©℗

eprasa.pl ec86032006

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Tu jest pies pogrzebany

Niedawno skończyłem 51 lat, więc jako człowiek dojrzały (powiedzmy) mogę się już chyba wypowiedzieć na temat fundamentalny dla ludzkości. Mianowicie: pies czy kot.

Przyznaję, że formułowałem już teorie w tej kwestii. Kiedyś dowodziłem, że kot jest namiastką kochanki, a pies przyjaciela. Koty oferują doznania zmysłowe, przeciągają się powabnie i kokieteryjnie oraz mruczą z rozkoszy, kiedy są pieszczone. Pies natomiast to idealny kompan do zabaw i wygłupów, a kiedy już spoważnieje, to staje się owym „najlepszym przyjacielem człowieka" – lojalnym i wiernym. Dziś patrzę na psio-kocią sprawę nieco inaczej. 17 lat żyłem pod jednym dachem z dwoma kotami. Były jak yin i yang. Dla kotki szklanka była zawsze w połowie pusta i z byle powodu wpadała w depresję. Dla kota szklanka była zawsze do połowy pełna i cieszył się z byle czego. Przez całe swe życie się nie znosiły. Ale kiedy jedno umarło, drugie natychmiast uschło z tęsknoty.

Psa mam niecały rok i przez ten czas – jak mi się wydaje – pojąłem różnicę w obcowaniu z tymi zwierzakami. Nie chodzi o to, że koty są lepsze, psy gorsze czy na odwrót. Najważniejsza różnica polega na sposobie budowania relacji. Otóż psy wymagają znacznie większego zaangażowania. Trzeba im poświęcać więcej czasu, zrywać się rano, wyprowadzać, zbierać z trawników kupy, dbać o ich życie towarzyskie, prowadzić utarczki słowne z ludźmi niechętnymi psom albo ze zwariowanymi innymi właścicielami psów. Oraz układać, trenować, wychowywać.

Szczerze mówiąc, ten ogrom obowiązków na początku mnie przywalił. Moje dawne życie z kotami wydało mi się w porównaniu z obecnym cudownie nieskomplikowane. Tyle że trzeba było opróżniać kuwetę, ale poza tym wystarczało trochę miziania, zabaw z myszką na wędce i dzielenia się w nocy poduszką. Nie było mowy o żadnym wyprowadzaniu czy wychowywaniu. Życie z kotem było łatwe i przyjemne.

Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że to ten nawał obowiązków i trudności buduje więź z psem. I to przypomina relacje nie z przyjacielem, ale dzieckiem. Wychowywanie – umówmy się – jest dość żmudnym działaniem. Oznacza zarwane noce, powtarzania po raz tysięczny: „Powiedz panu dzień dobry" i „Nie mlaszcz" oraz „Odłóż telefon i poczytaj", a potem użeranie się z przemądrzałym smarkaczem, który pozjadał wszystkie rozumy. Oczywiście są w tym wszystkim i przyjemności, ale one same, bez naszych wyrzeczeń, zmęczenia, bólu, poświęcenia i podsuwania najlepszych kąsków młodemu, nie zbudowałyby czegoś tak potężnego jak nasza miłość do dzieci. No i trochę podobnie jest z psami. Strasznie się trzeba przy nich narobić, a drugie tyle energii włożyć w ich wychowanie. To wysiłek i wyrzeczenia budują więź. Psy w dodatku wydają się być za to wdzięczne. A z dziećmi to różnie bywa. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Dziennikarstwo śmieciowe

Małgośka, mówią mi, im bardziej biją w prawicę, tym dumniej wypinasz pierś.

Jedno to moje przekonania, drugie to wrodzony zmysł przekory, który gwarantował mi zawsze moc przygód, i to bez sięgania po używki. „Idź wreszcie na wagary z klasą! – błagała mama (nauczycielka!) – bo znów cię pobiją, jak zawsze będziesz sama w kontrze do głupoli". I tak mi zostało. Gdy wszyscy idą w lewo, to ja w prawo, gdy inni z postępem – to ja się konserwuję. Co oczywiście nie jest gwarancją niepopełniania błędów, ale mimo wszystko wciąż uważam, że myśl i sumienie trzeba gimnastykować samodzielnie, a nie stadnie. No i mięśnie, bo przy tak niepopularnych poglądach trzeba umieć zwiewać bez zadyszki, a czasem nawet oddać ciosy.

Pamiętając wszakże, że klasyk dotkliwego przekonywania – Bruce Lee – zalecał sztukę walki bez walki. Ale problem w tym, że prawica nie może odpuścić sobie walki, bo reprezentuje nie siebie, tylko porządek naturalny i wartości, których trzeba bronić do ostatniego upadłego. Zbyt dobrze wiem, czym skończył się dla Hiszpanii proces zawstydzania i „zakompleksiania" prawicy, która zaczęła przepraszać, że żyje, i tylko dzięki temu Zapatero mógł zamienić katolicki kraj w laboratorium LGBT.

U nas zaś trwa w najlepsze jazda po prawicy jak po łysej kobyle. Nawet w „Plusie Minusie", uchodzącym niby za konserwatywny dodatek, jeśli nie obśmieją „obsesji prawicy", to numeru nie zamkną. Dopóki ton w dziennikarstwie narzucać będą środowiskowe kompleksy wobec kolegów z zachodnich tytułów, a np. Applebaum będzie takim wzorcem dziennikarstwa z Sèvres, dopóty wróżę Polsce tę samą ścieżkę przemian co w Hiszpanii.

Gdy ostatnio Applebaum udzieliła wywiadu dziennikowi „El Español", wielu tamtejszych intelektualistów uśmiało się serdecznie, komentując jej diagnozy w stylu: „No ma baba tupet! Poucza nas z Chobielina, co się dzieje w Hiszpanii i jak interpretować wyniki prawicy". Ale u nas nad Wisłą częściej jednak: Applebaum locuta, causa finita. A że ma pańcia uraz do prawicy, to sobie chodzi po mediach i folguje.

Jak dla mnie może napisać jeszcze jakieś opus magnum, dostać Nobla, a i tak uznam, że bełkocze w wielu sprawach. Zajmuje się dwoma totalitaryzmami, a prześlepia zło w olbrzymich dawkach, które powoduje agonię europejskiej cywilizacji. Zajmuje się prawami człowieka, ale zapomniało jej się, kim jest człowiek. Za to płynie w głównym nurcie prasy światowej. My zaś w odwrotnym kierunku, bo przecież „płynie się zawsze do źródeł, pod prąd. Z prądem płyną śmieci". ©℗

eprasa.pl ec86032006

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wolność od sensu

W przejściu do warszawskiego metra powieszono ogromny plakat z hasłem: „Nie dajemy wiary, dajemy wolność” i podpisem Fundacji „Wolność od Religii”. Osobiści wrogowie Pana Boga zawsze znajdują jakiś nowy instrument wkręcania się w umysły, jakieś nowe hasło bałamucące przechodnia. Współcześni „influencerzy” działają nie na rozum, ale na przelotne wrażenie. Wspomniane hasło lekko muska emocje, pozostawiając sugestię wyższej świadomości. Przecież nie potrzeba w ogóle dyskutować o wierze i wolności, trzeba pociągnąć obserwatora w krainę pozornej swobody opinii, którą daje bezmyślność. Tutaj wszystko jest łatwe, oczywiste i w dobrym tonie. Tutaj mało kto pomyśli nad treścią przesłania z metra.

A warto. Po pierwsze, kto to jest „my” i jakim prawem rozpycha się w przejściu do metra? Owi „my” to ludzie, którzy kupili sobie to miejsce. Skorzystali z wolności, którą dają im pieniądze. Fundacja „Wolność od Religii” ma z pewnością dużo pieniędzy i to nie tyle na podobne plakaty, ile zapewne także na dobrze płatne etaty dla swoich zapewne licznych pracowników, którzy powiązali swe kariery życiowe z firmą lansującą ateizm. Czy naprawdę nie ma bardziej pożytecznych celów? Czy wszyscy ci ludzie naprawdę wiedzą, co czynią, poza tym, że chcą zarobić?

Po drugie, czy nadawcy wspomnianego komunikatu cokolwiek dają? Nie dają wiary, co ma dwa znaczenia: sieją zwątpienie, a także, odbierając spokój, nie dają nic w zamian. Po prostu człowiek bez wiary nie ma nic. Nie chodzi koniecznie o wiarę w Boga. Wedle twierdzenia Kurta Gödla w każdym systemie myślowym można udowodnić tylko to, co tkwi w jego założeniach. A te trzeba nazwać wiarą. Problem w tym, że ktoś, kto twierdzi, że nie wierzy w nic, jest groźnym dla otoczenia nihilistą. Jeśli nie wierzy w Boga, to najczęściej, tak jak Max Stirner, wierzy w siebie. Jeżeli zaś jest altruistą, to uwierzy w ideały z tego świata, które zawsze okazują się względne, zwłaszcza w rękach ludzi.

Po trzecie, wolności nikt nie musi nikomu dawać. Jest ona po prostu cechą człowieczeństwa. Wśród innych cech wolna wola jest jedną z najważniejszych. Oczywiście jest wiele ograniczeń wolnej woli – ze zdrowym rozsądkiem na czele – ale trudno jej zaprzeczyć, skoro nawet w największym zniewoleniu zawsze pozostaje pewien jej margines.

Po czwarte, „wolność od religii” oznacza ateizm w czystej postaci. Istnieją dwa rozumienia pojęcia wolności: „wolność od” i „wolność do”. Samo wyrywanie się od zniewolenia nie wystarczy. Pozostaje bowiem pytanie, jaki jest pozytywny cel używania wolności, a więc do czego ma ona służyć. Jeżeli, jak twierdzi Isaiah Berlin, każdy cel pozytywny wolności jest jej ograniczeniem, to mamy do czynienia z błędnym kołem bezsensu. O ile ostateczną konsekwencją postawy Stirnera jest akceptacja zbrodni, o tyle ostateczną konsekwencją twierdzenia Berlina jest anarchia.

Niby nic: idziemy do metra zajęci swoimi sprawami, może rozważając jakąś ważną decyzję, a tu nagle wyskakuje na nas Fundacja „Wolność od Religii” ze swoim dobrze płatnym zwątpieniem, obiecując wolność od zdrowego rozsądku, próbując pozbawić nas nadziei, że w tym świecie można znaleźć sens, pozbawiając nas spokoju i wolności do nieoglądania bzdur. Wstyd.

W innej akcji Fundacja „Wolność od Religii” rzuciła równie bezsensowne hasło „Masz prawo nie wierzyć”. W tle jest oczywiście prawo do niewiary w Boga, a raczej do wiary w Jego nieistnienie. Nie da się bowiem rozumowo udowodnić Jego nieistnienia. Jest ono jedynie przedmiotem wiary ateistów. Fundacja „Wolność od Religii” uprzejmie nas informuje, że mamy prawo do zwątpienia w jakikolwiek sens. Fundacja ta reklamuje się jako „organizacja pożytku publicznego”. Trudno powiedzieć, jaki jest pożytek z jej działalności. W sumie nic ona nie daje, a odbiera sens. To bardzo smutne. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl ec86032006

WACHA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Gdy się żyje po dwóch stronach oceanu – pół roku tu, pół roku tam – to człowiek często porównuje ceny i swój standard życia. Porównywanie Polski z USA jest dość łatwe i szybkie, bo nic nie trzeba przeliczać. Średnia krajowa w Polsce jest w liczbach taka sama jak w USA. Tyle że w jednym kraju zarabiasz w złotówkach, a w drugim w dolarach, ale liczbowo mniej więcej tyle samo. W Polsce średnia krajowa to ok. 60 tys. zł rocznie, w USA też 60 tys., tyle że dolarów. Tu 60 i tam 60.

No i teraz zaczynamy porównywać, ile płacisz na przykład za obiadek w restauracji, za tygodniowe zakupy, za nowe auto lub dom. I zawsze wychodzi, że w stosunku do swojej pensji ludzie w USA mogą taniej żyć, bo oni tam się za swoje pięć dych najedzą w knajpie, a ty w Polsce za swoje pięć dych się w knajpie nie najesz. Czyli życie za jedną pensję jest w USA lepsze (więcej obiadków w knajpie) niż życie za jedną pensję w PL.

Kupowałem kilka razy domy. (Inwestuję – kupuję, żeby zarobić na sprzedaży lub wynajmie). I w Polsce za 300 tys. kupuje się dom całkiem zwykły. A w USA za 300 tys. kupuje się dom bardzo dobry i duży. W obu przypadkach 300 tys. to średnia krajowa razy pięć lat pracy.

***

To teraz pogadajmy o benzynie. Słyszeli państwo o ataku ruskich hakerów na amerykański rurociąg. Ten rurociąg prowadzi z rafinerii w Teksasie i popycha nie surową ropę, ale gotowe paliwa – benzynę do aut. Zaopatruje wszystkie stany po drodze aż do Nowego Jorku włącznie i odpowiada za połowę dostaw dla 100 mln ludzi. Czyli… bardzo ważna rura.

Ruscy hakerzy specjalizują się w wymuszeniach za forsę. Blokują jakąś firmę i proszą uprzejmie o wpłacenie okupu w kryptowalutach. W tym przypadku prosili o 100 mln, ale ostatecznie wzięli pięć.

Putin o wszystkim wiedział, bo w Rosji operacje na tym poziomie finansowym i międzynarodowym są kontrolowane przez KGB. Możesz sobie być szefem Gazpromu czy czego chcesz i pozwolimy ci zarabiać krocie, ale masz nas słuchać i w razie czego finansować, co Putin każe.

Gdyby w Białym Domu nadal siedział Trump, to ruscy hakerzy nie dokonaliby tego ataku, w obawie przed amerykańskim cyberodwetem, ale ponieważ siedzi tam Lalka Bajdi (nowy nick J. Bidena), to kontrataku nie było i 5 mln okupu trafiło w ręce cyberbandytów. Niedobry precedens – oczywista zachęta do kolejnych ataków.

***

Gdy amerykańska rura była zablokowana, zaczęło brakować paliw na całym Wschodnim Wybrzeżu, a kolejki do stacji benzynowych ciągnęły się milami. Pojawiły się komitety kolejkowe i stacze. Pamiętają państwo staczy w PRL w kolejkach po mięso na kartki? Ja pamiętam, bo sam tak dorabiałem – jako stacz.

Wszystkim w USA przypomniały się kolejki po benzynę, które spowodowała nieudolna administracja prezydenta Cartera. I co? Sieć czuwa. Panowie z Google i Twittera zaczęli cenzurować memy. Nawet takie niewinne, gdy ktoś po prostu i bez komentarza zestawiał ze sobą portret Bidena z portretem Cartera – już to jest „niezgodne z zasadami naszej społeczności".

Ludzie w kolejce po benzynę w USA byli zdesperowani. Pojemników zabrakło, więc gdy ktoś nie miał normalnego kanistra, to próbował nalewać do – torby plastikowej. To głupie, a dla patrzących z boku śmieszne, więc ludzie zaczęli takie rzeczy filmować i wieszać w sieci. I co? ZNIKA – jako „niezgodne z zasadami naszej społeczności". Lalka Bajdi jest chroniona i nie wolno jej wyśmiewać nawet pośrednio.

***

Gdy zabrakło benzyny, ceny poszły w górę i osiągnęły poziom SZOKUJĄCY – ponad 5 dol. za galon. To teraz porównajmy, co szokuje w USA, a nie szokuje w PL. W Polsce płacimy grzecznie ponad 5 za litr i popatrz na to w kontekście swojej średniej pensji. W USA ceną SZOKUJĄCĄ jest piątka za galon w stosunku do ich średniej pensji. A galon to prawie cztery litry, czyli Amerykanów szokuje cena 1,25 za litr. Czemu szokuje? Przecież w stosunku do pensji to nadal bardzo tanio. Szokuje, bo za Donalda płaciło się 0,40 za litr.

***

Wszyscy w Polsce zgadzamy się, że benzyna jest zbyt droga? Temat niekonfliktowy, naród jednomyślny? Można by tę kwestię załatwić w jeden dzień dla dobra wszystkich i obniżyć cenę wachy o ponad 60 proc.

Do obniżenia cen benzyny potrzebny jest jeden podpis jednego wiceministra finansów, na jednej kartce papieru: Niniejszym w obrocie paliw likwiduje się w trybie natychmiastowym wszystkie narzuty dodatkowe typu: podatek akcyzowy, podatek VAT, opłatę paliwową. Paliwo to czynnik strategiczny w gospodarce, więc od dnia dzisiejszego nie jest obciążone żadnymi podatkami. Rafineria i stacja benzynowa płacą wyłącznie podatki dochodowe, od ogólnego dochodu swojej firmy.

No tak, panie Wojtku, ale skąd władza będzie miała pieniądze, gdy nie będzie brała tych narzutów?

Władza swoją forsę dostanie z innych podatków, bo kiedy w mojej firmie koszt benzyny spada z 5 zł na 2 zł, to mnie w kasie zostaje 3 zł do opodatkowania lub do wydania na rozwój.

Panie WC, gdyby to tak działało, to przecież w jakimś kraju by już tak było. No właśnie w wielu krajach już tak jest, bo oni tam zrozumieli i POLICZYLI, że nie opłaca się zawyżać cen benzyny, bo to powoduje zawyżenie wszystkich cen, obniżenie poziomu życia obywateli, więc lepiej, gdy benzyna jest bez podatku. Ale do takiej akcji potrzeba odwagi – potrzebny jest Chrobry, a nie Morawiecki. ©℗

eprasa.pl ec86032006

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

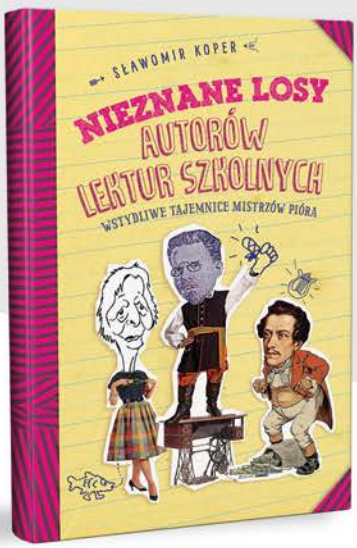

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
S. KOPER
„NIEZNANE LOSY AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~305 ZŁ~~

202,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 103 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ec86032006

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

100 STRON!

NUMER JUBILEUSZOWY

Kamil Anduła – **Komunistyczny mit o Lenino**
Tomasz Stańczyk – **Renegat Zygmunt Berling**
Sol Messinger – **Byłem na pokładzie „St. Louis”**
Arkadiusz Karbowiak – **Francuscy kolaboranci**
Mikołaj Iwanow – **Krwawy prokurator Wyszyński**
Craig Symonds – **Powietrzny rajd na Tokio**
Maciej Rosalak – **Seks Bolesława Chrobrego**
Jacek Bartosiak – **Polacy nie są gorsi!**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Demokracja w działaniu**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ec86032006